

Rozdział 1.

Zaczynam

Zbliżają się moje czterdzieste urodziny – dobry czas na podsumowania.

Jestem takim sobie, przeciętnym facetem, niezbyt przystojnym, niezbyt ambitnym, chyba nawet niezbyt utalentowanym. Spokój był i jest moją religią. Cenię wygodę i lubię mieć pieniądze. Niekoniecznie wielkie pieniądze – raczej takie, żeby wystarczyło na dostatnie życie i skromne przyjemności.

Moje ambicje nie są zawodowe. Nigdy nie były. Po studiach zatrudniłem się w firmie serwisowej, zajmowałem się obsługą biur i trwałem tak, przez wiele lat. Owszem, podśmiewali się ze mnie, że jestem sekretarką. Mówiłem wtedy, że nie sekretarką, a sekretarzem i że podtrzymuję przedwojenne tradycje.

Przy okazji, choć w tajemnicy, nauczyłem się naprawiać pralki i lodówki. Nie wiem po co i dlaczego. Za to zrobiłem to metodycznie. Nakupowałem podręczników i gruntownie je przestudiowałem. Teorię poparłem praktyką. Buszowałem wieczorami po warsztacie – tu coś podejrzałem, tam o coś zapytałem – i jakoś tak mimochodem stałem się ekspertem od zepsutych sprzętów AGD. Nie zamierzałem ich naprawiać, bo nie znoszę babrać się w smarach

i kilkuletnim kurzu. Wystarczała mi myśl, że umiem i mógłbym.

W ogóle jestem metodyczny i lubię, gdy wszystko jest poukładane: praca, dom, żona. Trudno przejść przez życie bez zawirowań, ale w sumie chyba osiągnąłem pełnię. Zarabiam o wiele lepiej, niż chciałem. Jestem kierownikiem ze sporym zespołem ludzi. Poukładałem sprawy tak, że toczą się bez mojego większego wysiłku. Jestem doceniany, prezes patrzy na mnie łaskawym okiem. Mam dom z ogrodem, w domu – spokój, inteligentną żonę. Życie jest dobre. Nie zawsze takie było.

Mam też nową pasję – szusowanie po ośnieżonych trasach. I kłopot, który uwielbiam. Kochankę, która, jak narkotyk, dodaje mojemu uporządkowanemu życiu pikantnego smaku szaleństwa – niby wiem, że jest złem, ale nie zamierzam się z niego leczyć.

Wracając do nart, a właściwie – nart! – wykrzyknik jest niezbędny, gdyż tak mi się ten sport podoba. Dopiero zaczynam, ale czuję, że to jest to. Zaprzyjaźniłem się z facetem, który od lat każdą wolną chwilę spędza na nartach. Przekonał mnie, żebym i ja spróbował. Wiedział szelma, co robi. Wciągnął mnie i teraz jest to już nasza wspólna pasja.

Tak... Mógłbym powiedzieć, że dobrze się dzieje. Wszystko jest tak, jak należy. Czy jednak..? Być może dlatego mam ochotę opisać burzliwe wydarzenia, które mnie tu doprowadziły, w to miejsce mojego życia.

Słowo pisane pomaga znaleźć odpowiedzi. Dziś rano zobaczyłem na wystawie ten pięknie oprawiony gruby zeszyt – lubię piękne rzeczy – i pomyślałem, że wart jest wypełnienia.

No to zaczynam.

Rozdział 2.

Punkt wyjścia

Jest luty dwa tysiące piątego roku. Tkwię w biurze serwisu AGD-RTV i po ośmiu godzinach niezbyt męczącej pracy wracam do pustego domu. Moja żona, Marianna, Majka, robi zawrotną karierę w korporacji. Zajmuje się handlem. Dla kontrastu – ona jest dynamiczna, wiecznie zabiegana, zajęta swoimi sprawami. Wraca wieczorem i na ogół pada ze zmęczenia. Często wyjeżdża w delegacje, na jakieś kursy czy konferencje. Bywa, że i weekendy spędza poza domem. I ciągle awansuje. Co chwilę wskakuje na bardziej odpowiedzialne i lepiej płatne stanowisko.

Jest piękna i bardzo mnie pociąga, no i świetnie gotuje. Raczej powinienem napisać: potrafi gotować, bo rzadko kiedy to robi. Nie ma na to czasu. Kocham moją żonę i jej ciągła nieobecność zaczyna mi doskwierać. Ostatnio nawet już ze sobą nie rozmawiamy. Wymieniamy szybkie komunikaty w przelocie między kuchnią a łazienką, albo krótkie uwagi przed telewizorem. To dobrze nie wróży.

Rozdział 3.

Nie lubię niespodzianek

Bardzo źle znoszę niespodzianki mojej żony. Jej energia i entuzjazm wytrącają mnie z równowagi. Burzą mój bezcenny spokój.

Tego dnia Marianna wpadła do domu i, nieomal potykając się o mnie, zawołała:

– Adaś, jesteś?

– Nie, nie ma mnie. – Mój sarkazm brał się z faktu, że zawsze byłem w domu, gdy wracała z pracy. Poza tym natychmiast zwietrzyłem jakąś „bombę”.

– To dobrze. Mam niespodziankę. – Była rozpromieniona, podekscytowana i nie zwracała na mnie uwagi.

– Mam nadzieję, że mnie nie porazi – bardzo chciałem nie być sarkastyczny, pewnie dlatego zabrzmiało to bojaźliwie.

– Na odczepnego kupiłam los w naszej firmowej loterii. Charytatywny cel, więc kupiłam ich kilka. Nawet nie wiedziałam, jakie są nagrody, nie interesowałam się tym szczególnie. Kupiłam losy i zapomniałam. I wygrałam! Adam, wygraliśmy! Dwa tygodnie w Chorwacji!!!

– Majeczko, jest luty, nie ma upału! Skąd u ciebie udar? – Bojaźń, sarkazm, nadzieja, że jednak nie? Nie

mogłem się zdecydować.

– Adam, naprawdę!

Zaczynałem wierzyć. Ja to mam szczęście! Ktoś inny skakałby z radości – a ja mam problem. Nie cierpię wyjeżdżać. Nienawidzę wyjeżdżać! Wolałbym przesiedzieć urlop w domu.

– Opowiedz – starałem się ukryć rezygnację.

Marianna była rozpromieniona. Słuchając, po raz kolejny zdałem sobie sprawę, jak bardzo uwielbiam moją żonę. I nawet jej narwane pomysły. Po prostu – kocham ją. Dla niej mogę się tłuc na koniec Europy.

Okazało się, że to nie żart. Chorwacja, dwa tygodnie na początku września. Hotel do wyboru spośród kilkudziesięciu, kilkuset różnych, rozrzuconych po całym chorwackim wybrzeżu. Zaraz po sezonie, gdy będzie mniej ludzi, a jeszcze ciepło. Wizja lazurowego Adriatyku nawet mnie wydała się kusząca, szczególnie na tle lutowej szarugi. Po kolacji, którą podałem bez pomocy Majki i którą Majka ledwie zauważyła, usiedliśmy do Internetu i zaczęliśmy przeglądać ofertę hoteli.

Czego tam nie było! Hotele molochy i kameralne pensjonaty na dziesięć pokoi. Latarnie morskie ze studiami na cztery osoby i domową kuchnią żony latarnika. Po dwóch godzinach rozbolała mnie głowa. Nawet moja szybko podejmująca decyzje żona poczuła się ogłupiała. Nic nie wybraliśmy. W sumie znaleźliśmy kilkanaście tysięcy ofert, obejrzelśmy około trzydziestu

i mieliśmy dosyć.

– Musimy zdecydować, czego szukamy. Określić jakiś klucz. Inaczej będziemy wybierać przez najbliższe dwa lata.

– Masz rację, Adasiu. Tylko czego my szukamy?

Majka oparła swój brzoskwiniowy policzek na wypielęgnowanej dłoni. Paznokcie też miała brzoskwiniowe. Chciałem ją przytulić; jej policzek, paznokcie, ją całą.

– Ciszy i spokoju? – Tak jak się spodziewałem, nie tego szukaliśmy. – Ale w każdym razie nie kurortu i jego głównej ulicy, na której znajduje się sześć dyskotek, i codziennie przewala się tłum ludzi, prawda?

– Jasne. Adam, a może poszukajmy czegoś, co jest w takim miejscu cichym i spokojnym, tak jak ty chcesz, ale niedaleko od jakiegoś kurortu? Będziemy mogli dawkować ciszę i hałas, spokój i rejwach. Co ty na to?

– Świetny pomysł, tylko wyszukiwarka pracuje w systemie wyboru: *Kwatery prywatne, Hotele, Wellness, Last minute, Wille, Jachty morskie, Agroturystyka...* – zauważyłem.

– Tak, chyba musimy dokonać selekcji. – Majka też dostrzegła trudność.

– Co powiesz na dwa tygodnie na morskim jachcie?

– Rewelacja. Tylko, mężu mój, po pierwsze wygrana nie obejmuje tej opcji, a po drugie te pobyty zaczynają się od trzech tysięcy euro. Za tydzień od osoby.

– A kończą na prawie czterdziestu tysiącach. Poza tym na pewno dostałbym choroby morskiej. Czyli jachty wykluczamy.

– Raczej tak. Co powiesz o *Wellness*?

Długą chwilę spędziliśmy w milczeniu na studiowaniu oferty. Baseny, masaże, jacuzzi wirowały przed oczami. Mocna rzecz. Ceny jeszcze mocniejsze.

– Chyba nie zdecydujemy się aż tyle dopłacić, co? – sprowadziłem nas na ziemię.

– No chyba nie... – Majce błyszczały oczy, ale znałem jej rozsądek i byłem przekonany, że tej opcji raczej nie wybierze. Choć, jak sroczka, chętnie będzie się jej przyglądać.

– Dobra, żonko, idźmy do przodu. *Last minute* nas nie interesuje, bo my chcemy wybrać teraz na wrzesień, a nie we wrześniu na wrzesień. Opuśćmy sobie też od razu *Agroturystykę* i *Wille*. Pierwsza nie wchodzi w grę, a cała willa nie jest nam potrzebna. Byłby to za duży zbytek, nie sądzisz?

– Sądzę, chociaż luksus jest pociągający...

– Konto po luksusie natomiast mniej – skwitowałem sucho.

– Och, racjonalisto. Zostały nam *Hotele* i *Kwatery prywatne*. Proponuję opuścić sobie hotele. Za duże ryzyko, że trafimy na jakiegoś molocha, sympatycznie opisane ponure gmaszysko, mieszczące w sobie tysiąc pięćset pokoi. Pozostają kwatery prywatne. Co ty na to?

Zgodziliśmy się. Wybraliśmy kwatery prywatne,

kazaliśmy przeglądarce posegregować ich dostępność we wrześniu na całym wybrzeżu Adriatyku. Wyświetliło się sześć tysięcy ofert. Ograniczyliśmy się do Dalmacji Środkowej i mieliśmy już tylko półtora tysiąca ofert. Wyłączyliśmy jeszcze wyspy i wyszło nam tych ofert osiemset.

– Wiesz co, żono moja? Osiołkowi w żłoby dano. Będę tak zmęczony wybieraniem, że nigdzie nie będzie mi się chciało jechać. Już mi się nie chce!

– Nie bądź maruda.

– Ale ja jestem maruda!

– Właśnie widzę.

– Na dziś mam dość.

– Nie bądź taki, wybierzmy coś!

– Nic dzisiaj nie będę wybierał. Jestem zmęczony. Zaskakujesz mnie wiadomością o wyjeździe i spędzamy prawie cztery godziny przed komputerem, wybierając coś, z czego nie chcę skorzystać. Jestem zmęczony i zaczynam być zły. Chyba wolałbym zwyczajnie dostać od żony kolację na stół. Być może taka zwyczajna rzecz byłaby dla mnie ważniejsza niż wakacje na koszt firmy.

– Jesteś nie w porządku.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem w porządku. Teraz twierdę, że właśnie idę spać.

Tak, byłem zły i kłótnia wisiała w powietrzu. Czasami się kłóciliśmy. Bywało, że moja żona cierpiała na nadmiar energii. To właściwie nie byłoby takie złe, gdyby nie fakt, że niekoniecznie chciała ów nadmiar

spożytkować zgodnie z moimi potrzebami. Miała własny, stanowczy pogląd na życie i tego się trzymała. Dla niej liczyła się dynamika, tempo i intensywność wrażeń – tu pojechać, tam zobaczyć, tego doświadczyć. A ja wolałem po cichu siedzieć w domu i rozkoszować się spokojem. Temat urlopu co roku był przyczyną sporów. Ja najchętniej nigdzie bym nie wyjeżdżał, Majka pojechałaby w pięć miejsc naraz. A teraz zaczęło do mnie docierać, że nie ma mowy o spokojnym rozkoszowaniu się ciszą własnego domowego ogniska w te wakacje. Sprawa była przesądzona – to już wiedziałem. Pojedziemy do tej cholernej Chorwacji i już. Nawet moja standardowa deska ratunkowa – chociaż czasem to już była brzytwa ratunkowa – nie pomoże. Nie wykpię się tym, że za drogo. Bo skoro ktoś za nas zapłaci, to nie mogę narzekać na koszty. Po prostu pojedziemy do tej Chorwacji. Do tej cholernej Chorwacji.

Och, jaki byłem zły! W pierwszej chwili ucieszyłem się z wygranej, bo zawsze miło jest coś wygrać. Potem Majka podkręciła mnie na oglądanie ofert w Internecie i zanim do końca uświadomiłem sobie, co to znaczy, już uczestniczyłem czynnie w turystycznej dyskusji. Teraz ochłonąłem i miałem przed oczami okropnie długą podróż, a potem obskurny hotel z trzeszczącym i zapadającym się łóżkiem. Pomimo zmęczenia, nie posunąłem się w wyobraźni do wizji karaluchów, czmychających przy zapaleniu światła

– i tak miałem dosyć.

Takie wieczory bywały przykre. Spaliśmy w jednym łóżku, ale oddzielnie. Ostatnio coraz częściej. Na ogół to ja złościłem się na Majkę. Miała zbyt wiele pomysłów, zbyt wiele rzeczy chciała na raz. Wszystkiego chciała. A mnie bolało to, że w tym „wszystkim” zapominała o mnie. Zapominała po prostu uwzględnić mnie w swoich planach. Jak typowy wojownik: zdobyła, usidliła, odhaczyła. Przestała się mną zajmować i – co najbardziej bolało – przestała liczyć się z moim zdaniem.

Zaraz, zaraz, czy to nie faceci powinni być zdobywcami? Ale ja nie chcę być zdobywcą! Chcę być sobą, Adamem, i nie mieć z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Nie odczuwam potrzeby dopasowania do stereotypów, że facet to macho, a zwiewna i eteryczna kobietka jest strażniczką domowego ogniska. Niech już nawet nie będzie strażniczką, ale niech w ogóle będzie. Bo mojej żony mentalnie w domu nie było. To właśnie stało się powodem mojej narastającej frustracji.

Rozdział 4.

Domowa kolacja jest pyszna

Następnego dnia sytuacja nie zmieniła się. Poranek jak poranek. Przywykliśmy już do wieczornych napięć i ranki nie były specjalnie przykre. Kąpiel, śniadanie, trochę krzątania, więcej pośpiechu. Nic szczególnego. Na chwilę zapomniałem o chorwackich wakacjach. Trzeba było pomyśleć o pracy. Mój dzień miał być typowy: trochę papierków do przełożenia z lewej na prawą stronę biurka, trochę telefonów, niczego niezwykłego nie oczekiwałem. Majka też miała dzień jak co dzień, to znaczy spodziewała się samych niezwykłych rzeczy. Począwszy od pierwszych telefonów jeszcze w samochodzie, kiedy mogło się okazać, że konkurencja właśnie ogłosiła nową ofertę handlową i natychmiast trzeba ją przeanalizować, i natychmiast się do niej dostosować, aż po wieczorną kolację, która miała odbyć się w super eleganckim lokalu z super eleganckimi panami, którzy będą próbowali mojej żonie przydzielić kolejne trudne zadania, w których będzie się mogła po raz kolejny sprawdzić. Dzięki owej kolacji miałem w perspektywie kolejny samotny wieczór. Spokojny wieczór. Będę mógł zastanowić się, co zrobić, ewentualnie oswoić z myślą, że jednak czeka mnie ten wrześniowy wyjazd. Może

nawet usiądę do netu i coś powybieram.

Smętnie popatrzyłem w lustro, zawiązując krawat. Właściwie po co ja codziennie zawiązuję krawat? Przecież nikt tego nie oczekuje w zakładzie serwisującym sprzęt AGD-RTV. To pytanie zadawałem sobie często. I zawsze odpowiadałem tak samo: po to, żeby nie wyglądać przy mojej żonie jak palant, kiedy razem wychodzimy do pracy. Bo ona musi być elegancka: garsonka, szpilki, jedwabna bluzka. Ja mógłbym przychodzić do pracy w jeansach, i tak nikt by nie zwrócił na to uwagi. Ale nic to. Codziennie zawiązywałem krawat, tak miało być i już.

Wieczorem okazało się, że kolacja została odwołana. Ku swojemu zdumieniu, kiedy wróciłem do domu, zastałem moją żonę w kuchni. Rzadki to widok, ale bardzo apetyczny. Raz, że Majka jest apetyczna, a dwa to zapachy dochodzące z piekarnika, które aż mi rozpały żołądek.

– Nie pytaj, niespodzianka! – zawołała z uśmiechem.

Fakt, nie lubię niespodzianek, ale kulinarne niespodzianki mojej żony były wyjątkiem. W przeciwieństwie do innych, te akurat zawsze wychodziły mi na zdrowie. Jeśli jej się chciało, to naprawdę potrafiła poczarować w kuchni. Tutaj przydawał się jej nadmiar energii. Potrafiła z niezwykłą wyobraźnią łączyć składniki, o których nawet nie pomyślałbym, że połączyć je można i warto. Truskawki

z bazylią na ciepło. Kawa z ketchupem jako sos do grillowanych kiełbasek. Ryba z rodzynkami w piwnym sosie. Surowy kalafior z orzechami i zestawem przypraw, których nie potrafię nawet spamiętać. I tak dalej. Teraz pachniało po prostu zapiekanką, ale wiedziałem, że tam w środku „po prostu zapiekanka” będzie „po prostu wyborną zapiekanką”. Nie myliłem się, chociaż składniki były banalnie proste. Kalafior, jakieś pestki lub małe orzeszki, kilka młodych marchewek, ze dwa ziemniaki. To wszystko polane jakimś sosikiem, który Majka warzyła już nieraz na moich oczach i za Chiny Ludowe nie potrafiłem go zgłębić. Za każdym razem robiła go trochę inaczej i za każdym razem wychodził bosko. Raz była tam śmietana, innym razem tylko mleko. Raz go wcześniej podgrzewała, innym razem bełtała na zimno. Czasami było tam jajko, czasami nie. Przypraw nie zliczę. A wszystko to posypane tartym żółtym serem zmieszany z parmezanem. Kilka razy też próbowałem coś takiego zrobić. Ściśle według wskazówek. I w każdym przypadku była to tylko imitacja jej kulinarnych wyczynów. Zjadliwe, ale nie to.

Majka, uśmiechając się do mnie, właśnie wyciągała ambrozię z piekarnika. Poleciałem do łazienki myć ręce i założyć jakieś bardziej swobodne ciuchy. Rzuciłem się na domową ciepłą kolację, jakbym miesiąc nie jadł. No, może nie miesiąc, ale półtora tygodnia. Bo tyle czasu minęło, odkąd moja ślubna przyrzadziła mi ciepły

posiłek. Smakowało równie dobrze, jak pachniało, więc cały poświęciłem się konsumpcji. Majka patrzyła z wyraźnym ukontentowaniem. Każdy by się cieszył, gdyby jego dzieło spotkało się z tak namacalnymi wyrazami uznania.

Ale cóż, wiedziałem, że się nie wykpię. Temat wakacji wróci. Więc sam postanowiłem go zainicjować.

– Maju, znasz moje nastawienie do wyjeżdżania z domu.

– Pewnie, że znam. Ty znasz moje.

– Też znam. Daj mi chwilę.

– Nie ma sprawy. Mamy czas do września. Pozwól mi jednak nacieszyć się po mojemu. Ty nie musisz siedzieć ze mną i wybierać. Przejrzę dostępne oferty i pokażę ci, co znalazłam. Wtedy wybierzemy. Ale nie chcę tego odwlekać.

– Maju, dopuszczasz do siebie myśl, że moglibyśmy nie pojechać? Że jednak zostalibyśmy w domu?

– Nie, Adam, nie dopuszczam. – Cień na twarzy mojej żony spowodował, że przeszły mi ciarki po plecach.

Wiedziałem, że to była dla niej ważna rzecz, ale nie potrafiłem się przełamać. Wyczułem, że jeśli dalej będę się jej przeciwstawiał, to może dojść do poważniejszego kryzysu. Zresztą, czy przypadkiem prostą drogą i tak nie zmierzaliśmy do jakiegoś kryzysu? Poważniejszego?

Atmosfera była na krawędzi gwałtownego

ochłodzenia. A ja pozostawałem w świetnym nastroju po wybornej kolacji i nie miałem najmniejszej ochoty na żadne swary. Uśmiechnąłem się zatem i zaproponowałem, żeby Majka usiadła do komputera i coś wybrała. Oznajmiłem też, że bez protestu dopasuję się do jej wyboru. Ale moja żona za dobrze mnie знаła.

– Po prostu ci się nie chce, leniuszku – powiedziała wesoło.

Uśmiech Majki rozwiewał niedobre myśli i dawał pogodną nadzieję na najbliższe godziny.

– Trochę mi się nie chce, to fakt. Poza tym widzę, jaką sprawia ci to frajdę. Mnie mniejszą, więc nie będę ci psuć humoru.

Majka też nie miała ochoty na kłótnię, więc zostawiła mi do sprzątnięcia kuchnię po kolacji, a sama poszła buszować w necie. Po dwóch godzinach przysłała z ośmioma propozycjami. Nie wiem, jakim cudem zdołała przejrzeć tę masę ofert, nie wiem, jakie przyjęła kryteria, i nie chcę wiedzieć. Na pewno zrobiła to świetnie i tego się będę trzymał. Była tam bajecznie odludna latarnia morska, kilka malutkich i wyglądających na przytulne pensjonatów, ale też i dwa duże hotele. Molochy, wśród których mieliśmy nie wybierać. Na dodatek pięć z tych ośmiu propozycji było na wyspach, a mieliśmy zdecydować się na wakacje na lądzie, żeby nie ograniczać się przeprawami promowymi. To na wypadek, gdybyśmy chcieli pozwiedzać trochę Chorwację, a na pewno taki wypadek

nastąpi. Moja żona nie usiedzi w miejscu, to z góry wiadomo. Długą chwilę oglądałem wybrane przez Majkę lokalizacje i zacząłem wątpić w to, czy aby na pewno wiedziała, czego szuka. Propozycje były od Sasa do Lasa. Byłem jednym wielkim znakiem zapytania.

– Że standardowo zapytam: ale o co chodzi?

– Trochę dla ciebie, trochę dla mnie. Wiem, że ty wolałbyś coś odludnego. Chciałbyś posiedzieć dwa tygodnie w jednym miejscu i wygrzać sobie kości aż do samego szpiku. Może kompromis?

Nie wierzyłem własnym uszom. Moja żona proponuje mi kompromis? Nastąpił koniec świata? To było możliwe wyłącznie pod warunkiem, że ja z czegoś zrezygnuję, a ona nie. Zaczynam być cięty – pomyślałem i na szczęście nie wypowiedziałem swoich myśli głośno. Dlaczego od razu zakładałam, że ma być tak źle? Bo zawsze tak było – podpowiedział mi jakiś wewnętrzny chochlik. Na chwilę oderwało mnie to od chorwackich rozważań, bo przecież każdy by był zaniepokojony, gdyby zdał sobie sprawę, że właśnie zaczął słyszeć głosy. Ostrożnie wróciłem do rzeczywistości.

– Kompromis to znaczy... – zapytałem ostrożnie.

– To znaczy, że spędzimy dwa tygodnie w jednym miejscu, nie ruszając się stamtąd ani na krok, ale nie będziemy w wymarzonej przez ciebie odludnym miejscu.

– Tylko gdzie? – Moja podejrzliwość rosła.

Kompromis musi mieć drugie dno.

– Tylko w dużym hotelu. – Marianna też była ostrożna, ale stanowcza.

– Jak dużym?

– Bardzo dużym.

Wyrok zapadł. Chwilę milczałem, zbierając myśli. W końcu odważnie je wyraziłem.

– Nie podoba mi się ta idea.

– I nie będę jójczyć o aktywne zwiedzanie okolicy – dodała tytułem zachęty żonka, ignorując mój protest.

– Nauczony doświadczeniem, nie wierzę.

– W tym hotelu jest spa – wydusiła z siebie ze źle ukrywaną radością.

A więc tu jest drugie dno – pomyślałem i wytoczyłem ostatnie działo.

– Majka, oszalałaś? Spa?! Nas na to nie stać!

Od kilkunastu miesięcy, ośmieleni kolejnymi podwyżkami Majki, marzyliśmy o większym mieszkaniu. Mieliśmy dwupokojowe czterdzieści metrów – udało nam się szybko je spłacić – a teraz bardzo chcieliśmy czegoś większego. To wymagało dyscypliny, oszczędności, liczenia wydatków. Majka tymczasem często puszczała finansowe wodze fantazji, odsuwając perspektywę większego mieszkania w bliżej nieokreślonej przyszłość.

– Adam, policzyłam i zastanowiłam się dosyć dokładnie. Stać nas – nie odpuszczała – bo wygrana pokryje nam koszty podstawowego pobytu. Hotel nie

jest kosmicznie drogi, wystarczy tej wygranej i jeszcze trochę zostanie. Jest na wyspie, co tym bardziej sprzyja turystyce leżakowej i plażowej, pięknie położony, ale o standardzie dosyć średnim. Stąd ta przystępna cena. Chyba chcą przyciągnąć więcej turystów, może ciut bardziej zamożnych. Dlatego w tym roku zrobili spa, ale nie jest jeszcze rozbudowane. W każdym razie, stać nas na to, a poza tym mam wielką, wielką, WIELKĄ chęć po prostu wymoczyć i wygrzać kości. Co ty na to?

Milczałem, bo i cóż ja na to? Cóż mogłem powiedzieć? Widziałem w oczach Majki zachwyty. Ten rodzaj zachwyty, który nie pozwalał mi na odmówienie jej czegokolwiek. A poza tym, jak zawsze, szczególnie w nieracjonalnej sprawie, potrafiła użyć racjonalnych argumentów. Skoro hotel nie jest za drogi, to nie trzeba będzie dopłacać do pobytu, z czym się liczyliśmy. Majka zagospodaruje nadwyżki, a ja będę miał święty spokój. Nie miałem wątpliwości, że ze wstępnych finansowych kalkulacji zrobi się na miejscu dwa razy tyle. No bo jeszcze to i tamto, i jeszcze trochę tamtego... I tak się łączy suma znacznie przekraczająca nasze założenia. Dodatkowo irytowała mnie myśl, że Marianna i tak postawi na swoim. Zrobi to w ten albo inny sposób, ale bez wątpliwości. To powodowało, że nie miałem najmniejszej ochoty zgadzać się na jej propozycję. Nawet, jeśli wydawała się rzeczywiście kompromisowa. Właśnie – „wydawała się”.

– Muszę się zastanowić. – Postanowiłem grać na

zwłokę.

– Ty zawsze musisz się zastanawiać. Jakby nie można było takiej prostej decyzji podjąć od razu.

– To nie jest prosta decyzja – broniłem się.

– To tylko wakacje!

– To dwutygodniowy wyjazd na drugi koniec Europy! Nie chcę przez dwa tygodnie żałować, że tłułem się tysiąc trzysta kilometrów nie wiadomo po co. – Czuję w kościach burzę, ale już byłem wojowniczo nastawiony. Buntownik z wyboru, na pół wieczoru.

– Znowu utrudniasz! – Majka była zła.

– A ty znowu chcesz postawić na swoim!

I tak skończył się wieczór. Nie zagościł w naszym domu uśmiech. Nie żartowaliśmy sobie. Poszliśmy do łóżka w minorowych nastrojach.

Rozdział 5.

Trzeba się jakoś pocieszyć

Następnego dnia jadąc autobusem do pracy, rozmyślałem o tym, jak smutne stały się nasze rozmowy. Większość z nich kończyła się niesnaskami. Awanturą raczej nie, bo nie kłóciliśmy się głośno, ale niemal codziennie atmosfera była zwarzona. Przypomniałem sobie, jak to drzewiej bywało. Zawsze byliśmy uśmiechnięci. Mieliśmy dla siebie dobre słowo. I czas. No i w ogóle jakoś tak było radośniej. Chciało nam się chcieć. Ten obraz przywołany z odmętów czasu rozjaśnił szary poranek, chociaż nie na długo. Bo tak było kiedyś, a teraz nie jest. Spotykamy się we wspólnym domu tak, jakbyśmy trafili tu przypadkiem. Jakbyśmy wcale nie chcieli ze sobą być, spędzać czasu, rozmawiać.

Smutny to będzie dzień – pomyślałem. I jeszcze smutniejszy wieczór – dodał znowu mój wewnętrzny głos, kiedy tylko uświadomiłem sobie, że Majka ma dzisiaj znowu jakąś służbową kolację. Chyba tę przełożoną z wczoraj. Miałem zatem perspektywę powrotu do pustego mieszkania, a potem kolacji w towarzystwie telewizora, kolacji, którą będę musiał zrobić sam.

Szkoda, że służbowych spotkań Majka ma coraz

więcej – rozmyślałem. Od dwóch lat, od kiedy zmieniła pracę, strasznie się ode mnie oddaliła. Czy to samotność? – zadawałem sobie to pytanie coraz częściej. Czy można się aż tak zagubić w codzienności? Niby każdy nasz dzień był wspólny. Prawie każdy, bo Majka coraz częściej w ostatnim okresie wyjeżdżała. Ostatnio nasze wspólne dni zawierały coraz mniej wspólnych elementów. Ja czytałem, Majka chciała umówić się do knajpki. Majka oglądała telewizję, ja wolałem iść do kina. Kiedy już szliśmy do kina, nie mogliśmy uzgodnić, na jaki film. Ja wolałem cichy wypad na weekend w okolice Kazimierza, Majka – wyprawę do gwarne go Sopotu. Ona gnała uprawiać sporty wodne, ja zostawałem na plaży jako stróż mienia, zagłębiając nos w lekturze. Czy zostało nam jeszcze coś wspólnego? Może żyliśmy aż tak oddzielnie, że nie było już możliwości porozumienia? Coraz częściej dochodziłem do wniosku, że skoro nasze wspólne życie właściwie przestało być wspólne, to może trzeba będzie w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. Usankcjonować stan rzeczywisty i po prostu się rozstać. Tego straszliwie się obawiałem, tego okropnie nie chciałem.

Ostatnio coraz częściej rozmawiałem z rozwiedzioną siostrą mojego kolegi z pracy. I z przyjemnością myślałem o tym, że znowu się z nią spotkam. Zawsze mieliśmy o czym rozmawiać i trudno było te rozmowy skończyć. Bogdan patrzył na to z rezerwą, chociaż się uśmiechał. Znał Majkę, ale jej nie

lubił. Uważał, że jest pusta i samolubna, że ludzi wykorzystuje i porzuca wedle własnych potrzeb. Bardzo lubiłem Bogdana i jeszcze bardziej lubiłem jego siostrę Beatę, jednak nie mogłem zgodzić się z taką oceną mojej żony. Była ciepła, miła i sympatyczna, gdzieś to tylko zgubiła. A ja nie wiedziałem, jak jej pomóc to odnaleźć.

Kiedy dojechałem do pracy, miałem wyjątkowo parszywy nastrój, chociaż nie wydarzyło się w zasadzie nic szczególnego. Tylko słońce świeciło w poprzek, powietrze było za przezroczyste, a ludzie na ulicach uśmiechali się głupkowato. Dzień zapowiadał się parszywie. A jednak...

Około drugiej do Bogdana przyszła Beata. Z bratem załatwiła sprawy w try miga, a potem zagłębiliśmy się w rozmowie, w prawdziwej rozmowie – powolnej i nieśpiesznej, z uwagą skierowaną na drugiego człowieka. Od słowa do słowa uzgodniliśmy, że obydwoje mamy wolny wieczór i żadne z nas nie ma nic przeciwko temu, żeby spędzić go wspólnie. Do domu jechałem cały w skowronkach, nie rozważając żadnych opcji. Bez żadnych złych przeczuć. Cóż bowiem może znaczyć jeden wieczór spędzony w kinie ze znajomą? Sympatyczną, ale tylko znajomą? Przecież to nic. Nawet nie zamierzałem opowiadać o tym Majce.

Około osiemnastej Majka wpadła jak po ogień, zrzuciła służbową garsonkę, przebrała się w koktajlową sukienkę, w biegu wypła łyk herbaty, którą zdążyłem

jej zrobić, i już jej nie było. Jak wiatr, nie do zatrzymania, nie do powstrzymania. Zostawiła mnie z poczuciem, że nawet nie zauważyła, jak stoję w kuchni i czekam na jej uśmiech, że jestem. Cmoknąć w policzek potrafi automat, jeśli się go odpowiednio zaprogramuje. Spieszyła się i tyle – pocieszyłem się i oddałem ostatnim przygotowaniom do wyjścia.

Rozdział 6.

O czym był ten film?

Z Beatą podjechaliśmy pod kino dokładnie w tym samym momencie, obydwójce o kwadrans za wcześnie. Nie pamiętam nic do momentu, gdy już siedzieliśmy w kinie. Wtedy dopiero pomyślałem o moim pustym żołądku. Uświadomiłem sobie, że nie jadłem kolacji, a seans skończy się przed dziesiątą. Na chwilę wyszedłem, zadzwoniłem do pobliskiej greckiej knajpki i zarezerwowałem stolik. Nigdy tam nie byłem, numer znalazłem na ulotce leżącej w hallu kina. A już szczególnie nie mógłbym tam być z Majką, ona wołała bardziej reprezentacyjne miejsca. Miałem jednak nadzieję, że kameralny nastrój restauracji (jak obiecywała ulotka) spodoba się Beacie.

Co ja wyprawiam? Nawet nie uzgodniłem tego z Beatą – tętniło mi w głowie, kiedy wracałem na swoje miejsce w kinowej sali. No i co z tego – odpowiedziałem sam sobie. Tak jak zarezerwowałem, tak i mogę odwołać rezerwację. Nic się przecież takiego nie stało.

– Jak ci się podobał film? – zapytałem, bo wydawało mi się, że takie pytanie zadać wypada.

– Hm... jak by to powiedzieć... – Beata zamilkła, a ja zacząłem się śmiać.

– No tak, faktycznie, mógł być lepszy. To może poprawimy sobie nastrój?

– Jak? – Miała filuterny błysk w oku. Lubilem ją coraz bardziej, a taki błysk... Ach! Szkoda słów.

– Może drobna kolacja? Nie zdążyłem zjeść przed wyjściem, jestem głodny jak wilk. Tu w pobliżu jest mała grecka knajpka, bardzo ją lubię. Mamy tam zarezerwowany stolik na dziesiątą, ale nie czuj się zobowiązana... – zamilkłem, bo zabrzmiało to jakoś głupio.

Pierwszy raz zaprosiłem dziewczynę do kina i od razu startuję z kolacją. Miało być niewinnie, a wygląda na pełną premedytację. Ulubiona knajpka, też coś! Zarezerwowałem stolik w miejscu, w którym nigdy nie byłem. Chyba się zapędziłem. Ale, ku mojemu zdumieniu, Beata uśmiechnęła się i stwierdziła, że to świetny pomysł. Chwyciła mnie pod ramię i powiedziała „prowadź”. Jak ja potrzebowałem czegoś takiego! Aż mi się ciepło zrobiło. Jakaś kobieta tak po prostu oddała mi swój wieczór. Nie mówiła, co będzie lepsze. Nie krytykowała ani nie podsuwała własnych pomysłów. Po prostu podała mi ramię. Zapomniałem już, jakie to może być przyjemne.

Kolacja upłynęła zwyczajnie, bez żadnych fajerwerków. I tego właśnie potrzebowałem. Było tak miło, że kompletnie zapomniałem o zegarku. Na Beatę nikt w domu nie czekał, ale kiedy Majka wróci do domu i mnie nie zastanie, będzie się denerwować. Przecież nie

powiedziałem jej, że wychodzę. Zajęty uroczym towarzystwem i beztruskim spędzaniem wieczoru, zreflektowałem się dosyć późno, w okolicach pierwszej w nocy. Beata zauważyła, że zacząłem się spieszyć i nie oponowała. Z uśmiechem podziękowała za wieczór i dodała, że bardzo to było miłe nie spędzać wieczoru samotnie. Odwróciła się i weszła po schodach do swojego mieszkania, w którym nikt na nią nie czekał. Ja poganiałem taksówkarza, żeby prędzej zawiózł mnie do mojego mieszkania, w którym także nikt nie czekał.

Dopiero po trzeciej Majka pojawiła się w domu. Do tego czasu zostawiłem pięć wiadomości na sekretarce jej wyłączzonego telefonu. Byłem już bliski obdzwaniania szpitali. Majka wróciła w świetnym humorze, ze zdziwieniem zauważyła, że jeszcze nie śpię, po czym sama zasnęła kamiennym snem.

Rozdział 7.

Palenie jest głupie

Rano jak zawsze spieszyliśmy się do pracy. Każde wykonywało istotne dla siebie czynności w sobie właściwym tempie. Poprzedni wieczór dokonał we mnie przełomu.

– Majka, chciałbym wieczorem pogadać. Tyko bez pośpiechu, tak spokojnie.

– To super, bo ja też chciałabym ci coś powiedzieć.

– Zakręciła się i już jej nie było.

Czasami moja żona przypominała mi Pszczółkę Maję. Zamacha skrzydełkami i już odfruva. A ja byłem Guciem – lekko ocieżałym, nie tak bystrym, ostrożniejszym. Wczorajszy uśmiech Beaty, jej spokój i wewnętrzna cisza obudziły we mnie właśnie takie potrzeby – harmonii, ciepła, miękkości. Kiedyś tak było w naszym domu. Ale się zmieniło – pomyślałem, rzucając spojrzenie w lustro, ostatnie przed wyjściem do pracy. Dopiero dużo, dużo później uświadomiłem sobie, że spojrzenie w lustro przed wyjściem do pracy nie było moim typowym zachowaniem. Tego dnia spowodowane było myślą, że być może Beata znowu zechce odwiedzić Bogdana. Uśmiechnąłem się do pani Ewy, która przyszła posprzątać nasze mieszkanie, uśmiechnąłem się do własnych myśli i wyszedłem.

Wieczorem w domu zastałem żonę. Niemal zawsze wracałem do pustego domu, a Majka robiła karierę gdzieś w wielkim świecie. Wracała późno, często dopiero około dziesiątej. Więc kiedy dzisiaj zobaczyłem ją o godzinie osiemnastej, drugi raz w ciągu ostatnich kilku dni, i to znowu w kuchni „przy garach”, na chwilę zamarłem. To musi być naprawdę coś ważnego – pomyślałem, zdejmując kurtkę.

– Cześć kochanie! – zaszczębiotała moja pszczołka.

Oj, bardziej niż bardzo ważnego!

– Cześć, Majeczko – odszczębiotałem nieco podejrzliwie.

– Myj ręce i siadamy do kolacji.

– Jakaś okazja? O czymś nie wiem? – pytanie było retoryczne, bo przecież wiedziałem, że jest jakaś okazja. W końcu nie codziennie na stole pojawiały się świece i kryształowe kieliszki.

– Pewnie, że okazja – Majka promieniała.

Aż mi się wierzyć nie chciało, że to, co wносиła na półmiskach, było naprawdę jej dziełem – pomimo że znałem jej umiejętności. Chociaż umiała gotować świetnie, to nie wierzyłem, żeby przygotowywała apetyczne galarety w korporacyjnej wnęce jadalnej, nazywanej szumnie kuchnią. Prędzej uwierzyłbym w jakiś catering. Nie bądź wredny – pomyślałem. Ani wyrachowany – dodał mój wewnętrzny głos. Dobra kuchnia wymaga jednak nie tylko umiejętności, ale także czasu i serca, a tego akurat Majka nie mogła gotowaniu

poświęcić, przynajmniej w ostatnich tygodniach.

– Kochanie, dostałam awans – oświadczyła uroczyście.

– Gratulacje – powiedziałem głośno, z uśmiechem i bez entuzjazmu. Po cichu zakląłem szpetnie. – Czy to znaczy, że nie będzie cię w domu jeszcze dłużej, niż do tej pory? O ile to jest w ogóle możliwe?

– Ten sarkazm na pewno mi nie pomoże. A już na pewno nie sprawi, że będę z tego awansu cieszyła się jeszcze bardziej.

– Majka, zrobiłaś pyszną, przepyszną kolację. Chciałbym spędzić ten wieczór w miłej i sympatycznej atmosferze. Ale chyba o czymś zapomniałaś. Ja też chciałbym się cieszyć z twojego awansu. Jak też chciałbym się cieszyć z naszego wspólnego życia. Ale nie dajesz mi szansy. Nie mogę cieszyć się z tego, że będę cię miał jeszcze mniej. Że jeszcze rzadziej będę cię widywał. Skoro teraz wyjeżdżasz na dwa dni w tygodniu, bo jak będzie po awansie? Będziemy się widywać w weekendy?

– Wiesz co, odczep się. Wychodzę.

I naprawdę wyszła. Tak po prostu. Założyła płaszcz, buty, i zamknęła drzwi z drugiej strony. Z zaskoczenia nawet nie ruszyłem się z miejsca.

Palenie ograniczałem już od czterech lat, pod żadnym pozorem nie paląc w domu. Jeśli już, to w knajpie, w towarzystwie, w przerwie w pracy – ale nigdy nie w domu. Dom miał pozostać oazą wolną od

dymu, a raczej smrodu, i skutecznie udawało mi się przestrzegać tej zasady przez cztery lata. Aż do dziś. Właśnie bowiem uznałem, że to jest ten moment, w którym zapalić MUSZĘ. Więc też ubrałem się w kurtkę i ciepłe buty, i też zamknąłem drzwi z drugiej strony.

W pobliskim kiosku kupiłem paczkę papierosów i zapalniczkę. Było za zimno, żeby palić na zewnątrz, więc wróciłem do domu. Bez skrupułów zasmrodziłem nasz śliczny, wychuchany przez panią Ewę salon. Wychuchany – cóż za ironia. Majka dobrała podłogi, kolor ścian, meble, firany i zasłony. Nawet wszystkie bibeloty. Zrobiła to z gustem, trzeba przyznać. Ale ani razu nie odkurzyła ram obrazów, ani razu nie umyła okien. Jej dbanie o dom kończyło się na męczącym spisaniu listy rzeczy do zrobienia. Nawet nie przekazywała tej kartki pani sprzątającej, bo już w tym czasie była w pracy. Co najwyżej od czasu do czasu, z rzadka, jeśli akurat znalazła na to chwilę, zgłaszała pretensje: ramy okienne niedomyte, podłoga pod szafkami niezbyt czysta. Ale te pretensje przekazywałem ja. Pani do sprzątania przychodziła we wtorki i czwartki o dziewiątej, a tylko ja mogłem pozwolić sobie na spóźnienie do pracy.

Wszedłem do pokoju. Na biurku znalazłem potwierdzenie rezerwacji. Nasze wakacje w Chorwacji były już przesądzone, jak się okazało. Ostatecznie Majka i tak zrobiła po swojemu – dokładnie tak, jak

przypuszczałem. Dlaczego miałyby zrobić inaczej? Zawsze tak robiła. Tylko ja, naiwniak, bez jej zgody nie chciałem podejmować żadnych decyzji. Mogłaby być niezadowolona, a ja chciałbym jej nieba przychylić. Tylko ja, jak ostatnia ciamajda, pytałem ją o wszystko, rozważając każdą opcję i doszukując się punktów, w których mógłbym zrobić coś dla Majki lepiej. Przed moimi oczami leżał dowód, że Majce moje życzenia były obojętne. Że to, co robiła, robiła z myślą o swojej wygodzie i swoim zadowoleniu. Żyła po swojemu i dla siebie. Wydawało mi się, że czara goryczy przepełniła się i nic już nie można dodać do tego obrazka.

Po wypaleniu piątego papierosa zrobiło mi się niedobrze. Dom był pełen śmierdzącego dymu, a mój mózg otumaniony. W ostatnim przed zaśnięciem odruchu przyzwoitości postanowiłem wynieść popielniczkę do kuchni i wywalić pety do kosza. Tam, starannie poskładane, w samym kącie zlewozmywakowej szafki, leżały kartonowe opakowania z napisem *Sheraton Catering Service*.

Nie wracaliśmy więcej do tego tematu. Majka miała żal, że nie skakałem z radości pod sufit z powodu jej kolejnego zawodowego sukcesu. Ja miałem żal, że przestała mnie uwzględniać w swoich życiowych planach. Ona wyjeżdżała coraz częściej i na coraz dłużej. Ja coraz mniej miałem ochotę spędzać czas samotnie, a z Beatą rozmawiało mi się doskonale.

Nie wracaliśmy także do tematu wakacji.

Rezerwacja została potwierdzona, więc nie było już o czym rozmawiać. Mogłem pojechać albo nie. Kusiła mnie Chorwacja, mamił ciepły, lazurowy Adriatyk i świeże owoce morza. Zacząłem wyobrażać sobie, że Majka całe dni będzie spędzać w SPA, a ja – na plaży. Wezmę ze sobą pół biblioteki, rozłożę na kamieniach matę i będę szczęśliwy wszechobecną ciszą. Sielankowy obraz zakłócała wizja gwarnego, ogromnego hotelu, ale nie zamierzałem się tym katować. Będzie jak będzie.

Rozdział 8.

Imieniny

Kończyła się zima, wiosna przybiegała truchtem – aż chciało się żyć. Powietrze było przeźroczyste, skwery zazielenione, słońce świeciło jaśniej. U nas w domu bez zmian, za to...

Dziewiętnastego marca Bogdan obchodził imieniny. Należałem do jego najbliższych znajomych, zaproszenie było oczywiste. Majka wyjechała w delegację. Czy gdyby była na miejscu, coś by to zmieniło? Czy zechciałaby ze mną pójść? Mało prawdopodobne. Zbyt proste towarzystwo. A może jestem zbyt okrutny? Nieważne zresztą, bo na Bogdanowym przyjęciu nie mogło zabraknąć jego siostry.

Jak zawsze świetnie nam się rozmawiało. Trudno powiedzieć, że byliśmy duszami towarzystwa, bo właściwie nas nie było. Siedzieliśmy sobie w kącie kuchni i sączyliśmy wino. Powoli, bez pośpiechu, ze spokojnym uśmiechem. Gdzieś w tle grała muzyka, ktoś tańczył, ktoś się śmiał. Było chyba głośno. Przegadaliśmy tak, zapominając o świecie, do drugiej w nocy. Impreza zaczęła przygasać, a goście zbierać się do wyjścia. I mnie wypadało. Pożegnałem się, zacząłem zakładać płaszcz... i zdałem sobie sprawę, że przecież

Beata też wychodzi. Jest wprawdzie siostrą Bogdana, ale jesteśmy dorośli. Bogdan mieszka ze swoją rodziną, nie z Beatą... Serce mi zapikało.

– Odwiozę cię do domu – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Nie rób sobie kłopotu. Zamówiłam taksówkę.

– To dobrze, bo o tym zapomniałem. I oczywiście, że odwiozę cię taksówką. Nie mam samochodu. – Tak ustaliliśmy wspólne wyjście.

Kiedy pożegnaliśmy się z Bogdanem i jego żoną, mój przyjaciel zatrzymał mnie, dosłownie już na progu.

– Nie zrób jej krzywdy, proszę.

– Co ty, Bogdan, nie wygłupiaj się. My tylko ze sobą miło rozmawiamy.

Popatrzył na mnie długo i bardzo przenikliwie.

– Nie zrób jej krzywdy – powtórzył.

Przecież nie zamierzałem robić jej krzywdy. Jej ani nikomu innemu. Wsiadliśmy więc do taksówki i odwiozłem Beatę niemal pod same drzwi klatki schodowej jej bloku. Jak gentelman: wyszedłem, otworzyłem przed nią drzwi, podałem dłoń, pomagając wysiąść z samochodu. Jak stateczny, dorosły i odpowiedzialny człowiek odprowadziłem ją pod same drzwi. I jak sztubak, nastolatek, jak smarkacz chwilę później całowałem się z nią do nieprzytomności.

A dalej była już tylko magia. Następne kilka dni próbowaliśmy poradzić sobie bez siebie. Beata nie przychodziła do Bogdana do pracy, ja o nią nie pytałem.

Jak gdyby nigdy nic. Ale to nie było nic. Z trudem udawało mi się nie śpiewać podczas pracy i nie tańczyć w drodze do autobusu. Klienci byli uprzejmi, deszcz padał suchy, a dziury w ulicach były przyjemnym urozmaiceniem płaskiej monotonii asfaltu.

W czwartek nie wytrzymałem, zadzwoniłem. Majki jak zwykle nie było w domu – znowu jakaś kolacja czy inne arcyważne spotkanie. Siedziałem sam przed telewizorem i wspominałem moment, w którym zabrakło mi tchu w piersiach. Raptem nie było wokół mnie powietrza i oddychać mogłem wyłącznie dzięki temu, że podłączyłem się do ust Beaty. To wspomnienie elektryzowało mnie bez przerwy.

Beata odebrała po drugim sygnale. O ile do tej pory zawsze nam się świetnie rozmawiało, o tyle przez telefon rozmowa się nie kleiła. Nieśmiałość wkradła się między nas. Nieśmiałość! Też coś! Rozwódka i żonaty, a zachowują się jak dzieciaki. Umówiliśmy się na sobotnie popołudnie na spacer za miastem.

Majki miało nie być w domu przez cały weekend. To i dobrze, że jej nie ma w tej chwili i nie będzie przez najbliższe dni. Byłem przekonany, że bił ode mnie blask. Nawet ona musiałaby to zauważyć, chociaż już od dawna patrzyła na mnie jak na mebel. Właściwie przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Wymienialiśmy aktualne komunikaty: rachunki, zakupy, sprząatanie, plany na najbliższe dni, które zwykle zamykały się stwierdzeniem, że Majki znowu nie będzie. Zdarzył się

wspólny wypad do znajomych, nieudany, bo my nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać, nie mieliśmy więc także czym się ze spotkanymi ludźmi podzielić. Dopiero kiedy panie wychodziły do kuchni, a męska część towarzystwa rozsiadała się przy piwku, spotkanie nabierało rumieńców.

Majkę praca pochłaniała bez reszty. Robiła karierę w tempie superekspresu, zostawiała za sobą ślad obecności i już była dalej. Wciąż dalej, wciąż szybciej, wciąż prędzej. Nie mogłem za nią nadążyć i – co gorsza – wcale już nadążyć nie chciałem. Było jak było, nawet nieźle. Małe, ale wygodnie urządzone mieszkanie, ustabilizowane życie, spokojny byt. Za spokojny, za wygodny. Pozbawiony wrażeń i wspólnych celów. Nudny. Osobny. Coraz częściej dochodziłem do wniosku, że moje wspólne życie z Majką to fikcja. Mit, który – utrzymywany dla rodziny i znajomych – zaczynał mi ciążyć. Przeszarzały, niepotrzebny balast.

Rozdział 9.

Poza domem kolacja też jest pyszna

Weekendowe spotkanie z Beatą... cóż. Siedzieliśmy nad rzeką, spoglądaliśmy na wodę, rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy tak, jak z Majką nie rozmawiałem już od miesiący. O tym, co lubimy, co nam się ostatnio podobało. Jakie filmy widzieliśmy i co nas w nich poruszyło. Co czytamy. Co nas śmieszy, a co denerwuje. Czas płynął, tematów przybywało, a my nieustannie rozmawialiśmy, rozmawialiśmy, rozmawialiśmy. Do naszego pocałunku sprzed tygodnia nie wróciliśmy nawet słowem. A kiedy się żegnaliśmy, podaliśmy sobie dłonie, ot tak, po prostu, cmoknęliśmy się w policzek i tyle.

A potem przez całą noc zastanawiałem się, czy czymś Beatę uraziłem. Powiedziałem coś nie tak? Czemu tak chłodno się pożegnała? Nie umówiliśmy się na następny raz. Targało mną, żeby do niej pojechać, już, teraz, natychmiast, od razu. Pojechać, przeprosić, wyjaśnić. Tylko za co przeprosić i co wyjaśnić? Przeżywałem rozterki nastoletniego chłopca i czułem się z tym cudownie. Jak nastoletni chłopiec.

Bogdan patrzył na mnie w pracy i nie poruszał tematu. Chociaż widocznie go gniótł. Wiedziałem, że któregoś dnia nie wytrzyma i będzie chciał pogadać.

Każdy by chciał. Ja też chciałbym porozmawiać, gdybym miał taką siostrę jak Beata. Ale nie miałem takiej siostry, tylko wielką ochotę na... no właśnie, na co? Czego ja tak naprawdę chciałem?

Chciałem żyć trochę inaczej, niż żyłem do tej pory. Chciałem nie spędzać samotnych wieczorów, tylko cieszyć się ciepłem drugiego człowieka. Chciałem mieć z kim porozmawiać zawsze wtedy, gdy odczuwałem taką potrzebę. Nie chciałem być nieustannie słomianym wdowcem. Ale nie chciałem ranić Majki. Może i zapamiętywała się w pracy, ale nie chciałem rujnować naszego życia, nawet jeśli chwilowo nie było wspólne.

Znowu kilka dni wytrzymaliśmy bez siebie. Znowu zadzwoniłem we czwartek. I tak samo – rozmowa przez telefon nie kleiła się. Umówiliśmy się na sobotę. Tym razem Majka miała inwentaryzację, tak jakby nie mogła jej zlecić sztabowi swoich pracowników. Nie! Majka, perfekcjonistka, wszystkiego musiała przypilnować sama. Oprócz domu, oprócz wspólnej kolacji, oprócz męża. Więc umówiłem się na kolację z Beatą. Tym razem u niej.

Z czwartkowego popołudnia i z piątku nie pamiętam niczego. Czas się dłużył, nic mnie nie cieszyło. Nic nie było warte zainteresowania. Oprócz rozmyślań o kolorze kwiatów, jakie powinienem na sobotę zamówić. Oczywiście róże, oczywiście czerwone. Ile? Dziewięć będzie w sam raz? A może za dużo? Za mało? A może nie czerwone? Białe? Żółte?

Przecież nie mogłem zapytać kolegów o radę. Stańło na dziewięciu czerwonych różach. Dziewięciu krwistych dowodach mojego zauroczenia, które – miałem wielką, wielką nadzieję – nie okaże się fatalne.

Sobotni wieczór nie był fatalny, oj nie! Był cudowny. Zapukałem do Beaty punktualnie o dwudziestą. W jednej ręce trzymałem kolczasty wiecheć, w drugiej butelkę najlepszego szampana, jaki udało mi się dostać. Butelka była ciągle chłodna, rękę miałem zgrabiałą. Chciałem po prostu, żeby można było ją od razu otworzyć, co zresztą zrobiliśmy. Beata przygotowała fantastyczną kolację – coś, co uwielbiam: owoce morza na sałacie w sosie tysiąca wysp, potem pastę z owocami morza, na zakończenie tiramisu. Podczas kolacji nie zamykały nam się usta – gadaliśmy i gadaliśmy, i gadaliśmy. Szampan pozostał wspomnieniem, właśnie byliśmy w połowie drugiej butelki wina, gdy Beata wniosła deser. Przez cały wieczór siedzieliśmy naprzeciwko siebie, teraz usiedliśmy obok. To było zgubne, bo deseru, chociaż rozpływał się w ustach, ledwo spróbowałem. Nie mogłem się oprzeć słodczy zapachu Beaty. Nie mogłem się oprzeć ciepłu jej ciała. Nie mogłem się jej oprzeć. Była tak blisko. Była mi coraz bliższa. No i całowała precudnie. Tak precudnie, że tego wieczora nie skończyliśmy na pocałunku.

Bogdan przestał się do mnie odzywać. Z Beatą spotykałem się coraz częściej. W weekendy nie zawsze

było to możliwe, bo Majka niektóre miała wolne. Umawialiśmy się w tygodniu. Czasem na godzinę, czasem na cały wieczór, czasem na kolację ze śniadaniem. Beata nie zadawała pytań o mój dom, o żonę, o resztę mojego życia. Było dobrze tak, jak było. Na razie.

Rozdział 10.

Pytania bywają trudne

Dni mijały jak w starym filmie. Kartki spadały z kalendarza z nieubłaganą regularnością. Pod koniec kwietnia mieliśmy w pracy wizytację – przyjeżdżała sama góra. Najwyższa i najjaśniej nam świecąca, sam szef szefów. Oczywiście nasz własny szef, prywatny i osobisty, szefujący tylko naszemu, jedynemu serwisowi – dostał świra. Odkurzaliśmy nawet śrubki w kuwetach. Po zabiegach czyszcząco-polerujących nie wyglądaliśmy jak serwis, tylko jak reklama Pana Propera. Szef szefów przyjechał, przeszedł się po sali, trzy razy mlasnął, dwa razy uśmiechnął blado i zamknął się z naszym szefem w gabinecie. Po kilku godzinach wyszedł, uśmiechnął się jeszcze bladziej i wybył. Nasz szef za to był rumiany i rozpromieniony. Szybko podzielił się wiadomościami. Mianowicie, wygraliśmy ogólnokrajowy konkurs na najlepszą sieć serwisów w naszej branży. Oprócz satysfakcji, dostaliśmy z tego powodu jeszcze jakąś kasę, co oczywiście bardzo cieszyło, ale w żaden sposób nie miało przełożyć się na nasze pensje. Natomiast mogło nam ułatwić trochę życie, bo mieliśmy wreszcie dostać nowy samochód, bardzo już potrzebny. No i otrzymaliśmy także prezent, z którym nie bardzo było wiadomo, co zrobić.

Opłacone studia podyplomowe na kierunku marketing i zarządzanie. Bardzo to teraz modne, ale nikt z nas nie miał zamiaru takich studiów podejmować. Szef szefów sądził, że nasz szef będzie tym zainteresowany, ale nie był. I my też nie.

Następnego dnia po południu podszedł do mnie Bogdan.

– Nie uważasz, że takie studia to byłoby coś w sam raz dla ciebie?

– Bogdan, skąd taka myśl przyszła ci do głowy?

– Skarżysz się, że wieczorami jesteś sam w domu, że Majka tak często wyjeżdża... Masz czas na takie studia.

Dawno nie słyszałem, żeby takie androny plół. Właściwie nigdy.

– Bogdan, o co ci chodzi?

– Wiesz, Adam... Wolałbym, żebyś inaczej zagospodarowywał swój czas.

– Widzę, że masz co nieco do powiedzenia. Wal bez ogródek. Wolę usłyszeć to głośno wypowiedziane, niż stracić kolegę.

– To bez ogródek. Beata jest młoda i atrakcyjna. Powinna znaleźć sobie partnera na życie. Poprzednio trafiła fatalnie. Nie chciałbym znowu patrzeć, jak cierpi – zamilkł na chwilę. – Nie sądzę, żebyś miał zamiar postawić swoje życie na głowie. Nie zostawisz Majki, nie rozwiedziesz się, nie będziesz z Beatą żył. Daj jej spokój. Póki jeszcze jest czas. Póki jeszcze nie będzie

tak bardzo bolało. Dla ciebie to przygoda, a dla niej to zaczyna być ważne. Prosiłem cię, nie zrań jej.

I tak po prostu wyszedł. Zostawił mnie z rozdziawioną gębą i odszedł.

Oczywiście wiele razy zadawałem sobie pytanie, czego tak naprawdę chcę. I oczywiście nie potrafiłem jednoznacznie na to pytanie odpowiedzieć. Wiedziałem tylko, że z Beatą jest mi bardzo dobrze, a z Majką nie mam kontaktu. I że nie chcę żyć dalej tak, jak żyję do tej pory. Więc nie posłuchałem mojego przyjaciela i po pracy znowu spotkałem się z Beatą. I było mi tak samo dobrze, jak za każdym poprzednim razem.

Nic, kompletnie nic się nie zmieniło przez kolejne miesiące. Chodziłem do pracy, mijałem się z Majką, spotykałem z Beatą. Z Bogdanem rozmawialiśmy coraz mniej. Wakacje trwały w najlepsze, kiedy niespodziewanie przy niedzielnym obiedzie Majka zaczęła rozmowę.

– Adam, co się ostatnio dzieje?

– Nic, a co ma się dziać? – Stan aktualny był już dla mnie tak oczywisty, że w pierwszej chwili nawet się nie przestraszyłem tego pytania.

– Nie ma cię w domu ostatnimi czasy. To znaczy, mentalnie cię nie ma w domu. I fizycznie często też. Dzwonię do ciebie z drugiego końca Polski, a włącza się sekretarka. Rozumiem, że polubiłeś długie kąpiele w wannie, ale po pierwsze, zawsze bierzesz wtedy do łazienki słuchawkę, po drugie twoje kąpiele nie trwają

po trzy godziny. Powiedz mi, co się dzieje.

– Majka, nic się nie dzieje. Nie ma cię całymi dniami w domu, co w tym dziwnego, że wezmę długą kąpiel i pójdę wcześniej spać? – klasycznie wymigałem się od prawdy, przerzucając winę na Mariannę.

– Nic, Adamie, nie ma w tym nic dziwnego – stwierdziła, lecz minę miała poważną.

I zakończyliśmy temat, co powinno wzbudzić mój niepokój. Majka należała bowiem do osób, które osiągają swoje cele. I jeśli chciała się czegoś dowiedzieć, to się dowiadywała. Mnie natomiast było wygodniej myśleć, że nic się nie dzieje.

Tymczasem romans z Beatą trwał w najlepsze. Mieliśmy już swoje ścieżki, zaprzyjaźniony pensjonat, w którym mogliśmy spokojnie się zaszyć i nie czuć skrępowania. Beata zaczęła jednak oczekiwać zaproszeń na kolację do restauracji, wspólnego wychodzenia do kina, pokazywania się razem w towarzystwie. Zaczęła mnie krępować niewidzialnymi nićmi przywiązania. Dopiero w sierpniu zacząłem zdawać sobie sprawę, że to już nie jest romans. To zaczyna być związek. Spędzaliśmy ze sobą cały mój wolny czas. Majka pracowała tak samo dużo, jak do tej pory, więc ciągle miałem go sporo. Kiedy spotykaliśmy się w towarzystwie, niby przez przypadek, Beata wyraźnie traktowała mnie jak swoją własność. „Beata potrzebuje partnera” – coraz częściej brzmiały mi w uszach słowa Bogdana. I coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że

Bogdan miał rację. Powinienem był zakończyć ten romans na samym początku. Wtedy był piękny i nieobciążony zobowiązaniami. Po krótkim żalu zostałoby piękne wspomnienie. Wiedziałem to i zacząłem się martwić.

Co z tego?! Było mi z Beatą dobrze. Było mi z Beatą bardzo dobrze. Było mi z nią tak dobrze, że poważnie zacząłem rozpatrywać możliwość ułożenia sobie z nią życia. Zacząłem zastanawiać się nad rozwodem z Majką, nad podziałem majątku i innymi sprawami, nad którymi nie powinienem się zastanawiać. Sprawy zaszły tak daleko, że postanowiłem porozmawiać z Majką. A że w ferworze codziennych zajęć nie za bardzo było kiedy, bo Majki ciągle nie było, uznałem, że najlepszym ku temu terminem będą nasze wakacje. Ostatnie wspólne, jak przypuszczałem. Będziemy wyluzowani, oderwani od codzienności. Nie będziemy mieli o czym specjalnie rozmawiać, bo niewiele nas łączy. To będzie dobry moment. Całe dwa tygodnie na omówienie tych spraw w spokoju.

Tak to sobie zaplanowałem. I zacząłem się cieszyć na wspólny wyjazd. Może chociaż ten ostatni będzie wart tego, żeby po latach ciepło go wspominać.

Rozdział 11.

Rozmawiać czy się kłócić?

Przygotowania do wyjazdu były jak zawsze pełne żalów i pretensji.

– Majka, nie zmieszczę tyle do samochodu.

– Naprawdę nie mogę w wakacje mieć tyle ulubionej lektury, na ile mam ochotę? W ciągu roku nie mam kiedy poczytać, więc chcę odrobić zaległości w trakcie wakacji!

– No dobrze. Torba z książkami jest tylko jedna, ale czy musisz mieć aż trzy torby ze swoimi ciuchami?

– Dwie. W jednej są buty.

– I naprawdę potrzebujesz tyle butów i dwie torby ciuchów? Przecież tam wystarczy ci ręcznik i kostium kąpielowy.

– O dobrze, że mi przypomniałeś. Ręczniki.

– Majka, ja tego nie zmieszczę! – jęczałem.

I tak w kółko. Przez pół dnia. Ja najchętniej zostałbym w domu – jak zawsze zresztą. W domu też można odpocząć. Moja niezmierna niechęć do wyjazdów tym razem jednak zeszła na drugi plan. Tak naprawdę najbardziej obawiałem się tego, że trzeba będzie wreszcie ze sobą porozmawiać. To może być trudne, zważywszy na fakt, że od miesięcy wymienialiśmy uwagi, a sztukę rozmowy odłożyliśmy

wysoko na półkę. To może być tym bardziej trudne, zważywszy na temat rozmowy. Bałem się rozmowy z własną żoną, taka była prawda.

Wreszcie. Sobota. Wyjazd. Godzina zero. A raczej godzina dziesiąta, chociaż mieliśmy wyjechać o ósmej. Ale oczywiście Majka miała jeszcze trzydzieści osiem rzeczy do zrobienia; czegoś tam zapomniała, więc trzeba było dopakować, jeszcze jakieś ostatnie telefony, nawet do komputera usiadła, bo jej się przypomniało, że coś tam jeszcze musi zrobić i komuś wysłać. No dobrze. Jedziemy nareszcie.

Od początku byłem w fatalnym nastroju. Chociaż pogoda była taka, że aż chciało się żyć. Słońce świeciło jak oszalałe, termometr wskazywał dwadzieścia stopni, a przecież to był wrześniowy ranek. Po co wyjeżdżać? Najsensowniejsza w tej chwili odpowiedź była taka, że nie chciałoby mi się rozpakowywać całego majdanu. Uzgodniliśmy, że nocujemy w Słowenii. Jedziemy tak długo, jak nam się będzie chciało, więc nie rezerwowaliśmy żadnego konkretnego miejsca. W końcu, do licha, to jest Europa. Cywilizacja. Na pewno coś znajdziemy.

– Ale bajeczna pogoda. – Majka wyciągnęła się wygodnie na siedzeniu pasażera. – I perspektywa bajeczna. Zamierzam w czasie tego wyjazdu kompletnie się wyluzować i nadrobić nasz stracony czas. Co ty na to? – mrużąc jak kociak, uśmiechnęła się promiennie.

Co miałem zrobić? Też się uśmiechnąłem, ale

mniej promiennie. Myślałem cały czas o tym, co chcę ustalić ze swoją żoną podczas urlopu.

– Yhm – odburknąłem.

– Coś taki milczek? – zagadnęła wesoło.

– Skupiam się na drodze.

– No ale chyba mógłbyś ze mną porozmawiać?

– Mógłbym, ale czy moglibyśmy znaleźć lepszą ku temu chwilę? – z trudem ukrywałem irytację.

– Jaką lepszą? Jedziemy razem samochodem, mamy przed sobą długą drogę. Trudno milczeć przez półtorej doby – dobry humor Majki przygasał.

– Jesteśmy małżeństwem od ośmiu lat i przez te osiem lat ile mieliśmy milczących wieczorów? Połowę? Nie licząc tych, kiedy cię nie było?

– Adam, co cię ugryzło? – Majka zachowywała spokój.

– Mnóstwo mnie ugryzło – odwarknąłem.

Po chwili milczenia, raczej stwierdziła niż zapytała:

– Nie cieszysz się z tego wyjazdu?

– Doskonale wiesz, że nie lubię wyjazdów. W pewien sposób z tego się cieszę, ale tylko w pewien sposób.

– Dobrze i to. Jest nadzieja na nic porozumienia.

Majka próbowała ratować fatalnie rozpoczętą podróż. Tym bardziej mój humor stawał się parszywy. Wolałbym, żeby od razu zrobiła awanturę, miałbym powód, żeby się nie odzywać. I potwierdzenie słuszności tego, co zamierzałem zrobić. I może miałbym jeszcze

powód, żeby wrócić od razu do domu. I w ogóle miałbym wtedy powód na wszystko. A tak? A tak...

– Mam nadzieję, że na miejscu ci się poprawi. Zawsze ci się poprawia.

– Poprawi albo nie. Zbyt jesteś pewna swego – atakowałem.

– Może i jestem. Zawsze tak było. Dlaczego teraz ma być inaczej?

– Bo my się zmieniamy. Ty się zmieniasz, ja się zmieniam.

– Adam, oczywiście, że się zmieniamy. – Majka wznosiła się na wyżyny cierpliwości. – Mamy inne potrzeby, kupujemy inne ubrania, w innych sklepach, oglądamy inne filmy w kinach; wiele rzeczy robimy inaczej. Trudno, żebyśmy do końca życia pozostawali jak nastolatki. Co cię ugryzło?

– Wszystko mnie ugryzło. I nic mnie nie ugryzło – odciąłem się dość głupio, ale zdecydowanie.

Kolejne kilka godzin spędziliśmy w uroczystej ciszy. Może to i nie było super miłe, ale dało mi szansę na ostateczne uporządkowanie myśli. Zamierzałem podczas tego urlopu oznajmić żonie, że nie chcę, żeby nadal była moją żoną. Że nie odpowiada mi taki tryb życia, jaki się w naszym domu ustalił. Że lubię spędzać czas w domu, ale nie lubię go spędzać sam. Że bardzo się zmieniła. Strasznie dużo tych „że”. Majka od pewnego momentu zaczęła robić karierę tak gwałtownie, że czasami nie pamiętałem, gdzie pracuje

i jakie obecnie piastuje stanowisko. Awansowała z prędkością światła. Coraz wyżej i za coraz większe pieniądze. Żyło się nam dostatnio i było to pozornie bardzo wygodne. To znaczy, oczywiście było wygodne, ale mnie uwierało odrobinę. Coraz bardziej uwierało. Bo żyliśmy tak wygodnie za pieniądze Majki, a ja siedziałem w tym swoim serwisie, przerabiałem sterty papierów, robiłem, co lubię, ale nie miałem parcia na karierę. Nie dążyłem ciągle dalej i wyżej. Cieszyłem się tym, co mam. Lubiałem cieszyć się porannym słońcem. Lubiałem uśmiechać się do ludzi. Czasem sam o sobie myślałem, że jestem nie z tej epoki. Co miałem poradzić na to, że rano odruchowo uśmiechałem się do przechodzącej sąsiadki. I do pani z budki spożywczej. Zauważyłem, że ona codziennie starała się wyjść na zewnątrz swojego malutkiego kramiku, żeby tylko powiedzieć mi to swoje uśmiechnięte „dzień dobry”. A Majka... cóż, też była miła. Ale w taki inny sposób. Ona uśmiechała się do ludzi, myśląc o czymś zupełnie innym. Majka uśmiechała się niejako służbowo. Prawie zawsze i właściwie do wszystkich. A to tak, jakby uśmiechać się do nikogo, prawda? Majka miała na głowie mnóstwo spraw i dawała to odczuć. Ona była zajęta, ona się spieszyła, ona nie miała czasu, ona była zmęczona. W końcu – chociaż nigdy nie powiedziała tego wprost – miała do tego prawo, bo to ona co miesiąc przynosiła do domu dużo pieniędzy.

Ale przecież ja też miałem do czegoś prawo.

Wołałbym żyć skromniej, za to bardziej razem. Od pół roku miałem romans. Zakochałem się, a moja żona nawet tego nie zauważyła. Ledwie spostrzegła, że często mnie nie ma w domu. Była zadowolona, że wreszcie nie dopytuję się tak natarczywie, kiedy wróci. Że wreszcie dałem jej trochę więcej spokoju. I że nie zawracam głowy jakimiś przyziemnymi domowymi sprawami. Przez ostatnie miesiące okazało się, że jakkolwiek późno bym nie wrócił do domu, Majki jeszcze w nim nie było. Kończyła ostatnio pracę o dwudziestej drugiej. Wracała do domu padnięta – trudno się zresztą dziwić – wypijała podaną przeze mnie herbatę i kładła się spać. Nie mieliśmy czasu porozmawiać, nie mieliśmy czasu nacieszyć się sobą. Nie mieliśmy czasu razem żyć. A i w te wyjątkowe weekendy, gdy Majka nie wyjeżdżała, nie było lepiej. Ja wstawałem skoro świt, ona odsypiała tydzień. Wstawała około jedenastej, zjadaliśmy razem śniadanie. I tyle było naszego wspólnego bycia. Potem Majka udawała się na aktywny wypoczynek – na rower, basen, inną wyprawę. Czasem jej towarzyszyłem, ale rzadko. Wołałem zostać w domu i poczytać albo powiesić obrazek, coś odmalować, naprawić... Spotykaliśmy się późnym popołudniem lub wieczorem, oglądaliśmy telewizję i weekend mijał.

I tak tydzień po tygodniu odchodziliśmy od siebie coraz dalej. Kiedyś mieliśmy mnóstwo wspólnych tematów. Czytaliśmy te same książki i uwielbialiśmy o nich dyskutować. Po obejrzeniu filmu potrafiliśmy pół

nocy rozmawiać o tym, co nam się podobało, jak oceniamy bohaterów, i jak my na ich miejscu... Razem jeździliśmy po zakupy, razem sprzątaliśmy, razem przygotowywaliśmy posiłki, razem je jedliśmy. Każde z tych „razem” sprawiało nam radość. I wspomnienie tych wszystkich „razem” uwierało mnie cierniem. Bardzo za tym tęskniłem. Dzisiaj nie miałem tego ani od Majki, ani od Beaty. Od Majki nie miałem, bo ona stworzyła własny świat, do którego nie miałem dostępu. Jak miałbym mieć dostęp do czegoś, czym się ze mną nie dzieliła? Jak zresztą mieliśmy tworzyć wspólny świat, skoro ona swój przeniosła do biura? Od Beaty z kolei nie mogłem oczekiwać tych wszystkich drobnych, a istotnych „razem”, bo przecież nie mogliśmy razem kłaść się spać i budzić rano. Nie mogliśmy nawet oficjalnie wyjść razem do miasta. Miałem w tej chwili bardzo bogate życie. Życie z dwiema kobietami, życie, w którym czułem się kompletnie samotny i zagubiony. I właśnie postanowiłem to zmienić. Postanowiłem wziąć sprawy w swoje męskie ręce. Nie być już fajtlapą, który znosi kaprysy żony. A nawet jeśli nie kaprysy, to pozwala swoim życiem sterować. Jeśli Majka chce tak żyć, to nie ma sprawy – jej wybór. Ja nie chciałem i wreszcie dojrzałem do tego, żeby postawić sprawę jasno.

No, dojrzałem, nie dojrzałem. Teoretycznie tak. Teoretycznie, a właściwie to nawet praktycznie, Beata czekała na mój powrót. Bardzo płakała przed moim

wyjazdem. Starła się dzielnie trzymać, ale żaden makijaż nie przykryje tak zapuchniętych i zaczerwienionych oczu. Rozumiałem, że to ona chciałaby pojechać ze mną na urlop. Jednak od słów do czynów droga może być daleka. Ja w każdym razie nie miałem pojęcia, jak ją pokonać. Jak powiedzieć Majce to wszystko, co kłębiło mi się w głowie już od dobrych kilku tygodni? Wydawała się taka zadowolona. Niczego się nie domyślała, o nic nie pytała. Jak zacząć? Kiedy zacząć? Od razu na początku? To po co jechać na ten urlop? Warto go psuć już pierwszego dnia? To może pod koniec? Może tak będzie lepiej? Pewnie byłoby i lepiej, tylko jak mam wytrzymać dwa tygodnie? Dam radę, czy ten ciężar mnie zgniecie? Poza tym, Majka miałaby wtedy pełne prawo wspomnieć coś o obłudzie. Więc może w środku urlopu, krakowskim targiem? A niby dlaczego akurat w środku? I co tak w ogóle mam ze sobą zrobić?

Rozdział 12.

Hasło „rozwód”

Ocknąłem się na wyraźne chrząknięcie Majki.

– Zbliżamy się do granicy – zabrzączało jej głosem w samochodzie.

– Ciekawe, czy będziemy musieli wyciągać paszporty?

Od momentu wejścia do Unii zawsze wyczekiwałem tej chwili. To był dla mnie taki sprawdzian – czy już Europa faktycznie, czy na razie tylko na papierze? Różnie bywało, dla mnie byliśmy Europą w kratkę.

– Przeszło ci już? – zapytała z nadzieją.

– Majka, zapomniałem w ogóle, o czym rozmawialiśmy – Poniekąd było to prawdą, bo w swoich rozważaniach poszedłem już tak daleko, że naprawdę nie pamiętałem, na czym stanęliśmy. Marianna uśmiechnęła się promiennie, co jeszcze bardziej zaczerniło moją i tak już mroczną duszę.

– Co sądzisz o tym, żebyśmy zatrzymali się gdzieś na knedliczki?

– No, obowiązkowo. – Też od razu się uśmiechnąłem, bo knedliczki uwielbiałem, o czym Marianna wiedziała, a do tego uświadomiłem sobie, że zgłodniałem. – Ale może gdzieś niedaleko?

– Takiś głodny? Nie ma sprawy, może być zaraz za granicą. A co powiesz na deser i kawę w Wiedniu?

– Nie wiem, czy się doczekam. Do Wiednia kawał drogi... ale, najem się tutaj.

Kontrola graniczna przebiegła bezproblemowo, po europejsku. Ograniczyła się do machnięcia ręką przez celnika. Dwadzieścia kilometrów dalej znaleźliśmy przytulny lokal, w którym serwowano knedliczki. Zamówiliśmy.

– Och, jak dawno nigdzie nie byliśmy razem, prawda? – Majka kwitła na myśl o najbliższych dwóch tygodniach. A ja nie.

– Yhm – odburknąłem.

– Miało ci już przejść? – skarciła mnie łagodnie.

– Co przejść?

– No, odburkiwanie.

– Ach, tak. Jestem tylko głodny – rzekłem i uśmiechnąłem się najładniej jak umiałem, ale Majka nie dała się zwieść.

– Adam, co jest? – spoważniała.

– Nieważne, co jest, ważne, że nie ma jeszcze knedliczków. – Ratowałem się ucieczką.

– Adam!

– Marianna!

– Porozmawiaj ze mną!

– Maju, o czym?

– O wszystkim. O tym, że ci się tu podoba, że może nie będzie tak źle na tym urlopie. Że dawno ze sobą nie

rozmawialiśmy. Że mnóstwo „że”.

Aż mnie zatkało. Majka używała niemal tych samych słów co ja – w rozmowie z samym sobą. Tylko wydźwięk moich był inny. Może to i dobry moment? Nie dam rady wytrzymać do końca urlopu, musimy wcześniej porozmawiać.

– No właśnie, Maju, jest mnóstwo różnych „że”...

– Zamieniam się w słuch.

Było mi strasznie głupio i strasznie źle. Moja żona nastawiła się właśnie na romantyczną werbalną potyczkę dwojga zakochanych, a tymczasem ja miałem w zanadru mało subtelne zagranie z kubłem zimnej wody. Trudno, jeśli nie teraz, to z czasem będzie mi coraz trudniej.

– Mało bywasz ostatnio w domu... – zacząłem.

– Przecież wiesz, że pracuję na to, żeby w przyszłości...

– Maju, oczywiście wiem – przerwałem jej – ale daj mi dokończyć. Wiem, że pracujesz na spokojną i dostatnią przyszłość. Że jesteś bardzo zajęta w słusznej sprawie. Tylko że ta słuszna sprawa spowodowała, że właściwie przestaliśmy razem żyć. Ty masz swoje sprawy, ja mam swoje. Zdarzają się dni, w których się nie widzimy, nawet nie mówimy sobie dobranoc. Ja już śpię, kiedy ty wracasz do domu. Nie mamy wspólnych tematów. Nie oglądamy razem filmów, nie czytamy tych samych książek...

– Adam, przerwę ci. Cieszę się, że jedziemy

wreszcie na ten urlop. Trzeba nam rzeczywiście dużo nadrobić. Nareszcie będziemy mieli na to czas. Dwa tygodnie wyłącznie dla siebie. Uzgodnimy, co zrobić, żeby było lepiej.

Nie zaskoczyła mnie. Wiedziałem, że będzie chciała „wszystko naprawiać”. Ale było już za późno.

– Maju, nie zrozumiałaś mnie. Rzeczywiście potrzebujemy tych dwóch tygodni. Potrzebujemy na ustalenie wielu, wielu rzeczy. Kochanie, bo jesteś i pozostaniesz moim kochaniem, proszę cię o rozwód. Chcę zapamiętać cię taką, jaką pokochałem. I po latach być może tęsknić do twojego obrazu. Chcę go w swojej duszy wyidealizować i wielbić. A nie uda się to, jeśli jeszcze kilka lat będziemy żyć razem. Nie jestem szczęśliwy. Ty chyba też nie, przeszkadzam ci. Za dużo oczekuję, za dużo twojego czasu chciałbym zajmować. Ty masz go i tak za mało na zrobienie wszystkich tych rzeczy, które zrobić byś chciała.

Cisza. Przerażliwa, najcichsza ze znanych mi cisz. Milczenie, które boli. Niedowierzenie. Zdumienie. Oszołomienie. Wiem, jestem świnią. Robię to mojej żonie. Przecież nie zrobiła mi nic złego. I ja też nie chcę jej nic złego zrobić. Oprócz tego, że poszła swoją drogą, zupełnie się ze mną nie licząc, nie mam jej właściwie nic do zarzucenia.

– Maju, w ostatnich miesiącach nawet nie wiemy, co komu sprawia przyjemność. Poprosiłem cię ostatnio o kupienie paczki papierosów, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Kupiłaś mi karton białych Sobieskich.

– Tak.

– Od półtora roku nie palę Sobieskich. Ale to działa w dwie strony.

– Kolacja sprzed dwóch dni. – Majka smutno pokiwała głową.

– No właśnie.

Dwa dni temu chciałem zrobić Majce przyjemność i czekałem na nią w domu z kolacją. Zrobiłem jej sałatkę z krewetkami, do tego grzanki z masłem. I dowiedziałem się, że moja małżonka od roku nie jada masła, a od dwóch miesięcy pieczywa...

– Adam, muszę ochłonąć – Majka miała spierzchnięte wargi i błyszczące oczy.

– Rozumiem.

– Zjedzmy, dobrze? – mówiła cicho, niemal z trudem.

Knedliki już prawie wystygły, zresztą i tak były niesmaczne. A może i były bardzo smaczne, któż to wie. Może tylko dla mnie nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia. Właściwie liczyłem się z tym, że nie będziemy już więcej tego dnia rozmawiać. Może nawet nie tyle z tym się liczyłem, co na to liczyłem. Ale okazało się, że wcale nie. Przez pół godziny w aucie zalegała cisza. A potem Majka zaczęła tak po prostu mówić. Wreszcie opowiedziała mi coś więcej o swojej pracy. Wreszcie usłyszałem jakieś zabawne historyjki.

Kiedyś mieli w biurze super dostojną delegację Japończyków, a sekretarka z przerażenia posoliła gościom kawę. Ci nie odezwali się słowem, tylko grzecznie ją wypili. Sprawa wyszła na jaw dopiero po spotkaniu, gdy tej samej kawy, z tego samego termosu, napił się jeden z Polaków. Nie przeszkodziło to jednak w pozytywnym załatwieniu wszystkich interesów, ale na kolejnej turze rozmów było z tego powodu dużo śmiechu. Sekretarka zapobiegliwie na czas drugiego spotkania wzięła dzień urlopu.

A to Majka wytłumaczyła mi, dlaczego jeden z kolegów ma przydomek „Akwarium”. Kiedyś, gdy jeszcze samochodowe szyby otwierało się i zamykało ręcznie, jeden z kolegów pojechał do myjni. Z braku czasu wybrał się do automatycznej, czego nigdy wcześniej nie robił. O samochód pedantycznie wręcz dbał i nie chciał zarysować lakieru. Tym razem jednak miał wieść jakichś ważnych firmowych gości. Nie miał czasu na ręczne pucowanie auta, a w idealnie czystym czuł się pewniej. Nie wiedział jednak, że tylne szyby jego samochodu, odkręcane na korbkę, miały tendencję do lekkiego opadania. Nigdy nie miał potrzeby tego sprawdzać. Ocknął się, kiedy przez uchylone nieznacznie okno ciśnieniowa myjka wlała ileś tam litrów spienionej wody ze środkiem myjącym. Oczywiście z wiezienia delegacji nici. Chłopak miał z tego powodu problemy z szefem, a koledzy jednogłośnie uznali, że odezwał się w nim instynkt

wędkarski, więc postanowił założyć podręczne akwarium. I tak już zostało.

Kiedy indziej zaś cała grupa zebrała się na prośzonej przez szefa kolacji. Najpierw było dosyć pompatycznie, przemowy, toasty, świętowanie. Potem atmosfera rozluźniła się. Towarzystwo ruszyło w tan, i to tak ostry, że w barze po kolei zaczęło brakować alkoholi. Najpierw jednego gatunku piwa, potem kolejnego, potem w ogóle piwa... Strach pomyśleć, ile jeszcze by wypili, gdyby nie wstał błądy świt. Wkurzony naczelny zdecydował, że za karę każdy z pracowników płaci za kolację sam. Każdy zapłacił, ale od tego czasu nikt nie ma ochoty chodzić na kolację z naczelnym. Towarzystwo spotyka się w knajpach nawet dosyć chętnie, często i hucznie baluje, ale jeśli ma to być spotkanie z dyrektorem, nagle wszyscy mają chore dzieci, żony, matki, teściowe; następuje wysyp wesel, chrzcin, istnieje konieczność nagłego jednodniowego urlopu... Naczelny po prostu jest towarzysko bojkotowany, a tolerowany wyłącznie służbowo, w firmie. Paradoksalnie, całe to zdarzenie zintegrowało dział sprzedaży.

I tak dalej. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że praca mojej żony to nie tylko kolumny cyfr i skomplikowane arkusze kalkulacyjne, nie tylko trudne i długie negocjacje, ale także zwykłe, codzienne, ludzkie życie. Z każdą anegdotą odkrywałem nowe oblicze Majki i jej pracy. Nie wiedziałem, że tyle rzeczy może ją

śmieszyć. Że w ogóle jest w stanie je zauważyć. Nieoczekiwanie ja też zacząłem opowiadać o swojej pracy. O tym, że na przykład, najczęstszą przyczyną uszkodzenia magnetowidu jest włożona doń kanapka. I że pojemność takiej szuflady na kasetę znacznie przekracza nasze wyobrażenie – najciekawszym przedmiotem, jaki tam znaleźliśmy, był półtorametrowy krowi łańcuch. Razem z oniemiałym właścicielem magnetowidu długo debatowaliśmy w jaki sposób ów łańcuch się tam znalazł, ale nie dociekleśmy przyczyny. Szczególnie ciekawe przypadki występują w domach, w których są małe dzieci. Zresztą, przecież nie od dziś wiadomo, do czego takie szkraby są zdolne.

I tak dalej, i tak dalej. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy od dawien dawna naprawdę rozmawialiśmy. Nieśmiało, na neutralne tematy, ale jednak. Wreszcie nie była to wyłącznie wymiana informacji o aktualnych wydarzeniach, wreszcie była to osobista rozmowa i wyrażanie emocji, poglądów, opinii. Wreszcie...

Szkoda, że za późno.

Zrezygnowaliśmy z kawy w Wiedniu. Zbyt to było randkowe, a nam teraz nie romantyzm był w głowach. Zresztą, Wiedeń właściwie zawsze był zakorkowany, a my mieliśmy jeszcze ładnych kilka kilometrów do przejechania. Ominąłem więc centrum łukiem najszerszym, jak to było możliwe. Pomyślałem, że musi nastąpić czas wyrzutów. Niemożliwe, żeby ot tak po

prostu przejść do porządku dziennego nad nagłym zamknięciem wspólnego życia. Nie chciałem nawet przypuszczać, że moja żona może tak łatwo mnie wykreślić. To byłoby tak, jakby nie tylko nie zauważała mnie na co dzień, ale jakbym nigdy nie istniał. Jakby w ogóle nie zważała na moje istnienie koło siebie. Jeśli tak miało być, to już żałuję swoich wyrzutów sumienia i tego, że zdecydowałem się tak późno przerwać tę farsę – pomyślałem. Wzbierała we mnie złość. W pierwszej chwili byłem Majce wdzięczny, że nie zareagowała płaczem i histerią. (Zresztą, moja żona miała spore doświadczenie w biznesie, jak mogłem spodziewać się manifestacji uczuć?) Ale z każdą godziną jej reakcja bolała mnie coraz bardziej. Tak po prostu? Można kogoś wykreślić i nie poświęcić mu więcej swojej bezcennej uwagi?

Gdzie ja miałem oczy! Trzeba było domagać się tego rozvodu dwa lata temu! Trzy lata temu! Trzeba było się nie żenić! Po cholere mi to było! Marianna w dniu ślubu i dzisiejsza Marianna to dwie różne kobiety. Tamta była czuła i zawsze miała dla mnie czas. Interesowało ją, co mam do powiedzenia, dbała o mnie i dom. Teraz moja żona wciąż siedziała w pracy. Całą uwagę koncentrowała na zdarzeniach, w których ja nie brałem udziału. Mijała mnie w domu niczym mebel, który czasem nawet trochę zawadzał.

Cały wrzałem, ale Majka od Wiednia milczała.

Rozdział 13.

Kongo nie w Afryce

Zaczął zapadać zmrok. Od dłuższej chwili byliśmy w Słowenii. Jechałem fantastyczną autostradą, ale komfort jazdy nie poprawiał mojego samopoczucia. W końcu przerwałem milczenie, bo wisiało mi już u szyi kamieniem.

– Chyba przenocujemy w Lublanie. – W tej chwili dopiero zdałem sobie sprawę, że Majka zasnęła.

– Co, co? – zaszemrała ochrypłym jeszcze głosem.
– A tak, dobrze, to chyba dobry pomysł.

Kiedyś uwielbiałem tę jej chrypkę. Kątem oka widziałem, jak przeciąga się na sąsiednim siedzeniu, jak kocica. Miętko, tak rozkosznie... Jak chciałbym ją objąć! Zganiłem się w myśli.

– W schowku na drzwiach od twojej strony jest przewodnik z dokładną mapą Lublany. Możesz tam zerknąć?

– Pewnie. Może uda nam się znaleźć jakiś hotel.

– Oby! W samochodzie raczej się nie wyśpimy.

– Och, nie przesadzajmy! Wielu ludzi nocowało już w samochodach i żyją.

– Na to jestem zbyt wygodny.

– Ja też jestem zbyt wygodna, więc szukam hotelu – Majka zaczęła studiować przewodnik. – Adam, plan

miasta jest orientacyjny i nigdzie nie ma spisu hoteli. Kilka jest zaznaczonych, ale nie mam pojęcia, jakiej są klasy. Mogą to być zarówno schroniska, jak i pięciogwiazdkowe Hiltony. Proponuję po prostu jechać przed siebie. W końcu Lublana to duże miasto, coś w końcu znajdziemy.

– Jak przygoda, to przygoda. W życiu jeszcze w taki sposób nie szukałem noclegu, ale niech tam – nie pałałem entuzjazmem.

– No to skręć teraz w prawo.

– Tutaj?

– Chyba tak...

– Jak to chyba? To ja może chyba włączę kierunkowskaz? Ale może chyba skręć kierownicą? – wybuchnąłem.

– Dlaczego się tak denerwujesz? Jestem tu pierwszy raz w życiu, tak samo jak ty. Mam przed sobą uproszczoną mapkę kompletnie nieznanego miasta, a za przewodnika tylko swoją orientację w terenie. Do tego mam niekoniecznie najlepszy nastrój, zważywszy na wiadomość sprzed kilku godzin; że nie jestem już dla mojego męża atrakcyjna i nie chce ze mną żyć. Co ja, wróżka? Skręcaj, już! – Majka stopniowo podnosiła głos, zakończyła, krzycząc. Położyłem uszy po sobie.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko jedź – rzuciła ostro.

Jadę – pomyślałem, bo wolałem nic nie mówić. Znowu zapadła cisza. Nie dosłowna, bo przerywana

komendami: „w prawo”, „prosto”, „cholera, nie wiem, gdzie jesteśmy”. W końcu dojechaliśmy do jakiegoś hotelu. Noc była już ciemna i cieszyłem się na myśl o ciepłym prysznicu. Gdzieś upchnęliśmy samochód, chociaż nie było to proste, bo parking był pełen. Powinno mi to dać do myślenia, ale byłem zbyt zmęczony.

– Od razu wypakowujemy? – Wizja prysznicza nęciła mnie, jak piranię zapach krwi.

– Poczekaj, a jeśli noc tutaj kosztuje dwieście euro? Zapytajmy najpierw, potem bagaże. – Majka potrafiła zachować rozsądek.

Niechętnie, ale przyznałem jej rację i poszliśmy do recepcji. Noc nie kosztowała dwustu euro, kosztowała sto dwadzieścia euro, za to od osoby, poza tym nie było ani jednego wolnego pokoju. Jęknąłem. Majka jeszcze dyskutowała z recepcjonistą, ale widać było, że chłopak nie wie, w co najpierw ręce włożyć. Niestety, ten hotel nie dysponował ani jednym wolnym łóżkiem i żaden współpracujących z nim też nie miał wolnych miejsc. W Lublanie odbywała się jakaś masowa impreza – nawet nie próbowaliśmy się dowiadywać jaka – więc hotele miały pełniutki obłożenie.

– Jedziemy! – zdecydowałem.

– Adam, poczekaj, nie spiesz się tak. Usiądźmy na chwilę.

– Jakie usiądźmy?! Jestem zmęczony i chcę już jechać! – nerwy zaczynały mi puszczać.

– A może najpierw zastanowimy się, dokąd jechać? Spokój mojej żony tylko mnie rozjuszył.

– Jak to dokąd? Na tę wyspę, którą wybrałaś! Do celu! Do naszej urlopowej przystani! Akurat będziemy tam rano, więc może promy już będą kursować – prawie krzyczałem.

– Mowy nie ma – ucięła Majka.

W takich momentach widziałem na własne oczy, dlaczego odnosiła spektakularne sukcesy w pracy. Była opanowana, chłodno i przytomnie kalkulowała. Pomimo zmęczenia nie odpuszczała, analizowała sytuację i szukała optymalnego wyjścia. To opanowanie czasami wyprowadzało mnie z równowagi, ale w sytuacjach kryzysowych było nie do przecenienia. A ta sytuacja okazała się kryzysowa. Po chwili Majka spokojnie przedstawiła plan działania:

– Najbliższe hotele, które mam zaznaczone na mapie, omówiłam z recepcjonistą. W żadnym z nich nie ma wolnych miejsc, nie ma po co ich w ogóle szukać. Proponuję wyjechać z Lublany, tak jak sobie życzysz, w kierunku naszej podróży. Nie może być tak, że cała Słowenia jest zavalona turystami i nigdzie nie znajdziemy żadnego wolnego miejsca. Chce mi się teraz szukać noclegu jak kotu zsiadłe mleko pić. Chciałabym już ten nocleg mieć, a najlepiej leżeć w czystej, pachnącej pościeli. Najlepiej koloru brzoskwiniowego, żebym miała miłe doznania wzrokowe, gdy się obudzę. Ale na razie mam pod tyłkiem twarde hotelowy taboret,

w perspektywie kolejne godziny na samochodowym fotelu, a hotelowe łóżko dryfuje gdzieś na krańcach mojej umęczonej wyobraźni. I odczuwam w sobie narastającą determinację, żeby ów fotel na rzucone łóżko zamienić. Po drodze muszą być jakieś motele.

Uspokoilem się. Chłodna cola z ogromną ilością lodu wpłynęła kojąco na moje zwoje nerwowe.

– Jedziemy? – Majka spojrzała na mnie bez uśmiechu.

Kiwnąłem głową. Znowu miała ostatnie słowo.

Kilka przecznic dalej zatrzymaliśmy się przekonani, że oto znaleźliśmy mały rodzinny hotelik. Nic z tego. Napis był mylący, hoteliku nie było, była tylko restauracja, ale długa podróż, zmęczenie i rozwodowe swary popsuły nam apetyt. Był też przemiły pan, który łamaną angielszczyzną tłumaczył nam, że nie warto szukać hotelu w Lublanie. Jego zdaniem, hotele tutaj były drogie i szkoda na nie pieniędzy. On sam, osobiście, poleca nam motel niecałe trzydzieści kilometrów za Lublaną, w miejscowości Grosuplje. Mieliśmy łatwo znaleźć to miejsce, bo przed nim rosły trzy palmy.

Byliśmy już tak wyczerpani, że uznaliśmy to za świetny pomysł. Wprawdzie obydwójce, już po wejściu do samochodu, stwierdziliśmy, że coś jednak musiało się panu pomeścić, bo niby jak my po nocy dostrzeżemy trzy palmy? Ale i tak ruszyliśmy w drogę. Początek był niezły – trzeba było jechać prosto. Przez trzy

skrzyżowania ze świątłami. Na czwartym mieliśmy skręcić w prawo na Zagrzeb. Na trzech pierwszych udało nam się nie pobrać. A na czwartym...

– Tu mieliśmy skręcić w prawo, ale pan chyba miał kłopot z kierunkami. Popatrz, Zagrzeb jest na lewo, skręcaj w lewo. – Podczas naszych podróży tradycyjnie Majka już robiła za pilota.

No, to skręciłem w lewo. Po dwudziestu kilometrach stwierdziliśmy, że coś chyba jest nie tak. Więcej już się ten Zagrzeb na drogowskazach nie pokazał, a my ciągle byliśmy w mieście.

– Majka, wracamy! Cały czas jeździmy po mieście, a mieliśmy z niego niemal od razu wyjechać.

– No to wracamy.

I tak pojeździliśmy sobie trochę, wróciliśmy, potem jeszcze raz staraliśmy się przemierzyć tę samą drogę, z tym samym skutkiem. Za każdym razem na czwartym skrzyżowaniu Majka wpadała w dezorientację, ja tym bardziej. Byłem coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej zły. W końcu Majka jęknęła rozpaczliwie. W rozpacz było trochę teatru, ale jęk był prawdziwy.

– Jestem ostatnia sierota. Gdzie ja mam oczy? – wyrzekała. Nie miałem najmniejszej ochoty jej pocieszać. – Adam, teraz dopiero to widzę. Obwodnica Lublany to koło. Okrąg. Biegnie dookoła miasta. W którąkolwiek stronę pojedziemy, dojedziemy do drogi na Zagrzeb. Trzeba nam się kierować w prawo, tak jak mówił ten facet, nie zważając na drogowskazy.

– Jesteś pewna?

– Ponury żart. Jestem zmęczona, to jest pewne. Ale skoro w lewo nam nie wychodzi, to spróbujmy w prawo.

Wprawdzie nie rozumiałem, dlaczego nie mogliśmy dojechać do tej drogi, jadąc w lewo, skoro ta obwodnica to okrąg, wolałem jednak nie mącić i tak napiętej atmosfery. Pojechaliśmy w prawo, znaleźliśmy szybko drogę na Zagrzeb, a po kilkunastu kilometrach miejscowość Grosuplje. Zjechaliśmy z autostrady i przez kwadrans jeździliśmy po kompletnie wymarłym miasteczku, zaciemnionym jak podczas bombardowania w trakcie II wojny światowej. W końcu zlokalizowaliśmy jakąś grupę wyrostków. Na pytanie o jakikolwiek hotel, motel, coś do spania, pokręcili wymownie głowami. Tutaj? Tu nic nie ma! To wiocha!

Już nawet nie rozmawialiśmy na ten temat. Po prostu pojechałem przed siebie i obydwójce rozglądaliśmy się za drogą, która z powrotem wyprowadzi nas na autostradę. To, znaczy, autostrada była dosłownie obok, widzieliśmy światła przejeżdżających samochodów, ale nam potrzebny był wjazd. A tu ani jednego drogowskiego. Jak w harcerstwie, na azymut, jechaliśmy boczną ulicą. W końcu zaczęła nam się jawić droga, która przybierała właściwy dla nas kierunek, a nawet wiadukt, który miał nas na nią wyprowadzić. Kiedy już skręciliśmy w odpowiednią stronę, doznaliśmy fatamorgany – projekcji wyobrażeń, ironii losu wyrażonej skrajem

obłądu. Dwieście metrów przed wiaduktem, odrobinę na uboczu, jadowitym blaskiem świeciły pomarańczowe i seledynowe palmy. Cztery. Wielkie na jakieś pięć metrów, wściekle neonowe, stały tak i kłuły nas w oczy. Za nimi widać było duży, niski budynek. Biały, nie jadowity.

– Myślisz, że chodziło mu o trzy, nie o cztery palmy? – Majka pierwsza otrząsnęła się z wrażenia.

– Myślę, że może tu nie być kolejnego budynku otoczonego świecącymi palmami – stwierdziłem niepewnie.

– Powiedz, że to nie przywidzenie.

– Nie wiem, boję się zapeszyć...

– Jeśli tym razem znowu się okaże, że to jakaś skucha, że tam nie ma miejsc albo że to nie jest hotel, albo że mamy przewidzenia, to zabieram ci kierownicę i jedziemy aż nad sam Adriatyk. – Majka też chyba bała się zapeszyć.

– Zgoda – odparłem.

Podjechaliśmy bliżej i jeszcze dość długą chwilę w milczeniu kontemplowaliśmy widok. Był z lekka upiorny. Pod długą wiatą stały dwa luksusowe lincolny – biały i czarny, a jeden dłuższy od drugiego. Nad wiatą połyskiwał neon głoszący, że trafiliśmy do Kongo. Palmy rzucały lekko trupie światło na okolicę, ale chyba nie był to spęd żadnych upiorów. No, w każdym razie mieliśmy nadzieję, że nie był to kolejny remake *Od zmierzchu do świtu*. Ze środka dobiegała muzyka,

a jakieś podchmielone towarzystwo ruszyło na spacer dookoła budynku. W końcu i my odzyskaliśmy możliwość ruchu.

– Adam, może jednak sprawdzimy, czy znajdzie się tu jakieś wolne łóżko z czystą pościelą? – zapytała moja małżonka. Tak jak ja była porażona widokiem, a ze zmęczenia obawiała się, że obraz jest jednak przywidzeniem.

– Chyba powinniśmy. Inaczej spędzimy całą noc w samochodzie. Tanie, ale niewygodne.

Dziwaczny lokal okazał się hotelem i kasynem w jednym. Domyślaliśmy się, że był też przybytkiem innych rozkoszy, nie tylko hazardu, ale dysponował co najmniej jednym wolnym pokojem, z dużym wygodnym łóżkiem i czystą pościelą, więc postanowiliśmy nie badać bliżej pozostałych opcji. Przynajmniej nie wszystkich.

– Adam, jestem tak zmęczona, że z wrażenia nie zasnę. Chodź na jakiegoś drinka.

– Niezły pomysł. Też muszę się trochę rozluźnić.

Trafiliśmy do baru, chociaż nie było to proste. Budynek tylko z zewnątrz wyglądał na mały, większa jego część ukryła się za niewielkim pagórkiem. Główna impreza musiała odbywać się gdzie indziej, bo tutaj dochodziło tylko dudniące echo disco. W barze nie było gości, barman czyścił paznokcie trzonkiem łyżeczki. Wypiliśmy po skromnym drinku, każde z nas wzięło prysznic – oddzielnie – i zapadliśmy się w czeluście

łóża wielkości boiska. Majka zasnęła, zanim dotknęła poduszki. A ja nie mogłem zasnąć, rozmyślając o tym, jakie zmiany w moim życiu przyniosą nadchodzące tygodnie. Wiedziałem, że musiałem zrobić to, co zrobiłem. Dla własnego szczęścia, ale – chyba też? – dla szczęścia Majki. Ona lubiła co innego niż ja, więc prędzej czy później poczułaby się jak w matni, tak samo jak ja. No i dla szczęścia Beaty. Dlaczego jednak, skoro wszyscy mieli być zadowoleni i miało z tego wynikać samo szczęście, czułem się tak parszywie? W półśnie myślałem o tym do samego rana, bo nie byłem w stanie zasnąć w natłoku galopujących myśli.

Poranek obudził nas przepiękny. Jeszcze przed śniadaniem poleciliśmy zobaczyć zjawiskowe palmy w dziennym świetle. Stały tam. Naprawdę tam stały. Plastikowe, elektrycznie zasilane. W dzień były śmieszne, odpustowe, właściwie żałosne, chociaż w nocy wydawały się upiorne. Ale trzeba też było przyznać, że bez nich w życiu byśmy tutaj nie trafili.

Hotel był ogromny, ale nie mieliśmy czasu go zwiedzać. Majka zawsze to lubiła – kiedy przyjeżdżała w jakieś nowe miejsce, od razu ruszała na obchód okolicy. Chciała wszystko zobaczyć. Obojętne, czy był to ośrodek wczasowy, czy luksusowy hotel, po dwóch godzinach od przyjazdu mogła robić za przewodnika. Tym razem nie miała na to ochoty. Czekają nas jeszcze kilkaset kilometrów drogi, a ja nie byłem w formie, więc od razu z samego rana ustaliliśmy, że teraz Majka

prowadzi.

Rozdział 14.

Wyspa zielona

Muszę przyznać, że tym razem Majka trzymała się w ryzach. Zawsze wyznawała zasadę, że nie należy przekraczać dozwolonej prędkości więcej niż dwukrotnie. Bywało, że się o to lekko kłóciliśmy. Tym razem jednak bardzo się starała. Naprawdę bardzo. Patrzyłem na licznik zdziwiony. Jechała grzecznie i równiutko. A jeśli choć troszkę ją poniosło, od razu sama się mitygowała i zdejmowała nogę z gazu. Jak nie Majka. W sumie niewiele rozmawialiśmy. Raczej chłonęliśmy okolicę. Autostrada, którą jechaliśmy, była jak wyjęta z bajki. Złożona z odcinków wykutych skale oraz prowadzących nad kilkudziesięciometrowymi przepaściami, sprawiała ciągłe niespodzianki. Światło i cień, na przemian dzień i noc. Rozświetlona słońcem przepaść za balustradą lub mrok długiego tunelu. Kontrast – zdumienie – oczarowanie. Granicy z Chorwacją prawie nie zauważyliśmy. Dopiero kraniec stałego lądu wprowadził nas w oszołomienie. Widoki nad samym Adriatykiem były wprost bajeczne.

Majka się wreszcie odezwała.

– Zobacz, prom. Tam musimy zjechać. – Po chwili dodała: – Adam, chciałabym, żebyśmy mogli miło wspominać ten wyjazd. Cokolwiek zdecydujemy.

– Cieszę się. Nie chcę się z tobą kłócić. Takie piękne widoki...

– Popatrz tam! – Majka wyciągnęła rękę przed siebie.

Tam było widać kolejną wyspę, przez którą mieliśmy przejechać. Cres witał nas lekko zamglony, ale cudnie ukształtowany, wielobarwnie zielony. Wijąca się kolejka na prom była mniej zachęcająca, ale nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy odczekać prawie półtorej godziny, w ostrym słońcu, z jedną butelką wody, zanim udało nam się wreszcie wjechać na statek. I tak jak na ładzie, gdzie w ostatnich godzinach poza tymi kilkoma zdaniemami nie zamieniliśmy słowa, tak i tutaj – siedzieliśmy na górnym pokładzie ramię w ramię i patrzyliśmy na zbliżający się ląd. Skrawek lądu. Wyspa podpływała do nas majestatycznie, w milczeniu, rozwiewając mgły i odsłaniając kamienne zbocza. Spoglądałem z nadzieją, że zostawi mi dobre wspomnienie ostatnich wakacji z moją żoną. Nie wiem, na co nadzieję miała Majka. Siedziała cicha i rozmarzona. Przez chwilę poczułem się tak, jak osiem, nie, dziewięć lat temu, kiedy po raz pierwszy razem się obudziliśmy. Tamten poranek umknął gdzieś w zagonieniu wszystkich banalnych dni. Teraz do mnie wrócił i bolał. Bolało to, że taki ważny dzień, takie ważne przeżycie włożyłem między kartki i zasuszyłem jak kwiatek. Ten dzień nie żył, a powinien. Takie wspomnienia nie mogą pulsować w samotności.

Potrzebna jest druga osoba. A moja druga osoba była nieustannie w rozjazdach, dzielnie robiła karierę i nie miała czasu na takie dyrdymały, jak wspomnianie pierwszego wspólnego poranka. Patrząc na wyłaniający się z mgły Cres, poczułem, że ciągle więcej nas łączy, niż dzieli. Zdałem sobie także sprawę, że mogłbym walczyć o nas, o Majkę i siebie. Nie wierzyłem jednak, że ona też tego chce i postanowiłem oddać mecz walkowerem.

Kiedy już zjechaliśmy na zieloną wyspę, okazało się, że ona wcale nie jest taka zielona, chociaż piękna. Wokół było dużo pustych, brunatnych pól, pełnych skał i wielkich głazów, gdzieniegdzie wśród kamieni srebrzyły się oliwki, a daleko z boku zielenił się las – ten, który widzieliśmy z lądu. Droga była trudna, bardzo wąska i kręta, więc Majka poprosiła, bym do niej mówił.

– Wiesz, o czymkolwiek. Jestem zmęczona i pomoże mi, że będziemy rozmawiać.

– A coś bliżej na temat czegokolwiek? – szukałem punktu zaczepienia.

– Opowiadaj, co widzisz.

– Widzę, że jedziesz za szybko.

– Chcesz się kłócić? – Spojrzała na mnie zdziwiona, bo jechała wolno i bardzo ostrożnie.

– Coś ty, chciałem cię tylko troszkę obudzić.

– Zadziałało. Teraz inny temat – zazyczyła sobie trochę rozbawiona.

– Mam nadzieję na miłe dwa tygodnie. Będziemy

mieli wreszcie czas, żeby porozmawiać. Chyba nam się to przyda, tym bardziej, że jest tyle rzeczy do obgadania. Nie chciałbym rozstawać się w złości.

– Tak... Adam, kiedy postanowiłeś się rozwieść?

– Dobrze pytanie... Niech się zastanowię... Jakies dwa miesiące temu, jak sądzę. Mniej więcej wtedy dotarło do mnie, czego mi w życiu brak i jak chciałbym to nadrobić.

– Rozumiem, że rozwodzisz się dla kogoś? – zaniepokoiła mnie tym pytaniem.

– O co ci chodzi? – zastosowałem manewr obronny.

– Pytam, czy kogoś masz.

– Majka, daj spokój. Chcę się rozwieść dla siebie. I myślę, że dla ciebie też. – Dlaczego nie miałem odwagi powiedzieć jej prawdy? – Chciałbym mieć pełną rodzinę, dwoje dzieci szalejących po domu i psa nieustannie brudzącego podłogi. Chciałbym mieć mnóstwo szumu, hałasu i radości. I czuć zapach piekącego się ciasta. Razem z synem wystrugać deskę do krojenia wędlin na Dzień Matki, a z córką pomalować ją w kwiatki. To takie banale marzenia, wiem, że dla ciebie zbyt oczywiste, zbyt banalne, wiem, że ty tego nie pragniesz. Dlaczego miałbym cię do czegoś takiego namawiać?

– Adam, skąd wiesz, że to dla mnie zbyt banalne? Kiedy ze mną na ten temat rozmawiałeś? – celnie uderzyła i trochę mnie zatkało.

– Maju, nie rozmawialiśmy w ten sposób. To fakt. Wizerunek matki piekącej ciasto i cerującej szkolny fartuszek nie pasuje chyba do zapracowanej bizneswoman, prawda?

– Może i nie pasuje, ale nigdy nie zapytałeś, co o tym sądzę, czyż nie?

– Kiedy miałem to zrobić?

– Jeśli ci na tym zależało, to może warto było zatrzymać mnie w biegu i to wyartykułować? A ty zatrzymałeś mnie wtedy, kiedy już podąłeś decyzję. Sam. A co zrobisz, jeśli dzisiaj ci powiem, że ten sielski obrazek śni mi się po nocach? Zmienisz decyzję, jeśli powiem, że to moje marzenie? Być matką i opiekunką? Skąd wiesz, czy nie zajęłam się karierą dlatego, żeby nie myśleć o tym, czego MNIE w życiu brak? I może jestem już tym bardzo zmęczona?

– Jeśli tak, to dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś?

– A dlaczego ty mi nie powiedziałaś? Nie zapytałeś?

Zapadła cisza. Rzadko się kłóciliśmy przez te kilka wspólnych lat. Czy na zakończenie będziemy na siebie warczeć?

– Maju, nie chcę się kłócić.

– Ja też nie chcę. Myślę jednak, że nie jesteś ze mną tak do końca szczery. Gdybyś chciał odejść, żeby uwolnić swoją osobowość, to inaczej zareagowałbyś na to, co przed chwilą powiedziałam. Adam, ja mówiłam

poważnie. Wiem, że ty kogoś masz i żałuję, że nie masz odwagi mi tego powiedzieć. Nie chcesz rozwieść się dla mnie ani dla mojego szczęścia. Chcesz się rozwieść, bo podjąłeś inne zobowiązanie. Nie będę cię na siłę zatrzymywać ani namawiać do zmiany decyzji. Zrobisz tak, jak uznasz za stosowne. Ale te ostatnie dwa tygodnie ofiaruj mnie. Rozmawiaj ze mną tak, jak nigdy dotąd nie rozmawialiśmy. Nie, nieprawda. Tak jak nie rozmawialiśmy przez ostatnie dwa lata. Pamiętasz, na początku dużo rozmawialiśmy. Gdzieś się to rozmyło. Rozmawiajmy teraz, proszę.

– Przez te ostatnie dwa tygodnie jestem dla ciebie – powiedziałem z galanterią.

Majka pokiwała głową.

– Opowiadaj więc, co widzisz za oknem.

Dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, dlaczego Majka chciała, żebym opowiadał o mijanych drzewach oliwnych i o tym, co widać na dole, kiedy droga wspinała się wysoko na skałę, i żebym określał kolor błękitu morza, które widzieliśmy niemal cały czas po jednej albo drugiej stronie wyspy. Majka chciała, żebyśmy przyzwyczaili się do rozmawiania ze sobą i do zapomnianego brzmienia swoich głosów. Rzeczywiście, ostatnio robiliśmy to tak rzadko, że mówienie do Majki było dla mnie wydarzeniem niemal egzotycznym. Potem przyznała, że dziwnie było jej mnie słuchać. Dotychczas głównie milczałem, więc uważała, że jestem milczkiem. A tu okazało się, że potrafiłem przez półtorej godziny

nawijać o niczym. Sam byłem zdziwiony. Spełniałem jedno z ostatnich życzeń małżonki, czy odnajdywałem siebie?

Rozdział 15.

Hotel dla Niemców

Przejechaliśmy całe Cres, wjechaliśmy przez most na Lošinj, potem do miasta Mały Lošinj i znaleźliśmy nasz hotel, brzydki jak pochmurna listopadowa noc. Cały czas rozmawialiśmy, a nawet zaczęliśmy się do siebie uśmiechać. Troszkę podyskutowaliśmy z recepcjonistką na temat przydzielonego nam pokoju, wymieniliśmy ten pokój na inny, rozpakowaliśmy auto i oczywiście ruszyliśmy na plażę. Trudno powiedzieć, że nad morze, bo tutaj wszystko było nad morzem, ale też i określenie „na plażę” jest niedokładne. Bo plaża to był kawałek wybetonowanego wybrzeża. A dzika plaża to kilka głazów rzuconych na brzeg. Ale morze... miało kolor naprawdę lazurowy, zupełnie jak na folderach. Było cudne, czyste, przezroczyste, zielone i niebieskie. Piękne.

– Bajecznie, prawda? – Majka zagaiła.

– Yhm... – byłem zmęczony i nie miałem już więcej ochoty na gadanie.

– Mam nadzieję, że będziesz zadowolony i rzeczywiście spędzimy fajne dwa tygodnie.

– Też mam taką nadzieję.

Poszliśmy potem spokojnym krokiem do miasteczka, które miało w sumie dziesięć uroczych

uliczek. Zdążyliśmy wrócić na ohydną hotelową kolację. W wielkiej sali, właściwie stołówce, tłoczył się tłum Niemców, wrywających sobie półmiski z rąk. Bez słowa odwróciliśmy się i wyszliśmy stamtąd. Usiedliśmy przed hotelem i patrzyliśmy na morze – w milczeniu, przed siebie. Po czterdziestu minutach większość głodnych Niemców poszła i w stołówce zrobiło się względnie luźno. Okazało się, że wcale nie zastaliśmy pustych stołów. Jedzenia ciągle było w bród, chociaż zwyczajnie było niesmaczne. Najedliśmy się do syta arbuza, pomidorów i innych owoców. Mięso okazało się twarde i tłuste, makaron rozgotowany, wino miało walory smakowe octu. Spirytusowego.

– Mam nadzieję, że jutro podadzą jakieś owoce morza. Przecież tutaj w każdym porcie codziennie wyładowują je z kutrów – rozmarzyła się Majka.

– Nie wiem, czy nie jesteś naiwna. Może i owoce morza to jest tutejszy specjał, ale hotelowa kuchnia chyba dostosowana jest do gustu gości. A goście lubią wurst, i żeby był tłusty! – zażartowałem ponuro.

– Nie strasz mnie, bo nie będę chciała tu więcej przyjść.

– Nie będziesz miała wyjścia. Cały pobyt mamy opłacony, łącznie z wyżywieniem.

– No i co z tego! Chcę mieć przyjemność z pobytu tutaj! Nie mów, że będziesz skąpił na kolację w portowej knajpce! – Marianna zaczynała się unosić.

– Nie bądź rozrzutna. Zarabiasz, więc możesz

wydawać, ale już raz wydałaś tutaj na jedzenie – nieopatrznie brnąłem dalej.

– Nie wypominaj mi zarobionych przeze mnie pieniędzy!

I tak od słowa do słowa, po raz pierwszy od wielu, wielu lat, w ogóle po raz pierwszy, naprawdę się pokłóciliśmy. Nie milczeliśmy, nie byliśmy obrażeni. Po prostu zaczęliśmy na siebie krzyczeć. A gdy już zaczęliśmy, to nie mogliśmy skończyć. Trzeba nam było wykrzyczeć się za całe wspólne osiem lat. Za wszystkie te sprawy, o których nie mieliśmy czasu porozmawiać. Krzyczeliśmy i złościliśmy się, a kiedy już kończyliśmy, pojawiało się coś jeszcze, jeszcze jakiś drobny wyrzut, zapomniana pozornie sprawa, i zaczynaliśmy od początku. Za wszystko i o wszystkim.

Rozdział 16.

Harce

To było straszne. Jak nigdy – nawet nie powiedzieliśmy sobie dobranoc. Jak to dobrze, że się z nią rozwodzę – pomyślałem, udając, że śpię. Majka też udawała, że zasnęła, chociaż nie wiem, co sobie pomyślała. Pewnie to samo. W rzeczywistości nie spałem, tylko przez niemal całą noc rozmyślałem. Trochę drzemałem, trochę miałem koszmarów. I nieustannie myślałem, dlaczego osiem lat temu byłem zakochany w kobiecie, która teraz leżała obok mnie.

Majka jeszcze spała, kiedy rano wyszedłem na balkon. Poranek był cudny. Słońce dopiero wychylało się znad spowijającej morze mgły. Cisza, spokój, światło. Nie usłyszałem, kiedy Majka weszła na balkon i stanęła obok mnie.

– Cześć! – powiedziała.

– Cześć! – odpowiedziałem.

– Ładnie tu – rzuciła nieco zbyt obojętnie.

– Ładnie – potwierdziłem grzecznie, chociaż uważałem, że jest tu cudnie, a nie żadne tam „ładnie”.

– Mam nadzieję, że wystarczająco ładnie, żebyś nie żałował, że tu przyjechałeś.

– Majka, nie zaczynaj znowu! Po co prowokujesz kolejną kłótnię? Nie chcę się kłócić. To na pewno nie

zostawi miłego wspomnienia. Jeśli tak mamy ze sobą rozmawiać, wolę pomilczeć.

– Rozumiem, nie to chciałam... Widzisz, dla mnie ostatnie dwa dni to kompletny szok. Jestem obolała i jeszcze nie potrafię nawet powiedzieć, gdzie mnie boli najbardziej. Tabletki przeciwbólowe nie pomogą, nie ma takich na duszę, więc muszę sama jakoś się z tym uporać. To niełatwe i nie radzę sobie z tym najlepiej. Nie oczekuję, że mi w tym pomożesz, ale przynajmniej spróbuj zrozumieć.

Milczeliśmy. Ja nie wiedziałem, co powiedzieć, Majka zbierała myśli.

– Przepraszam, że wczoraj sprowokowałam taką awanturę – powiedziała łagodnie.

– No cóż, chyba oboje mamy co nieco na sumieniu w związku z tą, hm... wymianą zdań. Mnie też poniosło. Przepraszam. – Było mi tak głupio, że nie patrzyłem na żonę.

– To jesteśmy kwita. Postaram się więcej nie dopuszczać do takich zdarzeń. Najwyżej wyjdę sobie na spacer albo zamknę się w łazience. – Majka uśmiechnęła się blado.

Znowu pomilczeliśmy. W sumie nawet miło było milczeć z tą kobietą u boku, która, chociaż tak dobrze znana, ciągle była pociągająca. Ale czy wypada myśleć o figlach dwa dni po tym, gdy jej oznajmiłem, że chcę się rozwieść? Nie każdy mój organ jednak myślał to samo. A Majka mnie znała, zauważyła, co trzeba,

i okazało się, że można myśleć o figlach. I to jakich! Język jest za ubogi na opisanie tych wrażeń. Nie opiszę ich więc. Ale było bosko!

Długo harcowaliśmy, ale i tak nadal było jeszcze wcześniej.

– Głodny jestem.

– Yhm, jak wilczyca. Ale śniadanie dopiero od ósmej. Mam jakieś wafelki. I colę.

– Super zdrowe urlopowe odżywianie. Jedzmy, bo mi kiszki marsza grają.

Po tym romantycznym śniadanku, stojąc na balkonie i przyglądając się morzu, moja ciągle jeszcze obecna żona zaczęła mówić:

– Wiesz, Adamie, pół nocy myślałam o tym, co się ostatnio wydarzyło. Będzie jak będzie, nie mogę odwozić cię od decyzji. Jestem przekonana, że twoja prośba o rozwód jest dla kogoś, że kogoś masz. Ale trudno. Chyba na to zasłużyłam. Dawno nie dowiedziałam się o sobie tylu rzeczy i jestem na siebie wściekła. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo uciekałam z domu, jak bardzo uciekałam od ciebie. Uświadomiłam sobie, że przestałam cię znać. Nie wiem, co chciałbyś zjeść na śniadanie, co lubisz najbardziej, co pijesz do kolacji. Pomyślałam, że od dwóch lat co najmniej nie dyskutowaliśmy o żadnym wspólnie obejrzanym filmie. I że przez te dwa lata obejrzeliśmy ich razem może ze dwa. – Po krótkiej pauzie ciągnęła dalej. – I wiesz, co jeszcze? W tym całym zgiełku i zagonieniu nie miałam

czasu opowiedzieć ci o swoich własnych pragnieniach. Ba, nawet nie do końca miałam czas się nad nimi zastanowić. Czasami tylko, przed samym zaśnięciem, wydawało mi się, że woła mnie moje dziecko, nasze dziecko. Ale nie zastanawiałam się nad tym głębiej. Może wreszcie czas. Obydwoje uznaliśmy, że skoro robię karierę, to tak właśnie ma być. Tego chcę i jestem z tym szczęśliwa. Otóż nie. Fajnie jest mieć dobrą pracę. A ja mam dobrą pracę. Ale jeszcze fajniej jest mieć do kogo wracać. Spotykać się wieczorem w domu, w którym ciepło płoną wszystkie światła, w którym jest rejwach, w jadalni stukają talerze, a dzieciaki dokazują po całym domu. Tego chcę, chociaż nigdy o tym nie mówiłam. Muszę się sama zastanowić nad tym pragnieniem, które uświadomiłam sobie tak późno. Muszę ustalić, co jest dla mnie ważne, a co najważniejsze. I z czego w najbliższym czasie będę musiała zrezygnować. Wyobrażam sobie swoje powroty do pustego domu. Pewnie poproszę o prysznic i szafę w pracy, bo kanapę już mam. Będzie mi łatwiej. Nie będę się musiała zastanawiać nad tym, co straciłam. Pewnie się zapracuję, a gdy już będę pracoholicznym wrakiem, to korporacja mnie wyrzuci, jak bezużyteczny śmieć. A jeśli po twoim odejściu wpakuję się w inny związek, to pewnie będzie związek w przelocie. Pseudo miłość pomiędzy konferencjami. Ja w pracy, on w pracy... i jeśli wtedy zdecyduję się na dziecko i wypadnę z firmowego obiegu, to pewnie już zostanę jako ta

domowa kura...

Słuchałem i nie wierzyłem własnym uszom. Ja też musiałem przemyśleć to, co usłyszałem i czego się właśnie dowiedziałem. Wydawało mi się, że już wszystko przemyślałem i wyobraziłem sobie każdy scenariusz.

– Twarożek – wypaliłem.

– Co? – mina Majki warta była uwiecznienia.

– Twarożek ze szczypiorkiem.

– Ale co twarożek ze szczypiorkiem? – Majka jeszcze nie zrozumiała.

– Na śniadanie zjadłbym twarożek ze szczypiorkiem.

– Kiedyś wołałbyś kielbasę na ciepło...

– Ale to było pięć lat temu.

– A ja jestem stała. Ciągle grzanki. Mam ochotę na ciepłą, pachnącą grzankę. Jest już po ósmej.

– To chodźmy!

– Chodźmy! Na twarożek i grzanki.

Na śniadanie nie było twarożku. Grzankę można było sobie zrobić. To znaczy opiecz chleb. Były za to kielbasy, tłuste, była szynka, tłusta, było trochę sera i owoce. I rum do herbaty. Oprócz grzanek i owoców spożyliśmy dużo herbaty, z równie dużą ilością rumu i zgodnie uznaliśmy, że z całego śniadania rum był najlepszy. Mieliśmy zatem znakomite humory już na samym początku dnia. I w tych znakomitych humorach udaliśmy się każde w swoją stronę – ja nad morze,

wygrzać trochę kości, Majka na zwiedzanie spa.

Rozdział 17.

Co to jest zdrada?

Leżałem na betonowej plaży i rozmyślałem. Jak to jest? Czy dzisiejszy poranek to była zdrada? Czy zdradziłem Beatę? Jak można zdradzić kogoś z własną żoną? I czy w ogóle powinienem się czymś takim przejmować? Zdradą? Od miesięcy przecież zdradzałem Majkę i nie zastanawiałem się nad tym. Precyzyjnie rzecz biorąc, wolałem się nie zastanawiać, wydawało mi się – ba! – to było zbyt trudne. Miałem potworne wyrzuty sumienia, ale wiedziałem, dlaczego zdradzam Majkę. Bo nie było nam ze sobą dobrze, bo straciliśmy kontakt i nie zabrakło między nami tej więzi, która wydawała się mi niezbędna do wspólnego życia. Nasze magnesy zmieniły bieguny i nie przyciągały się już nawzajem. Czułem się z tym podle, ale nie mogłem się oprzeć. Beata dawała mi to, czego Majka od dawna dla mnie nie miała: czas, rozmowę, radość ze spotkania. Oczekiwanie na spotkanie. Przy Beacie czułem się męsko, bo dowartościowywała mnie. Byłem przy niej „naj”. I leżąc w coraz gorętszym chorwackim słońcu, po raz pierwszy zadałem sobie pytanie – co będzie za osiem lat? Czy też się ucieszę, wracając do domu? Załóżmy, że będzie pełny biegających dzieciaków. Pomiędzy dzieciakami będą się przewijać dwa psy. W środku Beata, zmęczona,

jak każda matka gromadki dzieci. Czy będzie dla mnie nadal interesująca? Kiedy nadejdzie codzienność? Wyobraziłem sobie nasz wieczór. Przeszły mi po plecach ciarki. Zdałem sobie sprawę, po raz pierwszy, że Beata nie ma własnego zdania na wiele tematów, które zwykłem omawiać z Majką. Mimo wszystko czasami ze sobą dyskutowaliśmy, a wtedy Majka była dla mnie partnerem. Wkurzało mnie, że nie patrzyła na mnie jak w obrazek, jak na takiego prawdziwego faceta, ale... No właśnie. Czy naprawdę chciałbym inaczej?

Słońce opiekało mnie coraz bardziej, myśli przemykały coraz leniwiej. Leżałem, zasypiałem, w półśnie wyobrażałem sobie, że kładziemy się z Beatą do łóżka, odsuwając się każde na swój kraniec... Zasnąłem niespokojnym, nerwowym snem człowieka o nieczystym sumieniu. Całe szczęście, że niecałą godzinę później odnalazła mnie Majka. Inaczej zostałemby lokalną skwarką. I tak wieczorem czułem naciągniętą skórę, ale Majka ochroniła mnie przed poważniejszym poparzeniem.

– Hej, hej, przystojniaku! – zawołała wesoło.

– Co, co? Ach, cześć – powoli odzyskiwałem przytomność.

– Wstawaj, bo się przypieczesz na raka.

– Tobie też by się przydało trochę opalić. Jesteś biała jak śnieg. – Majka nigdy nie lubiła się opalać. Teraz też nie zamierzała rumienić skóry.

– Yhm... Zarezerwowałam sobie zabiegi do końca

pobytu.

– No i?

– Jestem zajęta codziennie do jedenastej trzydzieści.

Potem możemy poszaleć.

– Poszaleć? Chyba pognuśnić na plaży? Taka chyba była umowa?

– No, poszaleć na plaży. Poopalać się, zwiedzić Lošinj i może pojechać gdzieś dalej... – Prowokowała?

– Majka! – postanowiłem zareagować.

– Co? – niewinność w jej głosie była urzekająca.

– Obiecałaś mi, że nigdzie nie będę musiał się stąd ruszać. Zgodziłem się na to miejsce pod warunkiem, że będę mógł po prostu leżeć i robić nic. I chcę robić nic.

– No i właśnie to robisz. I nie chcesz nawet pójść na spacer? – zapytała z miną niewiniątka.

– Teraz chcę, bo i tak muszę zejść ze słońca. Gdzie idziemy? Mamy dwie opcje, w prawo i w lewo.

– Wybieraj, mężu.

– Dzisiaj ty wybierasz, żono.

– No to idziemy w prawo – z uśmiechem rzuciła Majka.

Poszliśmy zatem w prawo. I to było właśnie to. Majka potrafiła bez chwili zwłoki zadecydować, czego chce. Beata nad podejmowaniem takiej decyzji strawiłaby kwadrans. No, może dwadzieścia minut. Czego ja właściwie chciałem od życia?

Spacer był świetny. Zlokalizowaliśmy kilka przemiłych knajpek, do których Majce aż świeciły się

oczy. Twardo udawałem, że tego nie widzę. Nie ustąpię – postanowiłem, i zamierzałem dotrzymać swojego postanowienia. Nie będziemy się szarpać na romantyczne kolacyjki, kiedy wszystko w hotelu mamy opłacone. Może nie jest tam wykwintnie, ale da się zjeść. Nie ulegnę Majce.

Ale rzeczywiście było tam ładnie. Kilka zatoczek, ocieniona aleja, bezkresne morze. Niewielu turystów, słoneczna i ciepła pogoda. Coś jakby raj.

– Opowiedz o zabiegach – zagałem.

Majka uśmiechnęła się.

– W sumie to tak wyjdzie, że jeden tydzień zafundowała mi firma. Za drugi muszę dopłacić... ale myślę, że nie będziesz miał nic przeciwko. Nie dlatego, że to jest super tanie, bo nie jest, ale chcę zrobić coś dla siebie. Szczególnie w świetle twoich ostatnich hm... rewelacji przyda mi się podładowanie baterii. Cała seria trwa tydzień. Jest w tym codzienna gimnastyka w basenie, jeden zabieg na twarz, jeden na ręce, na stopy, i na całe ciało. Do tego po dwa razy solarium, sauna fińska, turecka, jacuzzi. No i basen bez ograniczeń.

– Majka, ile kosztuje ten drugi tydzień?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała za szybko.

– Nie kantuj, tylko powiedz. Zniosę to dzielnie.

– Naprawdę nie wiem. Cały tydzień kosztuje czterysta sześćdziesiąt pięć euro, ale w tym jest już zakwaterowanie i wyżywienie. A my mamy to już opłacone, więc pozostaje do uregulowania koszt

zabiegów. Mają mi to wycenić na jutro rano.

– Mam nadzieję, że nie puszczą nas z torbami.

– Też mam taką nadzieję. Napiłabym się czegoś – taktycznie zmieniła temat.

– Dobry pomysł, ja też.

– Tutaj? – wyczułem w tym słówku lekką drwinę.

Popatrzyłem na Majkę, popatrzyłem na morze, popatrzyłem na knajpkę, którą wskazywała Majka. I już wiedziałem, że nie dotrzymam słowa. Właśnie je łamałem i zamierzałem wejść do restauracji. Ale tylko na picie! – rozgrzeszyłem się w duchu.

– Czemu nie, ładne miejsce – powiedziałem na głos, a wypowiedź poparłem wzruszeniem ramion i wszedłem pomiędzy stoliki.

Wiedziałem, że Majka uwielbiała takie rozkosze. Masaże, maseczki, błota. Nie nadążałem nawet za nazwami tych wszystkich zabiegów i preparatów, ale wiedziałem, że sprawiała jej to przyjemność. W Polsce marzyła o tym, żeby chodzić na takie cudenka, ale były za drogie, poza tym w codziennym zabieganiu nie miała na to dość czasu. A nawet jeśli jej się to niekiedy udawało, to i tak była zdania, że za rzadko. Ja z kolei myślałem, że nawet jeśli te wszystkie mazidla nie pomagały, to wracała z takich zabiegów odprężona, zrelaksowana, zadowolona. Ale chyba kremiszczka pomagały – Majka wyglądała świetnie, szczególnie kiedy porównywałem ją do rówieśniczek. Prawie nie miała zmarszczek, nawet przy oczach, cera idealnie

gładka, chyba mówi się na taką: świetlista. Tak przynajmniej wyczytałem w jakimś babskim czasopiśmie, które kiedyś Majce podebrałem. Służyło jej to, dlaczego właściwie miałem jej zabraniać? Przecież to jej pieniądze, jej wypoczynek. Niedługo będzie sobie robiła, co będzie chciała; nie popsuję jej ostatnich wspólnych wakacji.

Wybraliśmy stół, zamówiliśmy karafkę niegazowanej wody, pół karafki lokalnego białego wina i dwa soki owocowe. Soki wypiliśmy duszkiem, dużą część wody też. Przy winie zaczęliśmy rozmawiać. Majka opowiedziała mi, jak podobały jej się dzisiaj zabiegi. Gubiłem się wśród tych skomplikowanych określeń – peeling, głębokie oczyszczanie, masaż twarzy... Prąd o wysokiej częstotliwości jeszcze coś mi mówił, ale i tak nie miało to specjalnego znaczenia. Przecież to nie było dla mnie, a Majce sprawiało wyraźną przyjemność. Z pasją opowiadała o wrażeniach z masażu. Aż miło było tego słuchać.

– No cóż, muszę zadbać o siebie, jako samotna kobieta. – Nie wiem, czy uśmiechała się ironicznie czy przez łzy. Przez dłuższą chwilę nie potrafiłem znaleźć żadnej riposty, milczeliśmy.

– Adam, jak to będzie? – Marianna spoważniała.

– Z czym, Maju?

– Jak to będzie, kiedy nas już nie będzie? Gdzie będziemy mieszkać? Komu będziemy mówić dzień dobry? Kogo przytulać?

– Nie wiem, chyba powinniśmy to omówić.

– Taaak... podział majątku?

– Na to wychodzi. Tak znowu wiele do dzielenia nie mamy, ale jednak. Mamy dopiero co spłacone mieszkanie i nie do końca spłacony samochód. Coś jeszcze?

– Zapomniałeś chyba o ośmiu wspólnych latach? Je też podzielimy? Kto weźmie te dobre, a kto weźmie te lepsze?

– Majka... – Nie umknęło mojej uwadze, że Majka nie dzieliła naszych lat na dobre i złe. Dzieliła na dobre i lepsze. No właśnie, kto weźmie te lepsze? – A które to są te lepsze? Bo ja właśnie te chce wziąć. Tobie zostawię mieszkanie i kredyt na samochód.

– Mądrała. Zawsze weźmiesz sobie to, co najlepsze – powiedziała Marianna z udawanym nadąsaniem. Uśmiechaliśmy się do siebie szeroko. – Wiesz, fajnie jest wiedzieć, że nawet w tak kryzysowej sytuacji nie stajemy się dla siebie wrogami.

– Majka, jak możesz. Nigdy nie będziesz dla mnie wrogiem.

I tak od słowa do słowa zadeklarowaliśmy sobie przyjaźń do grobowej deski. Ciekawy układ; najpierw koleżeństwo, potem małżeństwo, następnie kochankowie (bo co to było dzisiaj rano?) i na końcu przyjaźń. Same pozytywy, tylko kolejność się nie zgadzała. A może powinienem się cieszyć z tego, co przynosi los. Przystudiowaliśmy jeszcze dokładnie kartę i aż mi

żołądek ścisnęło na małże w sosie z białego wina i inne smakowitości, ale zaparłem się. Poszliśmy więc na spacer i wróciliśmy do hotelu akurat na obiadokolację.

Rozdział 18.

Otruli nas!

W jadalni kłębił się już tłum Niemców, ale tym razem nie odpuściliśmy. Byłem głodny jak wilk, Majka też, odstaliśmy więc swoje w kolejce. Do jedzenia było tłuste mięso w trzech rodzajach i paciaja z ryby. Do mięsa można było wybrać sobie tłusty sos, jeden z dwóch, i ziemniaki lub makaron. Rozgotowany. Do tego surówki, w niezłym nawet wyborze. No i pycha owoce na deser, ewentualnie jakieś ciasta z tłustym kremem, chyba nie najświeższym. Chcieliśmy poprzestać na naprawdę pysznych surówkach i owocach, również świetnych, ale byliśmy głodni. Bardzo głodni. Spożyliśmy więc trochę tłustości, ale tylko trochę, bo smakowały, jak wyglądały. Smakowały tłuszczem. Popiliśmy całość dużą ilością jedyne go dostępnego napoju, znanego nam już octu z czerwonego wina. Po pysznej lokalnej malwazji, którą po południu obaliliśmy w porcie, ten napój był ohydny, ale szybko wprowadził nas w niezły humor, więc piliśmy i zaśmiewaliśmy się do siebie. Ze wszystkiego. Było nam po prostu ze sobą dobrze, jak parze kochanków, a nie jak rozwodzącemu się małżeństwu. Kiedy okazało się, że już nic nie musimy, okazało się też, że w zupełnie niewymuszony sposób możemy. Bawiliśmy się świetnie. Dokonaliśmy

także ciężkiego naruszenia regulaminu ośrodka, wbrew bowiem surowym zasadom panującym w tutejszym hotelu, jak ostatnie łachudry, rozbawieni do rozpuku, wynieśliśmy ze stołówki pół butelki wina.

Do północy świetnie się bawiliśmy przy tym winooccie. Siedzieliśmy sobie na kamienistej plaży, patrzyliśmy na zachwycający Adriatyk i było nam świetnie. W takich też nastrojach poszliśmy grzecznie spać.

Około piątej nad ranem obudziły mnie dziwne odgłosy. Majki nie było w łóżku, okupowała łazienkę. Dziwne odgłosy świadczyły o buncie jej żołądka, a kiedy rozeznałem się w sytuacji okazało się, że Majka bardzo chciałaby żołądek opróżnić, ale on nie chciał. Więc siedziała skulona na łazienkowej podłodze blada jak śmierć i jęczała.

– Majka, jak mogę ci pomóc?

– Nie wiem, wszystkiego już próbowałam. Boli mnie jak cholera. Może coś ciepłego do picia. Nie mam pojęcia.

Poszybowałem więc jak duch do recepcji w poszukiwaniu wrzątku. Herbatę ze sobą miałem, w torebkach. Zapomnieliśmy zabrać z Polski czajnika albo chociaż grzałki. W dzień i wieczorem, nawet późnym, nie byłoby problemu – wrzątek był dostępny w barze. Przed szóstą rano zdobycie go graniczyło z cudem. W końcu, gdy użyłem całego arsenału dostępnych mi środków perswazji, z szantażem włącznie

(recepjonista spał na dyżurze!), i gdy obudziłem już pięć osób, udało mi się pozyskać wodę o upragnionej temperaturze i wróciłem do pokoju z herbatą. Majka piła ją małymi łydkami.

Gorący płyn stopniowo pomagał. Gołym okiem było widać, jak Majka tajała. Stopniowo na jej policzki wracały jakieś normalne kolory. Bo jeszcze godzina, może dwie, i wzywałbym pogotowie. Nie wiem wprawdzie, jak dogadałbym się po chorwacku, ale coś bym wymyślił. Żal mi jej było strasznie. Po szóstej zasnęła, ale ja już usnąć nie mogłem. Patrzyłem na jej bladą, umęczoną twarz i ciągle rozmyślałem o tym, co było, co jest, a czego nie będzie.

Ranek, oczywiście, wstał dla nas późny. Majka kategorycznie odmówiła spożywania jakiegokolwiek posiłku, więc sam poszedłem do stołówki. Samotnie źle się je śniadanie, nawet o tym nie wiedziałem. Owszem, zdarzało się, że Majka wyjeżdżała na parę dni i wtedy jadałem śniadania sam. Ale to było co innego. W domu miałem świadomość, że Majka za dzień lub dwa wróci i znowu razem siądziemy do stołu. A dzisiaj – że to jeden z ostatnich wspólnych dni, że później już ich nie będzie. Może dlatego każda chwila wydawała mi się cenna.

Po śniadaniu zadzwoniłem do Beaty. Ucieszyła się, ja też. Miło było słyszeć jej rozradowany głos. Jak się czujesz? Co robisz? Odpoczywaj. Nie spal się na słońcu. Dbaj o siebie. Ty też. Nie wychodź sama wieczorami.

Koniecznle zjedz coś ciepłego. I tak dalej. Zadałem Beacie pytanie, którego się nie spodziewała.

– Co czytasz?

– Co robię?

– Co czytasz, gdy mnie nie ma? Co robisz wieczorami?

– A, jakąś gazetę. Telewizji trochę oglądam. Czemu pytasz?

– Tak sobie. Pomyślałem, że może też przeczytam, kiedy wrócę, i sobie o tym porozmawiamy. Ale przecież o filmie też można.

– Ale tego nie będą chyba powtarzać...

– A co oglądasz?

– *Na dobre i na złe* i *Klan*.

– Jasne. Beatko, muszę kończyć.

– Trzymaj się kochanie!

– Pa!

Stałem tak z telefonem w dłoni. Faktycznie. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie tak. Owszem, film, ale w telewizji, nie w kinie, bo do kina poszliśmy tylko ten jeden jedyny raz. O teatrze nigdy nie rozmawialiśmy, bo Beata nie lubiła i do teatru nie chodziła. O książkach... no tak, o książkach rozmawialiśmy o tyle, o ile ja Beacie o nich opowiadałem. Zawsze słuchała, wydawało mi się, że nawet z uwagą, ale nie miała własnego zdania. Chyba nie mogła go mieć, skoro książek nie czytała. O czym my rozmawialiśmy przez ostatnie miesiące?

Kochany, świrujesz – usiłowałem się w myślach

doprowadzić do porządku. Twoja własna żona zaczarowała cię pięknymi oczami i już łamiesz własne postanowienia. Nie daj się. Jesteście na urlopie, a po urlopie będzie codzienność. Będzie taka sama jak przez ostatnie lata. Nie ma powodu, żeby coś się zmieniło. Nie daj się, nie daj się, nie daj się, stary. Pilnuj się. Beata czeka w Polsce. Jest inna niż Majka, to oczywiste. Przecież dlatego właśnie ją wybrałeś. Nie szukasz kopii dotychczasowej żony, tylko kompletnie innej jakości. Majka jest świetnym kompanem, niech tak zostanie. Ale nie wpadnij po raz kolejny, już raz to zrobiłeś osiem lat temu. Teraz bądź już dorosłym chłopcem. Nie daj się stary, nie daj się...

Tak to sobie powtarzałem i wyobrażałem sobie Beatę. Było mi miło na sercu. Beata była moja. Beata była miękka, ciepła. Nie była może odczytana, może i nie lubiła chodzić do teatru, ale miała dla mnie czas i chciała go ze mną spędzać. W odróżnieniu od mojej żony, która nawet na urlopie chciała spędzać czas po swojemu, Dlatego właśnie wybrała to spa z paskudnym żarciem, którym zresztą sama się zatręła. A może to nie jedzenie, tylko nadmiar wina? Co za różnica, Majka się zatręła i potrzebowała pomocy. I ja jej tej pomocy udzię. I spędzę z nią miło te półtora tygodnia. A potem będę żył z Beatą, długo i szczęśliwie. I tylko od czasu do czasu pomogę mojej byłej żonie, bo przecież obiecałem jej dożgonną przyjaźń. I zamierzam dotrzymać słowa. Ech, kobiety!

Kiedy wróciłem, Majka jeszcze spała. Wyszedłem na taras, wyłożyłem się na leżaku i zacząłem czytać książkę. Na rozmyślenia nie miałem ochoty. Już dość się narozmyślałem. Dość miałem pustych i samotnych wieczorów, dość miałem wyrzutów sumienia, które sam sobie czyniłem. Podjąłem decyzję. Będę się jej trzymał i już.

Majka wstała dopiero po dziesiątej. Jeść nie chciała, tylko pić. Koniecznie pić. Roztropnie przyniosłem ze sobą wodę mineralną i teraz Majka siedziała na tarasie koło mnie, sączyła małymi łykami wodę i na głos rozmyślała, co by tu zrobić z tak fatalnie rozpoczętym dniem. Ostatecznie uzgodniliśmy, że jednak pójdzie na zabiegi, bo udało się je przesunąć, a potem dołączy do mnie na plaży. Dzisiaj żadnych dalekich spacerów, żadnych malwazji i w ogóle żadnych ekscesów. Książka na leżaku to maksimum ekstrawagancji. I jak powiedzieliśmy, tak zrobiliśmy. Dzień był powolny i cudownie leniwy, aż do późnego popołudnia. Wtedy Majka poszła sobie na spacer, a ja poszedłem na kolację. Sam, bo na myśl o jedzeniu Majka robiła się fioletowa.

Wieczór był miły, spokojny i cichy. Trochę posiedzieliśmy na plaży, obejrzeliśmy zachód słońca, chwilę spędziliśmy w barze (dla Majki tylko gorzka herbata, dla mnie whisky z colą, broń Boże hotelowe wino), potem trochę telewizji, trochę książki. Noc niestety nie była miła ani spokojna. Tym razem ja

siedziałem na łazienkowej podłodze i jęczałem. To nie mogło być octowe wino, ani jego nadmiar. Nic dzisiaj nie wypilem. Tym razem Majka latała po herbatkę i niańczyła mnie jak dziecko.

– Jakieś paskudztwa podają tu do żarcia. Nie dość, że smakują ohydnie, to jeszcze nie nadają się do jedzenia. Przynajmniej dla ludzi. – Majka jójczyła i wściekała się, ale ze mną obchodziła się jak z porcelanową filiżanką. Zwilżała usta wodą mineralną, okrywała kocem. Byłbym jej wdzięczny, gdybym miał na to siłę.

Rozdział 19.

Leczymy się

Następny ranek był podobny do poprzedniego – zamieniliśmy się tylko rolami. Ja zostałem w pokoju, Majka wyruszyła na zewnątrz. Byłem przekonany, że poszła na śniadanie. I owszem, na śniadanie poszła, zjadła bułeczkę z masłem i popiła herbatą. Po czym udała się do recepcji, poprosiła o rozmowę z kierownikiem i po dwudziestu minutach wyszła z darmowym karnetem na basen dla mnie i z gratisowym drugim tygodniem zabiegów dla siebie. Kiedy weszła do pokoju, już nie spałem, a ona była w bojowym nastroju.

– Niczego już tutaj nie będę jeść poza jakimiś warzywami i owocami. Mogę się napić herbaty owocowej, ale jeść tej paszy już nie będę. Skoro ci żal na restaurację, to trudno, ale może dasz się przekonać tym, że za przyszłotygodniowe zabiegi nie będziemy płacić, a ty masz ekstra gratisowy karnet na basen do końca pobytu. Ja w każdym razie coś od czasu do czasu zjeść muszę, więc czy będziesz jadał ze mną?

Dla formalności chciałem się trochę podroczyć i pomarudzić, ale nie byłem w wystarczająco dobrej formie. Pewnie, że nie chciałem już tutaj niczego jeść. Pewnie, że chciałem zjeść coś świeżego i pysznego.

I pewnie, że byłem zadowolony, że Majce udało się to tak załatwić.

– No... chyba tak... ale nie dzisiaj, błagam. Mój żołądek nie jest ze stali, nie dam rady dziś nic w siebie wmusić.

– Dzisiaj dietka. Nie ma sprawy. Ale to znaczy, że kompletnie dzisiaj jeść nie będziesz?

– E... pewnie do wieczora polepszy mi się na tyle, że już będę czuł głód, więc coś tam pewnie przekąszę.

– To jaki plan na dziś? Masz w ogóle ochotę wychodzić z pokoju?

– Ochotę to może i mam, tylko siły jeszcze nie za bardzo.

– No to proponuję, żebyśmy poczekali, aż ci trochę tej siły przybędzie.

Tak sobie czekaliśmy i bardzo miło upływał nam czas. Majka trochę mi czytała, przeglądaliśmy razem gazety, zaśmiewaliśmy się z jakiegoś artykułu, potem opowiadaliśmy sobie dowcipy, a na koniec każde z nas musiało opowiedzieć jakąś historyjkę. Tak naprawdę ja włączyłem się dopiero w ostatni punkt, wcześniej nie za bardzo jeszcze kojarzyłem, ale Majka zabawiała mnie bez wytchnienia. Przeszła samą siebie, chociaż też jeszcze nie czuła się najlepiej. I tak nam zeszło do drugiej po południu. Poczujęm się wtedy lepiej i poszliśmy na plażę. W cień, ale jednak na powietrze. Tam nadal wzajemnie sobie czytaliśmy i opowiadaliśmy różne głupoty. I znowu było nam dobrze.

W porze kolacji mieliśmy dylemat – stołówka czy nie? Majka, jak było do przewidzenia, optowała za którąś z restauracji w porcie. Mnie szkoda było pieniędzy, a poza tym i tak nie za bardzo chciało mi się jeść.

– To zawrzyjmy kompromis. – Skąd u mnie pomysł na takie słowa? Dlaczego miałbym zawierać jakieś kompromisy? Przecież założyłem, że nie będziemy rozrzutni podczas tego urlopu, musiałem przecież liczyć się z kosztami rozwodu i układania sobie na nowo życia. – Chodźmy na kolację podjeść owoców i ewentualnie się czegoś napić. Jeśli jeszcze będziemy głodni, to idziemy w miasto.

– Jak stryjek rozkaże – Majka nie miała ochoty na kłótnie.

I tak spędziliśmy późne popołudnie na namiastce kolacji w hotelowej stołówce. Nasze żołądki wciąż nie funkcjonowały normalnie, więc widok jedzenia nie wpływał na nie najlepiej. Popiliśmy troszkę i z powrotem poszliśmy na plażę.

Zachód słońca był bajeczny. Milczeliśmy. Oboje byliśmy zamyśleni, pewnie na podobny temat, ale we własny sposób. Ja wyobrażałem sobie życie z Beatą. Spokojne, ustatkowane. W pełnej stabilizacji. W końcu tego przecież chciałem: przewidywalności, wyrozumiałości, powolnego spełniania każdego dnia. O czym myślała Majka, nie wiem, ale zupełnie mi to w tej chwili nie przeszkadzało. Pomyślałem sobie, że

było nam w ostatnich dniach zadziwiająco dobrze. Jak na parę, która właśnie podjęła decyzję o rozstaniu, byliśmy wyjątkowo zgodni. Spędzaliśmy niemal cały czas razem, w przyjacielskiej atmosferze, niczego sobie nie narzucając. Kto wie, może właśnie dlatego, że przestawaliśmy mieć wobec siebie jakieś roszczenia, było nam dobrze. Okazało się, że potrafimy akceptować swoje oczekiwania. A jeśli nawet nie chcemy uczestniczyć w ich realizacji, to przynajmniej nie mamy do siebie pretensji o to, że chcemy czegoś innego. Jednym słowem – idealne małżeństwo na progu rozvodu. Co z nami było nie tak, że nie potrafiliśmy się dogadać wtedy, kiedy mieliśmy jeszcze przed sobą wspólne perspektywy?

Ostatecznie, co za różnica. W tej chwili już żadna. Niech będzie jak jest. Przynajmniej obydwójce skorzystamy z ostatniego wspólnego urlopu i rzeczywiście odpoczniemy – pomyślałem w duchu i przestałem rozpamiętywać kwestię naszej nagłej zgodności charakterów. A zgodność owa postępowała chwilowo wyjątkowo zwawo, bo bez specjalnych dyskusji uzgodniliśmy wyjście do knajpki. Kompromis zawarliśmy szybko. Mieliśmy pójść się napić dobrego lokalnego wina, ale nie objadać się. Łatwo się domyślić, że po żołądkowych sensacjach przyszło nam to bez trudu.

Szliśmy brzegiem morza, gdzieś w oddali błyskały światła łodzi, morze szumiało, przed nami widać było

latarnie pobliskiego miasta. Pełen romantyzm. Ale nie wzięliśmy się za ręce ani nie objęliśmy. Dobrze nam się rozmawiało, ale coś pękło. Przeszliśmy próg między „będzie” a „było”. Zaczynaliśmy przywykać do myśli, że jesteśmy niemal byłym małżeństwem.

Karafka była oszroniona, wino cudownie chłodne. Pozostawiało zmysłową cierpkość na języku – wytrawne, ale nie za bardzo. Ideał na ciepły wieczór pod koniec lata. Niewiele rozmawialiśmy. Kiedy kelner przyniósł drugą karafkę, Majka podniosła kieliszek i powiedziała:

– Czas chyba wznieść toast.

– Winem toastów się nie wznosi.

– Chyba na polskich weselach. – Parsknęliśmy śmiechem.

– Chciałem tylko sprawdzić twoją czujność. Dawaj ten toast.

– Za nas. Żebyśmy potrafili z klasą się rozstać. Nie chciałabym we własnych oczach stracić ostatnich ośmiu lat. Chcę o nich myśleć: były piękne, nawet jeśli minęły i się skończyły. Nie chcę ich zanieczyszczać żadną awanturą.

Trawiłem ten toast przez trzy mgnienia oka, rozmyślając z dumą, że to moja żona. Prawie była, ale jednak.

– Maju, toasty wznosi się winem, ale nawet jeśli byłoby inaczej, to ten wart jest wzniesienia. Za nas. Żeby została nam klasa. – Wypiliśmy.

- Adam?
- Yhm??? – odmruczałem zapatrzony w morze.
- Opowiedz mi, dlaczego.
- Co dlaczego? – wróciłem z morskiej dali. – A...

Majko, po co?

– Jak to po co? Chciałabym wiedzieć, dlaczego postanowiłeś mnie zostawić.

– Taaak... to trudne...

– Tak jakby dla mnie było łatwe.

– Jasne, masz rację. Przepraszam. – Wiedziałem, że jestem winny Majce jakieś wyjaśnienie, ale bardzo ciężko było mi teraz coś powiedzieć. – Czułem się przez ostatnie lata samotny. Niby żyliśmy i mieszkaliśmy razem, ale prawie się nie widywaliśmy. Ty nieustannie w pracy, ja niemal zupełnie sam w domu. Od czasu do czasu planowałem sobie wyjścia na zewnątrz, chociaż o nich nie wiesz. Nie proponowałem ci, bo i tak nie miałybyś czasu. Nawet nie zauważałaś, że mnie nie było. Tak późno wracasz do domu, tak dużo pracujesz. Nie będę się z tobą kłócił, denerwowałem siebie i ciebie, że za późno, że za dużo. Kochasz swoją pracę, wykonujesz ją z pasją. Niech tak będzie. Niech przynosi ci satysfakcję. Ale ja nie chcę, żeby wspólne życie polegało na wymianie informacji dotyczących konserwacji junkersa i przekazywania sobie listy zakupów. Nie widzę też wspólnego spędzania czasu jako weekendowych wyjść do galerii handlowej, żeby uzupełnić garderobę. Jeśli oczywiście jesteś w domu w weekend. – Zrobiłem

krótką przerwę. – Nie chcę ci robić wyrzutów. To bez sensu. Życzę ci, żebyś była szczęśliwa, i realizowała swoje pasje. Ale ja też chcę być szczęśliwy i cieszyć życiem takim, jakie sobie wybrałem, jakie mam z własnego wyboru. Chcę cieszyć się czyjąś obecnością. Twoje zdjęcie mi nie wystarcza, potrzebuję żywego rozmówcy. Kogoś, kto się do mnie uśmiechnie, kto odpowie na zadane pytanie, kto będzie miał własne zdanie. Kogoś takiego potrzebuję w domu, przy sobie, a nie tylko przez telefon. Rozumiesz?

Cisza brzęczała nad butelką malwazji.

– Rozumiem.

I dalej cisza. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Przez skórę czułem, że i tak w którymś momencie powiedziałem za dużo. A Majka była inteligentna.

– Adam, powiedz mi prawdę.

– Majka, przecież mówię prawdę, o co ci chodzi?

– Na pewno to, co powiedziałaś, jest prawdą. Ale niecałkowitą. Myślę, że kogoś masz, że dlatego zdecydowałaś się na rozwód. Myślę, że gdyby po prostu dokuczała ci moja nieobecność w domu, to byś ze mną o tym rozmawiał, próbował coś zmienić i ułożyć nasze życie inaczej. Może próbowałbyś mną potrząsnąć, ale nie w ten sposób. Ty w tej chwili odpuściłeś jakąkolwiek próbę ratowania naszego małżeństwa. Odpuściłeś nas. Odpuściłeś mnie. Znam cię i nie wierzę, że jedyny powód to dyskomfort, jaki odczuwasz w naszej

codzienności. Jestem przekonana, że za tym stoi inna kobieta, dla niej chcesz się rozwieść.

Milczałem. Nie zmierzałem tego komentować. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Kochasz ją?

– Majka, przestań. Ciągłe jesteś moją żoną. – Nie zamierzałem ciągnąć tej rozmowy w taki sposób. – Chodź, wracamy do hotelu.

– Dlaczego? – Majka był odrobinę wstawiona, a w jej oku zabłysła iskierka, ta, która nie pozwalała mi przejść obok niej obojętnie. Trochę buty, trochę zadziorności, trochę rozbawienia. Dla mnie to wybuchowa mieszanka. Ale nie dziś.

Dziś nie zamierzałem jej ulegać. Nie mogłem jej ulec. Nie mogłem opowiedzieć Majce o Beacie. Nie chciałem jej ranić. Po co miałbym jej opowiadać o tym, jak ją zdradziłem? Jak ją zdradzałem przez kilka miesięcy? Ona zarabiała na nasz dom, a ja w tym czasie zdradzałem ją z inną kobietą. Czułem się z tym beznadziejnie i nie potrafiłem sobie z tą myślą poradzić. Jakkolwiek by się nam nie układało, to ja zdradziłem swoją żonę. Nie mogłem jej o tym opowiedzieć. Nie chciałem jej ranić. Bałem się?

– Adam, dlaczego? – nalegała.

Ocknąłem się.

– Wymyślasz niestworzone rzeczy. Czas już wracać. Jutro też jest dzień, jutro porozmawiamy.

Majka milczała i ja milczałem. I choć z niewielkimi

przerwami milczeliśmy przez cały wieczór, to dopiero teraz to milczenie stało się uciążliwe. Wcześniej milczeliśmy jak para przyjaciół. W ogóle nam to nie przeszkadzało i moglibyśmy tak milczeć w nieskończoność. No, dopóki byśmy nie zgłodnieli. Teraz milczenie wisiało nad nami jak gradowa chmura. A kiedy doszliśmy do hotelu – bez gradobicia, bez piorunów, ale też i bez uśmiechu – poszliśmy spać. Po prostu – dobranoc i do łóżka. Właśnie zaczynaliśmy ćwiczyć rolę rozwodzącego się małżeństwa.

Rozdział 20.

Majka chce do Plitwickich

Poranek znowu był bajeczny. Bezchmurny, świetlisty. Mgła podniosła się znad wody, kiedy wyszedłem na balkon. Majka już tam stała, popijała wodę mineralną z butelki.

– No coś ty, suszy cię?

– No coś ty, nigdy w życiu. W końcu to nie ja wypiałam wczoraj prawie dwie butelki wina.

– Nigdy w życiu. Dwie to myśmy wypili razem.

– Oj, chyba byłeś jeszcze bardziej wstawiony ode mnie. Razem, to my wypiliśmy trzy butelki. Ja półtora i ty półtora. Z tym, że ja większe półtora, bo miałam jedną ekstra dolewkę.

– To daj tej mineralnej, bo od razu zaczęło mnie suszyć.

Nie wracaliśmy do wczorajszej rozmowy. Majka rozpoczęła nowy wątek...

– Adam?

– Oho, coś się zaczyna dziać. Kiedy moja żona niewinnym głosem wymawia moje imię, z wyraźnie zaakcentowanym znakiem zapytania na końcu, to zaraz padnę zaskoczony śmiertelnie jakąś niespodzianką.

– A tam, od razu śmiertelnie.

– Dzięki za litość. Więc zacznij nie śmiertelnie.

– Chciałabym pojechać do Plitwickich Jezior.

– Majka, nie padnę trupem tylko dlatego, że złość mnie przytrzymuje w pionie. Umawialiśmy się, że nigdzie nie będziemy jeździć.

– No fakt, umawialiśmy się. I już cztery dni siedzimy na miejscu.

– Ciebie już nosi, tak? Mieliśmy ostatni wspólny urlop spędzić na miejscu. Dlatego zgodziłem się ostatecznie na te twoje spa i dlatego też wylądowaliśmy na wyspie. Żeby NIE JEŹDZIĆ. Żeby POSIEDZIEĆ W MIEJSCU. Obiecałaś więc w ogóle nie dyskutujmy na ten temat.

– Fakt, obiecałam...

– No i dobrze. I nawet nie podawaj żadnego ale – byłem tak nakręcony, że nie dałem Majce skończyć zdania. – I nie ma żadnego znaczenia w tym wszystkim fakt, że na twoje spa nie tyle się zgodziłem, co po prostu nie miałem innego wyjścia, bo załatwiłaś sprawę i dopiero wtedy ostatecznie mi o tym powiedziałaś. Nie chcę nigdzie wyjeżdżać.

– Rozumiem. Sprawdziłam tylko na mapie.

I tyle. Majka, skubana, wiedziała, jak mnie zaciekawić.

– Co sprawdziłaś na mapie? – dałem się złapać.

– Że to są trzy godziny jazdy. Nawet nie musiałabym rezygnować ze swoich zabiegów. Tylko któregoś dnia zrobiłabym je sobie troszkę wcześniej i po normalnym śniadaniu pojechalibyśmy na

wycieczkę. A wieczorem bylibyśmy z powrotem na miejscu.

– Nie ma mowy. – Miałem nadzieję, że zabrzmiało to zdecydowanie.

– Trudno. Spróbować warto było. – Majka wzruszyła ramionami i poszliśmy na śniadanie.

Po śniadaniu moja żona udała się na zabiegi, ale ziarenko zasiane przez nią oczywiście kiełkowało. Plitwickie Jeziora były mi znane z opowiadań jako miejsce wyjątkowej, jedynej w swoim rodzaju urody. Park Narodowy, w którym zresztą zaczęła się ostatnia wojna, wychwalali wszyscy znajomi. Każdy, kto tam był, wyjeżdżał urzeczony. Oczywiście miałem ochotę to miejsce zobaczyć, chociaż teraz nie wiedziałem, jak się do tego przyznać. Tak wprost? Pewnie byłoby to najbardziej oczywiste rozwiązanie, ale...

Majka wróciła rozpromieniona.

– Ale dzisiaj fajne były te zabiegi. Coraz bardziej mi się też podoba tutejszy basen. Posuniesz się? – Machnęła biodrem nieprzyzwoicie.

Zrobiłem jej miejsce, umościła się wygodnie na macie obok mnie. Wyraźnie nie zamierzała wracać do tematu Plitwickich. Zaczęła czytać książkę i po pięciu minutach była w innym świecie.

– Naprawdę sprawdziłaś na mapie? – nie wytrzymałem.

– Co? – Oderwałem Majkę od czytania i nie za bardzo wiedziała, o czym mówię. – A tak, oczywiście.

Zobacz sam.

Wyciągnęła ze swojej torby atlas. Nie nosiła go tam na co dzień. Wiedziała, że będę chciał zobaczyć. Zawsze wiedziała, jak mnie podejść. Jak ona mnie zna... – pomyślałem. Jak zły szeląg – podpowiedział mój wewnętrzny diabełek.

– Tak zupełnie niechcący masz przy sobie ten atlas, prawda?

– Oczywiście – uśmiechnęła się promiennie. – Noszenie ze sobą atlasu Europy jest typowe dla każdej współczesnej kobiety, nie wiedziałeś? A poza tym jeszcze do niczego nie zobowiązuje, prawda?

– Poza tym, że obciąża torebkę, to rzeczywiście na nic nie ma wpływu. – I się uśmiechnąłem.

Jak miałem się na nią złościć? Znowu poczułem, że ciągle bardzo dużo nas łączy. W duszy zbeształem się za to, że na chwilę o tym zapomniałem. Pewnie, że łączyło nas dużo. Osiem wspólnie przeżytych lat, z tego może ostatnie dwa nie były najbardziej udane, bo nasze drogi trochę się rozeszły, ale poczucie wspólnoty pozostało. Majka zastosowała przed chwilą najstarszy trik świata – jak to kobieta. Zaciekawiała mnie i zostawiła własnym myślom. No i teraz siedziałem nad cudnym chorwackim morzem z nosem wlepionym w atlas.

– Wiesz co? Rzeczywiście wygląda na to, że to jest niedaleko. I że powinniśmy się wyrobić w trzy godziny w jedną stronę. Jeśli wyjedziemy około dziesiątej, powinniśmy tam być, licząc już nawet jakiś postój albo

ewentualne opóźnienia na drodze, około drugiej. W sam raz na wejście do parku. W ten sposób będziemy mieli jakieś trzy godziny na obejrzenie jezior i o piątej możemy wracać na naszą wyspę. Powinniśmy być z powrotem przed dziewiątą.

– Dokładnie tak samo kalkulowałam.

– I oczywiście chcesz jechać.

– I oczywiście chcę tam jechać z moim aktualnym ciągle mężem, jeśli ów wyrazi na to zgodę.

– Pomyślałby kto, że tak się liczysz z jego zdaniem – musiałem sobie pozrzedzić. Majka uśmiechnęła się tylko. Wiedziała, że sprawa jest już przesądzona. – To pozostaje tylko ustalić, kiedy jedziemy.

– W poniedziałek. Chcę jeszcze poleżeć i wygrzać kości. – Majka nawet termin miała już ustalony.

– Nie wiem, czy w poniedziałek park jest otwarty. Może wtorek? – spróbowałem wtrącić swoje trzy grosze do jej planu.

– Niech będzie wtorek – zgodziła się od razu.

– No to grzejemy kości.

I każde z nas wystawiło na słońce jak największy kawałek ciała. Nie rozmawialiśmy już na ten temat. Majka studiowała przewodnik, zawsze była ciekawa takich rzeczy. Dzięki temu, kiedy już gdzieś dojechaliśmy, sporo potrafiła opowiedzieć. Czasem grymasiłem, ale w sumie lubiłem te opowieści. Dzięki temu sam nie musiałem studiować żadnych książek, a poza tym Majka umiała opowiadać. No i potrafiła

zebrać informacje z różnych źródeł, więc miałem ich pełen przegląd bez żadnego wysiłku. Jakby nie patrzeć, właściwie same plusy. Żeby jeszcze dało się z nich skorzystać bez ruszania się z domu...

Nienawidziłem wyjeżdżać. Każdy wyjazd to był dla mnie koszmar. Pakowanie, podróż – dla mnie okropieństwo. Gdyby tak udało się przekręcić na palcu pierścień Arabelli i od razu znaleźć w docelowym miejscu – o tak, to mogłoby być. Tak by mi pasowało. Tak mógłbym podróżować i zwiedzać świat. A improwizacji podczas podróży nie lubiłem najbardziej. Pomysł Majki, żeby w drodze do Chorwacji zanoć w Słowenii bez wcześniejszej rezerwacji, spowodował u mnie gęsią skórę. No i okazało się, że słusznie. Wprawdzie Kongo ze swoimi plastikowymi palmami nadało naszej podróży wyjątkowy koloryt, to jednak szukanie tego motelu, ta dziwna w nim atmosfera... ech, szkoda gadać. No i emocje przy poszukiwaniu odpowiedniego kierunku przy wjeździe na obwodnicę Lublany. Tak więc opcja wyjazdu do Plitwickich Jezior w pierwszej chwili spodobała mi się, delikatnie mówiąc, średnio. Przyjechałem tu i chcę już tu posiedzieć. Z drugiej strony... jeśli już tu przyjechałem, a przy mojej chęci zwiedzania świata nie przyjadę pewnie drugi raz, to taki cud jak Plitwickie Jeziora mógłbym obejrzeć... Mój wewnętrzny dylemat był ogromny. Jechać, nie jechać? We wróżby nie wierzyłem, ale zacząłem w myślach obliczać przepływające

chmurki. Jechać, nie jechać, jechać... o, jeszcze jedna chmurka, czyli nie jechać. Ale są następne, czyli jechać... Na rozgrzanym kamieniu, w ciszy przerywanej szumem morza, przysnąłem. Śniło mi się, że byłem zamknięty w jakimś wielkim pałacu. Miałem tam wszystko, ale nie mogłem wyjść na zewnątrz. I nie musiałem nigdzie wyjeżdżać.

Obudziła mnie Majka.

– Pobudka, nie śpij na słońcu, bo potem będziemy leczyć oparzenia słoneczne.

– Która godzina? – przeciągnąłem się z przyjemnością.

– Dochodzi druga. Może się przejdziemy?

– Niezły pomysł. Tylko nie wyciągaj mnie do żadnej knajpki.

– Nie ma obaw, jeszcze nie jestem głodna... ale wiesz, tak pomyślałam, że park może być zamykany przed zmrokiem. Muszę sprawdzić, jak to dokładnie wygląda, żebyśmy się nie zdziwili na miejscu. W recepcji mają chyba Internet, pewnie uda się sprawdzić.

– Tylko, pamiętaj, że nie mam najmniejszej ochoty na niespodzianki. – Musiałem się zabezpieczyć.

– Pamiętam. Nie zamierzam podczas ostatniego urlopu robić ci wbrew. Pójdę do recepcji od razu.

– No i dobrze. Ja mam ochotę wziąć prysznic i walnąć się do łóżka na pół godziny.

– W takim razie dołączę do ciebie, gdy sprawdzę,

co tam w Plitwickich.

Ale Majce zeszło na tym sprawdzaniu znacznie dłużej. Dała mi po prostu pospać. Ostatnie noce nie należały do najbardziej udanych. Jedną noc niańczyłem chorą Majkę, drugą noc chorowałem ja, a w pozostałe i tak miałem problemy ze spaniem. Za dużo myśli. Zastanawiałem się milion razy, czy na pewno wiem, co robię. Właściwie to nawet gorzej – czy wiem, o co mi chodzi. Czego szukam i czego potrzebuję. Czasami myślałem sobie, że chciałbym wybrać się w egzotyczną podróż jak Santiago w „Alchemiku” Coelho i wyrzucić swoje życie do góry nogami. Odkryć jego sens. Odkryć, czy w ogóle ma sens. I dowiedzieć się, jaką metodę na życie powinienem przyjąć. Może powinienem zacząć medytować? Albo nauczyć się włoskiego? Codziennie rozmawiałem przez telefon z Beatą. Codziennie za nią tęskniłem. Bardzo nawet. Ale też codziennie przypominałem sobie, dlaczego kochałem moją żonę. Dlaczego się z nią ożeniłem i chciałem spędzić z nią swoje dni. Kochałem dwie kobiety. Kochałem obie te kobiety. I nie potrafiłem wybrać.

Co za bzdury! Przecież już wybrałem. Teraz jesteśmy na wakacjach. Majka ma wolne i czas dla mnie. A kiedy urlop się skończy, wrócimy do Polski i razem z nami wróci szara rzeczywistość. Znowu będzie tak samo. Majka w pracy, ja czekający w nieskończoność na chwilę jej obecności. Znowu samotność, znowu smutek pustych wieczorów. Nie, dość. Beształem w duszy sam

siebie – bądź facetem, bądź twardym facetem. Wiedziałem przecież, że mam rację. Majka kochała swoją pracę bardziej niż mnie. Ja z kolei kochałem Majkę bardziej niż swoją pracę. A Beata? Beata była w tej chwili dla mnie na pierwszym planie. Nie mogłem jej ani zawieść, ani oszukać. A tam, nie mogłem. Przede wszystkim nie chciałem. Chciałem być z Beatą, wracać do niej, razem z nią jeść kolację. Cieszyć się porankiem i nie odczuwać pustki.

A może powinienem wymyślić sobie jakieś absorbujące hobby? Wpadać do domu tylko po to, żeby coś przekąsić, a potem uciekać na długie godziny? W weekendy się doszkalać, zrobić jakieś kursy, może jakieś studia. Albo zmienić pracę? Na bardziej ambitną. Wtedy wracałbym do domu równocześnie z Majką i nie musielibyśmy na siebie czekać. I każde byłoby w swojej pracy spełnione. Zaraz, zaraz, przecież ja jestem spełniony w pracy.

Od razu sobie odpowiedziałem: nie jestem niespełniony, jestem znudzony. Nie chce mi się robić żadnych kursów, bo ogarnął mnie leni. Potrzebę stabilizacji pomyliłem ze stagnacją. Z powodzeniem mógłbym zrealizować któreś ze swoich młodzieńczych marzeń. Przecież nie jestem jeszcze taki stary. Mógłbym na przykład pójść na kurs nurkowania. Modny ostatnio sport, ale nie szkodzi, wręcz przeciwnie. Dzięki modzie jest dużo kursów i nie kosztują takich bająskich sum. Albo kurs pilotażu awionetek. To jest myśl. Eureka!

Dlaczego na to wcześniej nie wpadłem? Nudziłem się w domu sam ze sobą zamiast zrealizować coś, na co nie wszyscy mogą sobie pozwolić. Bo albo nie mają czasu, albo ich na to nie stać. A ja marnotrawiłem czas, siedząc w domu przed telewizorem i przeżywając rozczarowanie swoim życiem, swoim związkiem. Czy naprawdę aż chorwackie słońce było mi potrzebne do tego, żeby odkryć tak oczywistą prawdę?

No i gdzie w tym wszystkim znajduje się Beata? Przecież pokochałem ją nie z nudów, tylko dla niej samej. Nie mogę teraz realizować swoich pasji, bo powtórzę historię, tylko z odwróconymi rolami. To mnie nie byłoby w domu, a Beata by w nim czekała, aż skończę swoje przygody. Po co ja się wygłupiam? Za stary jestem na Indianę Jonesa. Czas się po prostu ustatkować, mieć dzieci i nie wykonywać żadnych alpejskich kombinacji. Po prostu być.

Nie potrafiłem jednak zrozumieć, dlaczego Majka tak bardzo okazuje mi, że jej na mnie zależy. Nie zrobiła dzikiej awantury, kiedy powiedziałem jej o rozwodzie. Bałem się, że zawrócimy i nie pojedziemy na żaden urlop. Co samo w sobie nie byłoby takie złe, tylko Majka by mi tego nie wybaczyła. I co z tego? Właściwie to dlaczego zdecydowałem się wyjechać? Powinienem zostać w Polsce i nie ciągnąć mojej żony przez pół Europy tylko po to, żeby powiedzieć jej o planowanym rozwodzie. Bez sensu. Gdzie tu logika? Nie miałem wątpliwości, że logiki nie było, za to był pewien ukryty

haczyk – po prostu strasznie bałem się powiedzieć o wszystkim Majce. Bałem się tak bardzo, że uciekłem w myślenie o urlopie. To był zresztą kapitalny temat zastępczy – gdy już nie wiedziałem, co powiedzieć, to zawsze można było pogadać o Chorwacji. O trasie przejazdu, bagażu, przygotowaniach... Zawsze znalazło się jeszcze coś do załatwienia.

Byłem zaskoczony spokojną reakcją Majki. Żadnych łez, żadnych krzyków. Nie było po niej widać nawet cienia zdenerwowania. Aż mnie to zabolalo, ale cóż... w pierwszej chwili pomyślałem, że po prostu Majka już dawno ode mnie odeszła i sformalizowanie tego stanu nie jest dla niej żadnym problemem. Ale myślę, że ta pierwsza ocena nie była trafna. Majka była zaskoczona i nie wiedziała, jak zareagować. Więc nie zrobiła nic. To też metoda. I nawet, po zastanowieniu, do tego momentu mogę ją zrozumieć. Ale kiedy już ochłonęła, powinna była jakoś zareagować... Czy ja wiem, inaczej jakoś. Nie tak spokojnie. A Majka postępuje tak, jakby nie chciała robić mi przykrości. Jest smutna, ale pogodzona. Nie walczy, a to nie jest do niej podobne. Czyżby jej nadal na mnie zależało? Szkoda, że tak późno się o tym dowiaduję – pomyślałem na zakończenie i zapadłem w głęboki sen.

Rozdział 21.

Jak oni jedzą!

Kiedy się obudziłem, dochodziła piąta. Majka siedziała na balkonie i coś czytała.

– O, cześć, śpiochu!

– Cześć! Jejku, czemu mnie nie obudziłaś? Jest strasznie późno!

– A gdzie mi się spieszy? Dlaczego miałabym cię budzić? Mieliśmy dwie ciężkie noce, więc dobrze, że udało ci się zasnąć.

– Dzięki, chyba było mi to potrzebne. Dowiedziłaś się czegoś?

– Pewnie. Park jest otwarty do zmroku, ale wejście jest możliwe tylko do piątej. Zresztą, o piątej to chyba w ogóle nie warto tam wchodzić. Najsensowniej jest wejść około południa, ale nie zdążymy. Jeśli jednak będziemy tam koło drugiej, to i tak będzie super.

– Świetnie, Internet to potęga. Kolacyjka jakaś? – Byłem w rewelacyjnym nastroju.

– Chcesz powiedzieć stołówka? – prowokowała wesoło Majka.

– Nie, chcę powiedzieć kolacyjka. Do stołówki możemy pójść się napić tego kwaśnego wina. Tylko nie za dużo, bo znowu będziemy mieli sensacje.

– A pod hasłem kolacyjka rozumiesz...

– Stolik nad chłodną wodą, na stoliku świeczka, moja żona naprzeciwko mnie. Kelner w białej koszuli przynosi nam wielki półmisek wypełniony po brzegi... możemy wybrać czym. Zgłodniałem chyba. – A niech tam! – Mogę być czasem rozrzutny.

– Chyba tak. Tak brzmisz przynajmniej. Daj mi dziesięć minut i idziemy.

– Nie bądź taka prędką. Ja potrzebuję dwudziestu. Muszę z siebie zmyć resztki snu.

– Dobrze, poczekam tutaj, jeszcze poczytam.

Potem spokojnie zesliśmy na dół, gdzie kłębiący się tłum Niemców i tak nie pozostawiał wątpliwości, że kolacja póki co nie jest możliwa. Nałaliśmy sobie po szklaneczce, usiedliśmy w kąciaku i obserwowaliśmy zjawiska ludzkie, jakie przewijały się przed naszymi oczami. No bo inaczej nazwać się tego nie dało. Po kilkunastu minutach mogliśmy bez pudła opowiedzieć, jak wygląda właściciel niesionego talerza, oceniając go wyłącznie po zawartości naczynia. Niska, korpulentna pani niosła talerz pełen makaronu suto okraszonego mięsny m sosem. W drugiej ręce trzymała talerz z kawałkiem jakiejś białej ryby w gęstym sosie i dużą porcją frytek. Nie wątpiliśmy, że za chwilę, raczej krótszą niż dłuższą, zobaczymy ją idącą z talerzem ciastek (różnych, bo przecież musi być wybór) i – dla zachowania pozorów z drugim talerzem z owocami, już nie tak pełnym. Daliśmy jej kwadrans, pomyliliśmy się o jakieś cztery minuty. Chuda jak patyk, tyczkowata

dama, ubrana w dość ekscentryczną suknię z dekoltem na plecach, niosła przed sobą jeden tylko talerz. Ogromny, ale za to prawie pusty. Na jego środku ułożona była kopułka z małych listków sałaty, dookoła której leżało dokładnie pięć kawałków pomidora, a pomiędzy nimi – dokładnie pięć plasterów ogórka. Sałata posypana była kukurydzą i polana oliwą albo winegretem. Na pomidorach i ogórkach umieszczono po kropli (dosłownie!) jakiegoś gęstego sosu.

– To się nazywa jeść oczami – orzekliśmy zgodnie.

Chwilę później przechodził jakiś Niemiec. Ogromny, zwalisty, prawie dwumetrowy. A i tak pewnie łatwiej byłoby go przeskoczyć niż obejść. Rozjechaliśmy się w rachunkach – jego wizyt było pięć czy sześć? Każda z dwoma talerzami. Najpierw przystawki zimne. Sałata pływająca w majonezowym sosie z niewielkim dodatkiem innych warzyw. Sałatka warzywna i sałatka makaronowa z owocami morza, obydwie majonezowe. I obydwie po około pół kilograma. Potem przystawki gorące. Tutaj wybór był mniejszy, więc na każdym talerzu było oddzielne danie – makaron z mięsem na jednym, makaron tonący w sosie pomidorowym na drugim. Nadszedł czas na zupkę. Tutaj pełen zawód – tylko jedna zupa, za to gęsta, kremowa zupka grzybowa. Ale przecież samej zupy jeść nie można, więc w drugiej ręce Niemiec trzymał talerz z tostami. Czwarta tura była mięsna. Nie mogłem już patrzeć bardziej szczegółowo na zawartość tych talerzy,

wiem tylko, że było dużo. Ryby Niemiec ominął, za to ciasta... ach! to był istny poemat. Ułożone w zgrabną piramidkę, jedno na drugim, serniczki, suche babki piaskowe, ciastka z czerwoną galaretką, babeczki z owocami, ptysie i kremówki. Drugi talerz też był, a jakże! – na środku piętrzyła się góra waniliowego budyniu, sownie okraszonego jakimś czerwonym sosem, a dookoła starannie poukładane babeczki z bitą śmietaną.

– Słuchaj, to niemożliwe. On musi tu być w jakimś większym towarzystwie – musiałem wyrazić swoje niedowierzanie.

– Nie gadaj. Popatrz, siedzi tam. Jego towarzystwo to sympatycznie wyglądająca żona, która sama sobie przynosi posiłki i na oko czteroletnia córeczka, która jak ptaszek od czasu do czasu coś skubnie. – Majka jak zwykle kontrolowała sytuację ze spokojem.

– No to może większość tego żarcia została? – Obżarstwo Niemca naprawdę wytrąciło mnie z równowagi.

– Żałujesz mu? Niech je, biedaczyna. Przy jego wzroście trzeba dużo jeść.

– I jeszcze więcej ważyć – westchnąłem ze zgrozą, choć to w ogóle nie był mój problem.

Odpuściliśmy spasionego Niemca i skupiliśmy się na ponętnej Włoszce. Była naprawdę piękna. Miała w sobie to coś, co przykuwało uwagę. Ubrana była skromnie, w czekoladową sukienkę, bez żadnych

ekstrawagancji, na nogach płaskie sandałówki, na rękę bransoletka z koralików. Niewidoczny niemal makijaż – tylko staranie wytuszowane rzęsy. To ostatnie oczywiście podpowiedziała mi Majka, bo skąd miałbym wiedzieć, że tak właśnie wyglądają starannie wytuszowane rzęsy. W każdym razie dziewczyna była atrakcyjna. Co ja mówię, dziewczyna. Raczej młoda, elegancka kobieta. I jej talerz też był elegancki. Zawierał sałatę z jakimiś kolorowymi warzywami, pokropioną oliwą, i dwie małe grzanki. Potem przyniosła sobie porcję ryby i zjadła ją z odrobiną makaronu bez żadnego sosu. Na koniec kawałek sernika i wielki plaster arbuza. Jadła tak, jak wyglądała – elegancko.

Potem rodzina z czworgiem rozkapryszonych dzieci. Po matce widać było, że dojadała resztki po dzieciach, po ojcu – że mało się dziećmi interesował. Dzieciaki z kolei wykorzystywały zmęczenie matki, ile wlezie. No i jeszcze cała galeria innych postaci. Bawiliśmy się tak przez czterdzieści minut. W tym czasie wypiliśmy za dużo szklanek kwaśnego wina i uznaliśmy, że zaczynamy się za świetnie i za głośno bawić. Postanowiliśmy oddalić się z miejsca przestępstwa. W końcu można czynić obserwacje psychologiczno-społeczne, ale nie trzeba przy tej okazji robić nikomu przykrości.

Zaczynało zmierzchać. Zrobiło się naprawdę przyjemnie. Poszedłem jeszcze do pokoju i przyniosłem Majce sweter, bo nad wodą mogło być chłodno. Kiedy

wróciłem, Majka była w nostalgicznym nastroju. Poszliśmy wolnym krokiem do portu, wybraliśmy knajpkę, zajęliśmy stolik. Zamówiliśmy wielką karafkę wody mineralnej i na razie odpuściliśmy wino. Po chwili na stół wjechała woda i ogromny półmisek małży w sosie szampańskim. To znaczy pół było w sosie szampańskim, a pół w sosie pomidorowo-ziołowym, bo nie potrafiliśmy się zdecydować, które wolimy. A woleliśmy obydwie wersje, obydwie przepyszne.

Cudownie było tak trzeźwieć, kiedy w roli sól trzeźwiących występowała morska bryza. Nawet nie za dużo rozmawialiśmy, po prostu dobrze nam się tak siedziało na skraju lądu. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że dobrze nam razem. Zganiłem się, że nie jest to najbardziej trafna konstatacja, biorąc pod uwagę planowany rozwód. Dlaczego mieliby rozwodzić się ludzie, którym tak ze sobą dobrze? I po raz kolejny odpowiadałem sobie jak zawsze do tej pory – bo życie składa się z wielu chwil, nie tylko z wakacji. Trzeba robić razem coś więcej, niż tylko mijać się we wspólnym mieszkaniu. Bo nie chcę spędzić życia, czekając na żonę przed telewizorem. Mecz się skończy, a ja dalej będę dzierżył pilota w dłoni. Do kina nie pójde, bo samemu się nie chce, na żadną wystawę też nie pójde, bo sam nie lubię. Na koncert może bym poszedł, ale znowu – sam? Niezauważalnie, krok po kroku, wchodziłbym w szarość. Co mnie kiedyś interesowało?

Koszykówka? A czy w ogóle miałem jakieś zainteresowania? Robię się nostalgiczny – pomyślałem. Bez sensu i niepotrzebnie się zadręczam. Decyzję podjąłem na trzeźwo, długo nad nią myślałem. Nie zmienię jej pod wpływem miłej chwili. Chwila minie, a mnie pozostanie pilot w dłoni. Nie ma mowy!

– Adam? – Majka wyrwała mnie z tych rozważań.

– Yhm? – jeszcze nie do końca wróciłem do rzeczywistości.

– Kochasz ją?

– Co? O czym ty mówisz?

– Pytam, czy ją kochasz.

– Upiłaś się?

– Nie. Nie upiłam się. Jestem trzeźwa jak świnia i do tego śmiertelnie poważna.

– No to co za gadanie?

– Adam, ja po prostu wiem.

– Co wiesz? – Zadrzałem w środku. Łatwo było różne myśli w głowie układać. Znacznie trudniej, kiedy realna sytuacja wymykała się spod kontroli. Miało być miło i bezkonfliktowo. Miałem nikogo nie ranić i wszystkie brudy wyprać w prywatnej pralni.

– Adam, kocham cię, pomimo tego, co mi powiedziałeś. Pomimo tego, że chcesz mnie zostawić. Już od jakiegoś czasu widziałam, że coś dzieje się nie tak. Straciliśmy ze sobą kontakt. Przestałeś bywać w domu. Zdarzało się, że wracałam późno do domu, a ciebie jeszcze nie było. Wychodziłam wtedy, czasem

na spacer, czasem do Gośki, czasem do jakiegoś centrum handlowego. Jeśli byłam u Gośki albo na spacerze, widziałam, kiedy zapalały się światła. Wtedy wracałam do domu. Nigdy nie powiedziałeś słowa na ten temat. Domyślasz się, że mnie to zaciekało. Sprawdziłam troszkę. Nie chcę mówić za ciebie. Chcę, żebyś ty mi opowiedział. Chcę wierzyć, że mój mąż jest odważnym człowiekiem i że jest w stanie patrzeć mi w oczy i mówić prawdę.

Ale ja nie byłem odważnym człowiekiem. Byłem tchórzem, który nie chciał o tym mówić, nie miał na to odwagi. O święta naiwności! Przecież znałem Majkę i wiedziałem, że jest spostrzegawcza i inteligentna. Jak mogłem przypuszczać, że uda mi się uniknąć wyjaśnień? Potrzebowałem chwili oddechu.

– Majka, dlaczego właściwie rozmawiamy tak spokojnie? Jestem zaskoczony. Począwszy od knedlików, jestem przez ciebie nieustannie zaskakiwany. Rozmawiamy ze sobą, spędzamy miło czas... Zupełnie nie tak, jak para na progu rozwodu. Dlaczego tak zareagowałaś? Tak, jakbym był ci już dawno obojętny, a rozwód miał być tylko postawieniem kropki nad i.

– Hm, popatrz, jak różnie można zinterpretować te same zdarzenia. Ta reakcja to nie obojętność, wręcz przeciwnie. Odkryłam, że zdumiewająco dla mnie siłą, jak bardzo mi na tobie zależy. Jak bardzo potrzebuję twojej obecności i jak bardzo jest dla mnie istotna. Uświadomiłam sobie, ile błędów popełniłam i że

pewnie nie będę miała szansy ich naprawić. Ale dotarło też do mnie, że nie chcę ich już więcej popełniać. I że jeśli los dał mi jeszcze dwa tygodnie twojego czasu tylko dla mnie, to zamierzam je wykorzystać tak, żeby pamiętać ten czas jako najlepszy z możliwych.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Niby trochę się tego spodziewałem, ale i tak mnie zatkało. Długo milczeliśmy, każde ze swoimi smutnymi myślami. A właściwie to dlaczego moje miały być smutne? Rozstania na ogół są smutne, ale ja miałem perspektywę. Świetlaną i czystą perspektywę radości w innym związku. Zostawię za sobą ten mrok niezrozumienia i wejdę w ciepłe światło zwyczajności. Kolacji czekającej na stole, domowego ciepła. Wejdę w świat Beaty i będzie mi tam dobrze.

Tak jakby tutaj nie było dobrze.

No, kiedyś.

Uświadomiłem sobie, że nie uniknę wytłumaczenia Majce prawdy. Tylko prawdy. Nie będę jej oszukiwał. Muszę tylko znaleźć odpowiednie słowa. Jakie to mają być słowa? Robiło się banalnie. Zwyczajna, stara jak świat małżeńska zdrada. Dlaczego przypuszczałem, że uda mi się zrobić z tego coś innego? I co tak naprawdę chciałem zrobić? Jakie piórka założyć? Uświadomiłem sobie, jaki byłem żaloszny.

– Majka, nie chcę o tym rozmawiać – wyznałem po prostu.

– Kiedyś będziemy musieli.

– Kiedyś tak.

Tego wieczoru już prawie nie rozmawialiśmy. Wróciliśmy do hotelu, obejrzeliśmy coś w telewizji i poszliśmy spać. Całe szczęście, że wyspałem się po południu, bo tej nocy, tak jak i kilku poprzednich, nie mogłem zmrużyć oka.

Rozdział 22.

Krewetki mają wąsy

Następnego dnia, jak gdyby nigdy nic, poszliśmy na śniadanie, a potem na plażę. Nie wracaliśmy do wczorajszej rozmowy, ale też nie musieliśmy. Nieustannie tętniła mi w głowie myśl o tym, że muszę z Majką otwarcie porozmawiać. MUSZĘ. I chociaż dzień był słoneczny, ja pamiętam go jako pochmurny, bo przez cały dzień kłębiły się w mej głowie gradowe myśli. Aż wreszcie wieczorem spadł z nich deszcz.

Poszliśmy do tej samej knajpki co poprzedniego wieczoru. Tym razem zamówiliśmy dużą karafkę wina i jakieś owoce morza. Chyba kalmary i krewetki. Zacząłem prawie od razu, bo nie mogłem znieść ciśnienia.

– Maju, muszę ci o tym opowiedzieć. Muszę, chociaż myślę, że nie powinienem. Ten czas jest tylko nasz i nie chciałbym go psuć, ale sama o to prosiłaś. Czuję się z tym źle, tak jakbym dzielił się z tobą ciężarem, którego nie musisz nieść, którym nie powinnaś być obciążona. A jednak... no cóż, wydaje mi się, że mimo wszystko tak będzie lepiej.

Zamilkłem, bo to było trudniejsze, niż wydawało mi się z początku. Myślałem o tym całą noc, myślałem o tym cały dzień, wymyśliłem mnóstwo i na nic mi się

to teraz nie przydało. Patrzyłem na moją żonę i nie pamiętałem żadnych słów.

– Masz rację, mam kogoś. Nie będę robił uników i udawał, że jest inaczej. I tak się dowiesz, wtedy miałabyś większy niesmak. Zresztą, pobieżnie znasz tę osobę. To Beata, siostra Bogdana. Spotykamy się od kilku miesięcy.

– Opowiedz mi o pierwszym razie.

– Majka...

– Opowiedz mi.

Nie ułatwiała mi, to pewne, ale też przecież na to zasłużyłem. Mogła jeździć po mnie dowolnie mocno, miała do tego prawo. Miała? Naprawdę?

– Maju, nie chcę. Wolę oszczędzić ci szczegółów.

– Opowiedz.

– To było podczas jednego z twoich wyjazdów. W kwietniu. Zaprosiła mnie do siebie na kolację... – Nie, nie mogłem tak. – Daj spokój. Oszczędź tego i mnie, i sobie.

– Może masz rację. Kochasz ją?

– Jesteś masochistką. Chyba tak.

– Jak można kochać „chyba”?

No właśnie, jak można kochać „chyba”? Przecież ja po prostu kocham Beatę. I już. Bez żadnych „chyba”.

– Nie wiem. Chyba można. Może nie można – plątałem się trochę.

– Adam, rozumiem, że chcesz z nią żyć, tak? – Majka pytała konkretnie.

– Chyba tak.

– Znowu to „chyba”. To może chyba też chcesz się ze mną rozwieść?

Tego wieczoru po raz pierwszy Majka zaczynała okazywać zdenerwowanie. Dotychczas była kamiennie spokojna, jakby miała maskę na twarzy. Wiedziałem zresztą, że była dobra w ukrywaniu emocji. W pracy bardzo często wygrywała dzięki temu, że nie dawała się wyprowadzić z równowagi. Ale też doskonale wiedziałem, że nie oznaczało to braku owych emocji. W końcu tama musiała puścić, musiał nadejść moment, w którym uczucia wyjdą na wierzch, nie ma siły, nie da rady ukrywać ich w nieskończoność. Bardzo bałem się tego momentu. Co ja wtedy zrobię? Zmięknę? A co to będzie oznaczało?

– Majka, nie chyba. Chcę się z tobą rozwieść. Chcę żyć z Beatą. Chcę wracać do domu, w którym ktoś na mnie czeka albo do którego ktoś zaraz przyjdzie. Chcę być dla tej drugiej osoby najważniejszy, ważniejszy od kariery, ważniejszy od nowego samochodu. Chcę być „naj”. A to wymaga czasu i uwagi. Wiem, jak uwielbiasz swoją pracę, nie chcę ci tego zabierać. Pozwól mi jednak żyć po swojemu. Nie chcę cię ranić, nie chcę zabierać ci nic, co jest dla ciebie ważne. Pozwól mi...

– Adam, nie chcę cię stracić – przerwała mi Majka. Zatkaną mnie.

– Maju, wiesz, co mówisz?

– Wiem.

– Myślę, że trochę za dużo wypiałś na pusty żołądek. Swoją drogą, gdzie nasze jedzenie? – potrzebowiałem chwili oddechu.

– Był kelner, kiedy poszedłeś do toalety. Przeprosił, bo mają awarię w kuchni i trzeba będzie poczekać około czterdziestu minut na jedzenie. Powiedziałam, że nie ma sprawy i że my poczekamy. Obiecał nam za to piętnaście procent rabatu.

– Mógł dać trzydzieści.

– Na targowanie się wypiałam za dużo. Ale tak naprawdę to wcale nie wypiałam aż tak dużo. Schodzi ze mnie pierwszy szok. Zaczynam powoli oswajać się z myślą, że jestem dla ciebie nieważna. Że tak łatwo ze mnie rezygnujesz. Że tak po prostu mówisz: idę do innej, tam mi będzie lepiej.

– Maju, jak to: tak po prostu? Od dwóch lat ze sobą nie rozmawiamy! Wymieniamy tylko uwagi!

– A próbowałaś porozmawiać? Którego dnia zatrzymałaś mnie w biegu i powiedziałaś: zwolnij albo pójde inną drogą? Skąd mogłam wiedzieć, czego oczekujesz, skoro mi o tym nie mówiłaś? Wróżką jestem?

– Przepraszam. – Miała niestety rację.

– Ja też przepraszam. Uniosłam się. To dlatego, że dociera do mnie, jak bardzo nie chcę cię stracić. – Opanowanie Majki było imponujące.

– Kiedyś byłem z Beatą w knajpce. W jakiejś małej kawiarence, nawet już nie pamiętam, w której. To było

dawno, na samym początku. Zapytałem kelnera, czy mają słodzik do herbaty. Odpowiedział, że nie. Wyraziłem żal i posłodziłem herbatę cukrem. Kilka dni później ponownie siedziałem z Beatą w knajpce. Innej. Znowu zapytałem o słodzik i znowu kelner wyraził ubolewanie, że nie mają. Beata wyciągnęła z torebki słodzik i powiedziała, że fajnie jest móc dosłodzić komuś życie. Kupiła słodzik specjalnie dla mnie, chociaż sama nie słodzi herbaty w ogóle. O to mi chodzi, rozumiesz?

– Rozumiem, że nie o dosłodzenie.

Pokiwałem głową. Po chwili milczenia Marianna zaczęła mówić.

– Od jakiegoś czasu zastanawiam się, dlaczego nie wracam do domu z taką radością jak kiedyś. Ostatnie miesiące są oczywiste, byłeś gdzie indziej, w innym domu, więc w naszym nie mogło być wesoło. Ale to nie jest kwestia ostatniego pół roku. Zauważyłam to wcześniej, ale myślałam, że tak już musi być. A powinnam była zareagować... – Zamyśliła się. – Ale tego już nie odwrócę. Adam, oczekujesz ode mnie idealnego spełniania swoich wyobrażeń. W kuchni ma być porządek, książki ułożone w ustalonej przez ciebie kolejności. Pranie zrobione we wtorek i czwartek, a jeśli za dużo, twoim zdaniem, rzeczy leży na krześle, to je po prostu zrzucasz na podłogę.

– Przeprosiłem cię. Już tak nie robię.

– To prawda, rzeczy na podłogę nie zrzucasz...

Zaczęłam uciekać z domu. Chętniej zostawałam po godzinach, bo to był dobry powód, żeby później wrócić. Chętnie umawiałam się w mieście, bo nie musiałam wtedy spełniać domowych oczekiwań. Chętnie przyjmowałam delegacje, bo wtedy tęskniłam za tobą i łatwo mi było nie pamiętać o tym, co mnie z tego domu wyгнаło.

– Maja, przepraszam...

– Daj mi skończyć. Takie podejście do pracy zaowocowało szybkim awansem. Właściwie awansami, jednym za drugim. Już nie musiałam wynajdywać sobie roboty, przez którą musiałabym zostać po godzinach. Przestałam się wyrabiać z bieżącą pracą i naprawdę musiałam zostawać dłużej, żeby z niczym nie nawalić. Dawałam radę, kariera rozwijała się dalej. I wiesz, Adam, tutaj mam do ciebie największy żal. Nie wsparłeś mnie w tym momencie. Nigdy nie powiedziałeś, że jesteś ze mnie dumny, a bardzo tego potrzebowałam. Wsparcia i otuchy, że dam radę, że nie zginę i nie zjedzą mnie wilki. Potrzebowałam twojej wiary we mnie. – Zamilkła na moment. – Potem już poszło gładko. Skoro ty mnie nie wspierałeś, przestałam ci o tym opowiadać. Gdy ja przestałam, ty też przestałeś mówić o swojej pracy. I tak mijaliśmy się co dzień o kroczek dalej. Aż doszliśmy do tego momentu, w którym teraz jesteśmy. I rzecz najdziwniejsza ze wszystkich. Mam w sumie do ciebie sporo żalu. Ty do mnie pewnie też. Pewnie trudno byłoby nam pogodzić teraz nasze żale i oczekiwania.

Pomimo tego, dalej myślę, czuję i mówię: nie chcę cię stracić.

Siedziałem z twarzą ukrytą w dłoniach. Jak mogłem przegapić tyle ważnych dla nas momentów? Majka mówiła coraz ciszej i ciszej. Coraz lepiej rozumiałem, co się między nami wydarzyło. Dlaczego nie porozmawiałem z nią rok temu? Pół roku temu? Dwa lata? Można było wtedy jeszcze wszystko naprawić. Ta dzisiejsza rozmowa to jest dobra rzecz i, jak większość dobrych rzeczy, przytrafiła nam się za późno. Wszystkie dobre rzeczy przychodzą nie w czas – albo za późno i już nie można ich w pełni wykorzystać, albo za wcześnie i wtedy nie wiemy jeszcze, że są dobre. Niewiele więcej zostało do dodania. Majka skończyła, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Milczeliśmy. Z dziwnej ciszy wyrwał nas kelner. Przyniósł wreszcie zamówione dania.

I raptem jakby zły czar prysnął. Majka zaczęła się śmiać. Serdecznie, od serca, jak już dawno się nie śmiała. Ja dołączyłem do niej po chwili. Kelner postawił przed Majką smażone kalmary – podsmażone białe pierścionki połyskiwały ładnie na ciemnym talerzu. Ale przede mną... Przede mną kelner postawił ogromny półmisek wielkich robaków w ślicznych, różowych pancerzykach – skorupiaków z ogromną ilością czułków i z czarnymi oczkami. Dla mnie do tej pory krewetki to były takie małe różowo-białe księżyce, leżące na kruchej zielonej sałacie polanej pysznym

sosem. Poza tym krewetki widywałem jako rząd okrągłych pudełek na półce hipermarketu. A tutaj... a tutaj krewetki podano mi w postaci... w postaci czegoś z długimi, wystającymi poza talerz czułkami, w skorupkach i z oczami. Dobrze, że te oczy się nie ruszały. Czułki też nie. Miałem taką minę, że Majce ze śmiechu popłynęły łzy.

Kelner już odchodził, litościwie jednak powrócił.

– Pomóc? – zapytał.

Pokiwałem tylko głową. Ze śmiechu trudno mi było mówić. Odbyliśmy krótką lekcję obierania krewetek ze skorupki. Wcale nie jest to trudne, jak się okazuje, trzeba tylko znać sposób. Trzeba rozprostować krewetkę, potem przekręcić tułów o dziewięćdziesiąt stopni i oderwać od główki. Pozostaje wtedy tylko ściągnięcie skorupki, co też okazało się nietrudne. Świetnie robi się to kciukami, skorupki łatwo się łamią. I tyle. Proste, a zabawy przy tym! Dawno się tak nie bawiliśmy.

– Jutro przyjdziemy tu z aparatem. I znowu zamówimy krewetki! – Majka była naprawdę rozbawiona. – Żałuję, że dzisiaj nie miałam aparatu. Jutro już nie będziesz miał takiej pociesznej miny, szkoda...

– Już ty nie urządź sobie zabawy moim kosztem – niby mruczałem, ale zdarzenie z krewetkami na mnie też dobrze wpłynęło. Obydwojgu humor znacznie się polepszył.

– Wiesz co, Adam? Bardzo, bardzo będę żałować, jeśli naprawdę się rozejdziemy. Będę za tobą bardzo tęsknić. Nie chcę tego, jeszcze raz to powtórzę, ale nie będę robić nic na siłę. Kocham cię, pomimo wszystko. I dobrze, że w życiu zdarzają się takie krewetki. Takie, których nie potrafisz obrać i dopiero musisz się tego nauczyć. Jak wielu innych rzeczy, prawda?

Uśmiechnąłem się do żony. A dużo później spokojnie, powoli idąc brzegiem morza, wróciliśmy do hotelu. Dopiero zasypiając uświadomiłem sobie, że dzisiaj po raz pierwszy nie zadzwoniłem do Beaty. Ale przecież jeden telefon niczego nie zmienia, prawda?

Rozdział 23.

Far niente

I tak mijały dni. Na słodkim far niente. Poszliśmy jeszcze raz na te krewetki i wypiliśmy kolejną karafkę białej malwazji. A potem jeszcze kolejną i gdzieś w następnej knajpce kolejną... Jednym słowem – sielanka na koniec małżeństwa. Nie wracaliśmy już do trudnych tematów i kłopotliwych rozmów. Chwilowo powiedzieliśmy wszystko. Majka nie zadawała żadnych więcej pytań i podziwiałem, jak znosiła to, co już wiedziała. Albo świetnie grała, albo naprawdę się pogodziła. W głębi duszy jednak byłem przekonany, że ona już wcześniej wiedziała co najmniej tyle, ile jej powiedziałem. Przecież stwierdziła któregoś dnia, że „trochę sprawdziła”. Nie miałem wprowadzić pojęcia, co to dokładnie miało znaczyć, ale Majka miała szerokie kontakty i potrafiła je wykorzystać. Na pewno nie była zdziwiona.

Dla mnie natomiast cały ten urlop to był jeden wielki ciąg zdziwień. Dziwiłem się, jak trudno mi było zrobić przykrość Majce, dotknąć w jakikolwiek sposób. Dziwiłem się, jak spokojnie ze mną rozmawiała. Dziwiłem się, jak miło nam było spędzać ze sobą razem czas. I to, w jak oczywisty sposób rozmawialiśmy ze sobą na wszystkie tematy. Jakbyśmy mieli za sobą co

najmniej dziesięć lat małżeństwa... To marny dowcip. Nasze małżeństwo ma za sobą osiem lat i to jest jego schyłek. Nie ma co marzyć o okrągłych rocznicach – są nie dla nas. Miło było i tyle. Teraz rozpoczynam nowy etap życia, w którym wreszcie będę mógł realizować siebie. Wreszcie będę miał solidne zaplecze w domu, kochającą żonę, która będzie się w tym domu spełniać, i wreszcie ja będę mógł robić karierę.

Zaraz, zaraz, dlaczego mam robić karierę? Przecież nigdy mi na tym nie zależało! Od kiedy mam w planach współczesne niewolnictwo – poddaństwo wobec korporacji? Od kiedy pragnę bogacić anonimowych akcjonariuszy? Co mi odbiło, co to w ogóle za pomysł? Czy przypadkiem nie powinienem postawić sobie jeszcze kolejnych pytań? Przecież przemyślałem sprawę z prawa do lewa. Przenicowałem na wylot. Od początku do końca i od końca do początku. Chodzi mi o spokój w życiu. A może nie? To o co mi chodzi? Może o to, że mam tego spokoju za dużo? Może chciałbym mieć niepokój w domu z żoną, z którą nieustannie mielibyśmy jakieś wspólne zajęcie? Czy ja się w życiu nudzę? Co za bzdura! Pokochałem Beatę i nie ma to nic wspólnego z nudą. Czytanie książek jeszcze nie stanowi o tym, że człowiek jest interesujący. A zresztą, Majka też nie czyta aż tak dużo. Przecież nie ma na to czasu. Tylko nieustannie podsuwa mi jakąś książkę i na ogół mówi, która będzie mi się podobała. Skąd ona to wie? I jak znajduje na to czas?

No pewnie, że go znajduje. Przecież nieustannie jej nie ma w domu, ciągle gdzieś wyjeżdża, a na każdy wyjazd zabiera ze sobą książkę. W ten sposób może ich czytać bez liku, w ciszy hotelowej samotności. Już lepiej niech czyta te książki, niż miałyby się szlajać po jakiś barach. O co mi, do licha, chodzi? Co to za pomysł, żeby analizować teraz zainteresowania Majki i jeszcze się czepiać tego, jak spędza swój wolny czas? Nie powinno mnie to już obchodzić. Co mi do tego? No i skąd ten absurdalny pomysł o robieniu kariery? Jestem cichym, spokojnym pracownikiem serwisu i tak ma zostać. Niczego nie chcę zmieniać.

Wydawało mi się, zanim zacząłem pierwszą rozmowę z Majką, że mam już wszystko przemyślane i poukładane. Tymczasem wyszło szydło z worka – i dopiero teraz zaczęła się myślowa galopada. Co rusz odkrywałem jakiś nowy aspekt sprawy, która – jak mi się zdawało – była już przesądzona. Ech, życie.

Rozdział 24.

Średnia prędkość jazdy przez góry

We wtorek, po szybkim śniadaniu i skróconych zabiegach Majki, o dziesiątej trzydzieści siedzieliśmy w aucie. W znakomitych humorach ruszyliśmy na podbój Plitwickich Jezior. Z małej wyspy Lošinj przejechaliśmy na większą Cres, tam dojechaliśmy pięknym zakrętem do miejscowości Merag i zobaczyliśmy odpływający prom. Było już po sezonie, więc następny był za czterdzieści minut. Na razie bawiliśmy się świetnie i nawet nie przyszło nam do głowy jakoś specjalnie kontrolować czas. Był cudny, słoneczny, ciepły dzień. Nawet ja cieszyłem się perspektywą obejrzenia tylekroć opisywanego mi cudu Plitwickich Jezior. Nic to, najwyżej będziemy trochę później. Zanim prom przy płynął i zawiózł nas na ląd, a precyzyjnie mówiąc na kolejną wyspę Krk, było już po pierwszej. Malutka miejscina Valbinska, z przystanią promową, była pusta i przemknęliśmy przez nią, jak zresztą i przez całe Krk, w tempie, jak nam się wydawało, ekspresowym. Po drodze zatrzymaliśmy się tylko na chwilę w przydrożnym „ogródku”. Majka kupiła kilka roślinek dla mojej mamy. MOJEJ mamy. Dlaczego o tym pomyślała? Zapytałem ją o to. Dlaczego miała myśleć o swojej teoretycznie byłej teściowej?

– Wiesz co, masz rację. Nie pomyślałam o tym. Potraktujmy zatem ten zakup jako mój kaprys. Chyba po prostu lubię roślinki, a nie mam własnego ogródka, więc niech przeczekają w ogródku twojej mamy. Kiedyś je od niej zabiorę.

– Na pewno się ucieszy, gdy usłyszy, że to prezent przechodni – stwierdziłem. To wprawiło nas w jeszcze lepsze humory.

Z Krk pięknym mostem za wcale niedrobną opłatą przejechaliśmy na ląd i znaleźliśmy się na bardzo malowniczej Magistrali Adriatyckiej. Cudo nie droga, ale szybko jechać się nią nie da. Więc sobie jechaliśmy, i jechaliśmy, i jechaliśmy, i świetnie się bawiliśmy. W Senj, skręcając z wybrzeża w głąb lądu, uznaliśmy, że jedziemy już za długo i że trzeba przyspieszyć.

– Jesteśmy dalej niż w połowie – powiedziała Majka ciągle rozradowana. – Mamy jeszcze około stu kilometrów.

– No i super. Teraz się pospieszę i niedługo będziemy na miejscu.

– Nawet musisz się pospieszyć. Wprawdzie park jest czynny do ósmej, ale my musimy jeszcze wrócić na Lošinj, a ostatni prom odchodzi o wpół do dziesiątej. Czyli musimy zobaczyć park i wrócić do Valbinski, żeby się załapać na prom.

– No to jedziemy.

Droga za Senj pięła się w górę. Wiedzieliśmy oboje, że mam potworny lęk przestrzeni,

w samochodzie wręcz paraliżujący. Kilka razy Majka chciała odebrać mi kierownicę, ale byłem tak spanikowany, że nawet nie wyobrażałem sobie siedzenia po stronie pasażera. Kierownica dawała mi złudzenie kontroli nad sytuacją.

Powiedzieć, że ta droga była trudna, to byłoby zdecydowanie za mało. Na przestrzeni kilkunastu kilometrów droga z poziomu zero wzniosła się na wysokość sześćset dziewięćdziesiąt osiem metrów. To była przełęcz Vratnik, zaznaczona jak najbardziej na mapie, ale jakoś nie doczytaliśmy, że ta skądinąd niedługa droga biegnie przez góry. I że te sto kilometrów nie będzie łatwą i miłą przejażdżką. Droga mozolnie pięła się wzwyż, była wąska, bardzo stroma i kręta, z nawierzchnią pozostawiającą wiele do życzenia. Była też niezwykle malownicza – po jednej stronie auta wznosiła się stroma skała, po drugiej ziała głęboka przepaść. I dostarczała ekstremalnych wrażeń – często nie było nawet symbolicznej barierki. A lokalni kierowcy nie robili sobie kompletnie nic z tej wysokości. Ja jechałem czterdzieści na godzinę, co wzbudzało ich wściekłość, bo wyprzedzać tam to był wyczyn, a mnie ich jazda przyprawiała o palpację serca. Całości krajobrazu dopełniał widok zrujnowanych wojną domów, do których wejścia strzegły tablice z informacją: *Wstęp wzbroniony. Miny.* Przy jednym z takich domów pracowali saperzy – objazd zajął nam ponad czterdzieści minut. Widok był

smutny, a i czas zaczynał nas gonić.

Majka milczała, ja też. Odezwała się dopiero około siedemnastej.

– Adam, musimy porozmawiać.

– Nie jestem w stanie.

– Rozumiem, to zatrzymajmy się, bo musimy porozmawiać.

– Jeśli chcesz teraz omawiać szczegóły naszego rozvodu, to zgadzam się na wszystko.

– Nie chcę rozmawiać o żadnym rozwodzie, tylko o tym, co teraz zrobimy.

– A co mamy zrobić?

– Chce mi się pić i chce mi się siusiu.

– No wiesz co, oddawać i pochłaniać płyny jednocześnie? To nielogiczne.

– Nielogiczne to będzie, gdy będziemy mieli mokre siedzenie.

– To szukaj jakiejś knajpy.

– Może być tu? – wskazała niepozornie wyglądający budynek, przed którym siedziało i popijało piwo kilku miejscowych chłopów.

Zaparkowałem, wyłączyłem stacyjkę. Nie byłem w stanie od razu wysiąść z samochodu. Trzęsły mi się ręce, trzęsły mi się nogi.

– Chyba byłem odrobinę spięty – powiedziałem z autentycznym zdumieniem. Nie wiedziałem nawet, jak bardzo byłem zdenerwowany, chociaż z gór wyjechaliśmy już dwadzieścia minut temu.

– Chodź, rozprostuj kości. Zamówiłam herbatę i coś do zjedzenia. Nie wiem tak do końca co, ale chyba frytki z jakimś mięsem. Nie znam lokalnych specjałów, nie będę ryzykować.

Usiedliśmy, odetchnęliśmy.

– Adam, musimy podjąć decyzję. – Majka wróciła do tematu.

– Jaką znowu decyzję? Nie jestem w najlepszej formie do takich rozmów.

– Obawiam się, że musi to być teraz. Musimy zdecydować, wracamy czy oglądamy park.

– Po to tyle jechaliśmy, żeby teraz wracać? Oszalałaś?

– Niezupełnie. Jest godzina piąta. Za cztery i pół godziny odpływa nasz ostatni prom. Z Valbinski tutaj jechaliśmy cztery godziny. Teraz będzie już powoli zmierzchać i będzie się jechało gorzej, a i na to, że nie będzie objazdu w miejscu, gdzie pracowali saperzy, też nie ma raczej co liczyć. Jeden z miejscowych mówił, że może tak być jeszcze jutro. Dojedziemy w tym samym czasie tylko pod warunkiem, że zamkniesz oczy i dasz mi poprowadzić. Nie ma najmniejszej szansy, żebyśmy zobaczyli park dzisiaj i dzisiaj nocowali w naszym hotelu. Do Plitwickich zostało nam około trzydziestu kilometrów. Poświęcić na obejrzenie parku dwie czy trzy godziny to grzech. Potrzeba przynajmniej pięciu – sześciu godzin. No, czterech, jeśli weźmiemy pod uwagę program „absolutne minimum”. Park jest czynny do

ósmej, więc jeśli nawet dziś tam wejdziemy, to i tak po nic. Albo natychmiast – z naciskiem na „natychmiast” – wracamy, albo jedziemy dalej, szukamy noclegu i zwiedzamy jeziora jutro. I jutro wracamy.

Milczałem. Byłem wściekły. Nienawidziłem takich niespodzianek. Majka była takim świetnym organizatorem, a przeoczyła ten drobny szczegół, że tych niespełna trzystu kilometrów nie da się pokonać w trzy czy cztery godziny, ale potrzeba na nie prawie sześciu plus prom. Niech to szlag.

– Adam, przepraszam. Źle to obmyśliłam. Nie chciałam. – Majka próbowała łagodzić sytuację.

Nie wiedziałem: wierzyć, czy nie. Ale przecież ja też patrzyłem na tę mapę i też tego „drobiazgu” nie wyłapałem. Nie to było zresztą dla mnie teraz istotne. Istotne było to, że miałem cholerną ochotę obejrzeć Plitwicki Park i nie chciałem pluć sobie w brodę, że przejechałem tę pokręconą drogę na darmo.

Popatrzyłem na zegarek. Bez wątpienia Majka miała rację. Trzeba natychmiast wracać albo zostać na noc. Ależ mi się to nie podobało. Nie wzięliśmy ze sobą nic. Kompletnie nic. Trochę kun, trochę euro i karty kredytowe. Ani szczoteczki do zębów, ani mydła, nie wspominając już o czystych majtkach i skarpetkach. Jeśli wrócimy, będę sobie pluł w brodę. O kąśliwe uwagi Majki martwić się nie muszę, bo przecież się rozwodzimy. W ogóle nie muszę się już martwić o jej samopoczucie. To ma być moja samodzielna decyzja,

uwzględniająca tylko moje racje. A ja sam CHCĘ zobaczyć Plitwickie Jeziora. Nie potrafiłem sobie jednak wyobrazić, jak to będzie, gdy założę na siebie wczorajszą bieliznę. Wiedziałem też o tym, że jakichkolwiek luksusów nie wynajmiemy sobie na dzisiejszą noc, i tak jej nie prześpię. Nigdy nie spałem dobrze w nowym miejscu. Niech to cholera! – zakląłem w duchu. Dlaczego na sam koniec naszego związku los nam spłatał takiego psikus? Cóż było robić, trzeba podjąć decyzję szybko, inaczej czas sam podejmie ją za nas.

- Jedziemy dalej – powiedziałem zdecydowanie.
- Jesteś pewien? – Majka niedowierzała.
- Mam tylko nadzieję, że znajdziemy jakiś nocleg.
- Też na to liczę.

Dopiliśmy spokojnie herbatę, zjedliśmy obiad. Frytki były z mikrofali, mięso też. Jedzenie jednak miało ten atut, że było ciepłe i dawało chwilę czasu na oswojenie się z nową sytuacją. Atmosfera między nami była raczej kiepska, z tendencją do fatalnej. Ochoty na rozmowę zdecydowanie nie mieliśmy.

Zupełnie się nie spiesząc, ruszyliśmy w dalszą drogę. Słońce chyliło się ku zachodowi i właściwie byłoby bardzo pięknie, gdyby urodzie krajobrazu nie szkodziły porzucone w czasie wojny domostwa. Powoli poprawiały nam się humory.

– Ale zaprosisz mnie na jakąś dobrą kolację? – zagadnąłem.

– No pewnie. Już dawno tak się nie wygłupiłam. Będę miała nauczkę, że sto kilometrów nie musi być równe stu kilometrom. Zapomniałam o tym, bo w Polsce, przynajmniej na drogach, którymi jeżdżę, nie ma aż tak ekstremalnych warunków.

– I całe szczęście, umarłbym chyba z nerwów. Jeździsz jak szatan, a polskie drogi i tak są dla ciebie za kiepskie. To znaczy za kiepskie na prędkości, jakie na nich rozwijasz.

– Adam, nie przesadzaj. Zakładam zawsze godzinę na sto kilometrów.

– No właśnie. Właśnie o to mi chodzi. Za szybko jeździsz!

– Popatrz, już dojeżdżamy. – Majka zmieniła temat.

– Już od dłuższej chwili jesteśmy w pobliżu. Jestem przekonany, że to jest park, ale od tyłu.

– Myślę, że masz rację. – Majka popatrzyła na mapę. – Duże to.

– Myślałaś, że Park Narodowy będzie miał dwa hektary?

– No raczej tak nie myślałam – odcięła się. – To teraz zrobię ci wykład. Rezerwat składa się z szesnastu jezior. Położone są tarasowo na długości siedmiu kilometrów, a połączone dziewięćdziesięcioma dwoma wodospadami i kaskadami. Łączny spadek terenu wynosi sto pięćdziesiąt sześć metrów.

– O rany, to jak Pałac Kultury!

– No pewnie coś koło tego. Słuchaj dalej. W parku

można spacerować po drewnianych mostach, rozpiętych na długości osiemnastu kilometrów. Jeziora powstały na skutek długotrwałego procesu erozji równiny zbudowanej ze skał wapiennych i dolomitów. Rzeka wypłukała dolomit, a w bardziej podatnych skałach wapiennych utworzyła zapadliny. Z powodu nieustannie wytrącających się związków wapnia, niecki jezior niepowtarzalnie lśnią bielą. Zresztą, każdy przedmiot wrzucony do wody szybko pokrywa się białą powłoką i kamienieje. Wytrącające się związki mineralne oraz niektóre gatunki mchów stale powiększają ściany rozdzielające jeziora. Czasami nacisk wody powoduje, że te ścianki załamują się i wtedy całość zabawy zaczyna się od początku. Wokół jezior panuje mikroklimat, szczególnie sprzyjający mchom i porostom, co powoduje, że osiągają rozmiary niespotykane gdzie indziej.

– Brzmi nieźle, ale muszę ci przerwać. Chyba jesteśmy.

Faktycznie, chwilę temu minęliśmy tablicę *Plitvička Jezera Nacionalni Park* z dużą strzałką w lewo.

– No to szukajmy jakiegoś hotelu! – Majka wyraźnie się ożywiła.

Wyglądało na to, że hoteli w okolicy było pod dostatkiem. Wjechaliśmy na parking jednego z nich. Obydwoje oceniliśmy, że wygląda nieźle i z werwą ruszyliśmy do recepcji.

Weszliśmy i od razu uznaliśmy, że musimy

poczekać. Dłuższą chwilę. Pod recepcją kłębił się tłum. Akurat jakaś grupa turystów wysypała się z autokaru. Mieli wielkie walizki i robili nieprawdopodobnie dużo hałasu.

– Głodny jeszcze nie jestem, ale napić czegoś, to bym się napił.

– No to chodź. I tak musimy poczekać.

No to poczekaliśmy przy filiżance kawy na wzmocnienie i butelce wody mineralnej na ugaszenie pragnienia. Oboje mieliśmy ochotę na coś mocniejszego, ale postanowiliśmy z tym jeszcze chwilę poczekać. Jakże słusznie!

Kiedy pod recepcją troszkę przejaśniało, ruszyliśmy załatwiać sobie pokój. To było jak déjà vu. Dokładnie tak samo jak w Lublanie – ani jednego wolnego miejsca. Niezrażeni ruszyliśmy do następnego hotelu. Powtórka. Wokół było ich dużo, ale już w drugim recepcjonistka zlitowała się nad nami.

– Możecie dalej nie szukać. Nic nie ma w żadnym z tych hoteli. Jedyne, na co możecie liczyć, to jakaś kwatera prywatna.

Zdębieliśmy, ale nie namyślaliśmy się długo. Zresztą, nie mieliśmy wyjścia. Recepcjonistka obiecała podać nam namiary na jakiś wolny pokój, ale dopiero za czterdzieści minut. Nie mieliśmy ochoty na kolejną kawę, a głodni ciągle jeszcze nie byliśmy. Poszliśmy zatem na spacer. Okazało się, że do bramy parku było jakieś trzysta metrów. Okolica piękna, żeby nie

powiedzieć – przepiękna. Zadbane alejki, pośród starannie utrzymanych rabat, robiły wrażenie. Do tego jeszcze wielkie, stare drzewa – jak pomniki przyrody. Doszliśmy do alei prowadzącej wprost do bram parku, który obsługa właśnie szykowała do zamknięcia. Przemknął przed nami elektryczny wózek i wjechał za bramę, która wprawdzie zaraz się zamknęła, ale i tak uchyliła rąbka rajy widoków. A przecież to była dopiero namiastka.

– Już się cieszę na jutrzejsze krajobrazy. – Majka robiła dobrą minę do złej gry. Przecież nie wiedzieliśmy, jakie warunki czekają nas w owej prywatnej kwaterze. Dalej pozostała kwestia braku chociażby szczoteczki do zębów. Ja milczałem, bo myśl o nadchodzącej nocy napawała mnie dreszczem.

Wróciliśmy do hotelu, pani w recepcji podała nam adres i udzieliła dokładnych instrukcji, jak dojechać we wskazane miejsce. Poradziła też, gdzie najlepiej zaopatrzyć się w mydło, grzebień i pastę do zębów. Postąpiliśmy zgodnie z jej instrukcjami. W malutkim wielobranżowym sklepiku kupiliśmy dwie szczoteczki i pastę do zębów, paczkę papieru toaletowego, opakowanie chusteczek higienicznych, szampon do włosów (zamiast mydła, bo nie było), dwa jogurty na kolację, puszkę tuńczyka i dwie bułki. Niewiele więcej w tym sklepiku było. Ruszyliśmy szukać kwatery. Plan mieliśmy narysowany na kartce i wyglądało na to, że jest narysowany dosyć dokładnie. Tak przynajmniej

sądziliśmy po tym, jak łatwo znaleźliśmy sklep. Na sklepie jednak łatwość się skończyła, może dlatego, że stał przy głównej drodze i trudno go było przeoczyć.

Wskazówki dotyczące lokalizacji poszukiwanej przez nas kwatery nie były już tak jasne, co po pół godzinie dotarło do nas z całą jaskrawością. Do owej kwatery miało się bowiem jechać kwadrans, a my ciągle nie potrafiliśmy jej odnaleźć. Majka wpadła na skądinąd świetny plan, żeby zapytać o drogę w sklepie, ale przez ten czas sklep został zamknięty. Wokół ani żywej duszy. Wjechaliśmy w końcu na teren jakichś ogródków działkowych. Już mieliśmy zawracać, kiedy zauważyliśmy światełko. Jeździliśmy ponad godzinę i mieliśmy serdecznie dosyć przygód jak na jeden dzień. Ledwie pomyślałem o Ośle, który uprzedzał Shreka, żeby nie szedł w stronę światła, a już jechaliśmy w jego stronę.

Okazało się, że tam jest mnóstwo świateł. Te działki po ostatniej wojnie stały się oficjalnym, całorocznym schronieniem dużej grupy uchodźców, którzy w tych skromnych warunkach usiłowali nadać swojemu życiu rys normalności. Okazało się także, że jedna z tych dacz to poszukiwany przez nas adres. Nie mieliśmy już siły ani się śmiać, ani płakać, chociaż obydwa zachowania można by uznać za stosowne. Śmiać się, że wreszcie możemy wysiąść z samochodu, i płakać, że mamy nocować w drewnianym, wiatrem podszytym domku, nazywanym szumnie kwaterą prywatną. Na

zewnątrz było chłodno, około pięciu stopni, wiał wiatr. Przywitaliśmy się z gospodarzami i usiedliśmy w kuchni zaproszeni na herbatę. Tam opowiedzieli nam w skrócie, jak im się tu żyje, że miało to być tymczasowe schronienie, że zimą jest bardzo ciężko. Podziękowaliśmy, wróciliśmy do auta i z naszymi skromnymi zakupami zaczęliśmy wchodzić na górę.

W połowie schodów dogoniła nas gospodyni. Mówiła coś bardzo szybko, więc nie potrafiliśmy się porozumieć. Pociągnęła Majkę za rękę, znowu do kuchni. Tam starsza córka naszej gospodyni w miarę składnym angielskim wytłumaczyła nam, że przed chwilą jej matka otrzymała wiadomość o śmierci swojej siostry. Nagłej i chyba tragicznej. Powiedziała nam także, że matka zdecydowała się natychmiast jechać do rodziny siostry. Dlatego też nie możemy u nich nocować i nie potrafią nam pomóc ani wskazać żadnego innego adresu.

Rozdział 25.

Długa noc

Tak oto, po długich poszukiwaniach i zawiedzionych nadziejach na wygodne łożo, znaleźliśmy się na bruku. Była noc. Chodzić po chorwackich domach po nocy z pytaniem o nocleg nie wydawało nam się najlepszym pomysłem. Odwiedziliśmy wszystkie hotele i pensjonaty, jakie tylko zauważyliśmy po drodze i w żadnym nie było ani jednego wolnego miejsca. Wróciliśmy więc pod hotel, w którym nie było już uprzejmej recepcjonistki wskazującej prywatne kwatery. Nocną zmianę obsługiwał mniej miły recepcjonista, który ani myślał nam pomagać. Poszliśmy znowu do restauracji.

– Adam, nie wiem co powiedzieć. – Majka brała winę na siebie.

– Najlepiej powiedz, że jutro znowu będzie dzień – poprosiłem.

– Jutro będzie piękny, jasny, słoneczny dzień – uśmiechnęła się.

– I powiedz też, że nie będzie taki zimny.

– Będzie ciepły i słoneczny.

– Ciekawe, do której mają tu otwarte – niechętnie wróciłem do terażniejszości.

– Nie chcę cię martwić, ale chyba nie za długo.

Barman czyści ekspres do kawy. – Majka podeszła na chwilę do kontuaru, ale wróciła ze zmartwioną miną. – I o tej porze nie podają już nic do jedzenia.

– Taaak...

– Powiedziałybyśmy wracajmy, ale prom w nocy nie kursuje.

– Wyobrażasz sobie drogę przez góry nocą? – Aż się wzdygnałem. – Wolę spędzić noc w samochodzie.

I tak było. Prawie. Recepcjonista zerkał na nas krzywo, więc staraliśmy się schodzić mu z oczu. Ale w samochodzie było strasznie zimno i niewygodnie. Wprawdzie co jakiś czas włączaliśmy sobie ogrzewanie, ale spanie przy pracującym silniku to nie jest to, co tygrysy lubią najbardziej. Co dwie godziny więc, chociaż na pół godzinki, wślizgiwaliśmy się do hotelu i zaszywaliśmy w jednym z głębokich foteli, w miarę daleko od kontuaru recepcji. Majka nawet dyskretnie poszła obejrzyć piętra, czy przypadkiem tam nie ma jakiegoś przytulnego kąta z fotelami, w którym można by przykucnąć na dłużej – ale nic z tego.

– Rany, jeśli jeszcze kiedyś weźmie mnie chęć na przygody, to mocno mnie puknij w ramię – Majka jęknęła.

Uświadomiłem sobie ze zdumieniem, że wcale nie razi mnie to, że zapomniała o naszym braku planów na kolejne „kiedyś”. Przecież nie miało być już żadnych następnych razów, ale nie zamierzałem teraz jej o tym przypominać.

– I tak nie wierzę, że posłuchasz. Ciebie zawsze goni przygoda – stwierdziłem pogodnie i bez przekąsu.

– Och, jak ty mnie znasz. Obawiam się, że masz rację. – Uśmiechnęła się

No oczywiście, że miałem rację. Było mi niewygodnie, bolały mnie kości. Chciało mi się pić, czułem głód i zimno. I była druga w nocy, dobra pora na niespanie podczas hucznej imprezy.

– Do kitu z takim życiem – prezentowałem skrajny pesymizm, który przerastał nawet moje standardy.

– Adam?

– Yhm?

– Nie zwróciłeś mi uwagi, że nie będzie następnych razów.

– A powinienem? Przecież w tej chwili to nie ma znaczenia. – Przytuliłem Majkę niezgrabnie. W samochodzie karesy nie są najwygodniejsze.

– Adam?

– Tak?

– Woląabym, żeby były.

– Maju, ja.... Nie wiem, co powiedzieć.

– To ja powiem. Zdaję sobie sprawę, że nasze małżeństwo w ostatnich kilkunastu miesiącach nie wyglądało najlepiej. Nie wiem zresztą, czy są jakieś małżeństwa, które wyglądają wzorowo, bo cóż to tak naprawdę znaczy? Pewnie wszystkie coś tam za uszami mają. Ale nasze... dla mnie nasze jest wyjątkowe. Myślę, że to pewnie jest miłość, ta prawdziwa, jedyna. Myślę tak

dlatego, że chcę dla ciebie przede wszystkim dobrze. Zależy mi na tobie, chcę, żebyś ze mną został; nie chcę, żebyś nigdzie odchodził. Ale jeśli tak ma być dla ciebie lepiej, to niech będzie. Nie chcę, żebyś się męczył. Mam do ciebie trochę żalu o to, że ze mną nie porozmawiałeś wcześniej. Wiem, byłam zajęta, zapracowana, wiecznie nieobecna. Ale można było mnie zatrzymać w biegu, potrząsnąć mną, niekoniecznie w taki sposób, jak zrobiłeś to kilka dni temu. Jeśli odejdziesz, nie wiem, czy sobie poradzę. Ech, co ja gadam, oczywiście, że sobie poradzę. Zamówię w pracy szafę, przeniosę rzeczy i już. Myślałeś o podziale majątku?

– Myślałem. Niczego nie zabiorę.

– Nie chcę naszego mieszkania. Nie będę w nim sama mieszkała. Nie będę się kładła sama spać do tego łóżka. Chciałabym tylko, żebyś zostawił mi wszystkie książki i kilka płyt. Reszta jest twoja.

– Nie jest moja. Jest wspólna – stwierdziłem ze smutkiem.

– Ale ma nie być wspólnoty, więc niech będzie twoja. – Majka próbowała rozmawiać racjonalnie.

– Nie zabiorę ci wszystkiego – spróbowałem żartować.

– Kosmetyków ci nie oddam – też spróbowała.

– Majka...

To była bardzo, bardzo długa noc. Do świtu rozmawialiśmy, tak jak jeszcze nigdy wcześniej. O wpół do trzeciej Majka przypomniała sobie, że przecież

w bagażniku jest jeszcze siatka z ostatnich zakupów, a tam powinna być butelka wina. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że nie powinniśmy jej wypijać. Byliśmy głodni i niewyspani, więc alkohol mógł podziałać na nas znacznie mocniej niż zazwyczaj. Do tego za parę godzin znowu będziemy jechać samochodem, trudną trasą, jeszcze bardziej niewyspani. Ale wyciągnięte z bagażnika wino miało idealną temperaturę i cudownie rozgrzewało. Chyba jeszcze nigdy żadne nam tak nie smakowało. Doszliśmy do wniosku, że nie powinniśmy takiego wina więcej kupować. Nigdy już nie będzie miało tego smaku. Sączyliśmy je powoli i rozmawialiśmy o rzeczach, o których do tej pory nigdy nie mówiliśmy.

Kiedyś wydawało mi się, że naprawdę to potrafimy. Potem przestaliśmy ćwiczyć konwersację i zapomnieliśmy, jak to jest. Ale tej nocy przełamaliśmy wszystkie bariery. Mówiliśmy o wszystkim. O naszej wspólnej samotności, o zawiedzionych nadziejach. O niespełnionych i tych zaspokojonych ambicjach. O dążeniach. Spokoju. Miłości. O nas, o seksie, milczeniu, śmiechu, zabawie, smutku. Mówiliśmy o rzeczach, o których wcześniej nawet myślałem ze wstydem. Były tak osobiste, tak intymne. Odczucia, wrażenia, miejsca na duszy, które dotyk motyla może ranić. Wyciągnęliśmy wszystko na światło szarego wrześnieowego poranka. Otworzyliśmy na siebie wrota, które – nie wiedzieć czemu – przed sobą kiedyś

zamknęliśmy. Płakaliśmy i śmialiśmy się. Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje.

Opowiedziałem Majce o tym, jak wstydę się czasami, że nie mam ochoty robić kariery. Że ona bryluje, a ja jestem mężem swojej żony. Ona jest znana w towarzystwie i wszyscy w jej zawodowych kręgach wiedzą, kim jest, a ja tylko przerzucam papiery. Opowiedziałem jej, że jest mi z tym dobrze – i tego też się wstydę. Dzięki temu, dużo, dużo później, już nad ranem, kiedy Majka zasnęła oparta o moje ramię, uświadomiłem sobie, że wcale nie jest mi z tym dobrze. Zacząłem wtedy zastanawiać się, czy – a raczej w jaki sposób – powinienem coś zmienić.

Tej nocy Majka opowiedziała mi o tym, jak trudno czasem wracać do domu, w którym czeka ktoś, kto nie jest zainteresowany jej sprawami. Rzeczywiście, kiedyś opowiadaliśmy sobie o tym, co wydarzyło się w pracy, kto co powiedział i dlaczego to było śmieszne albo przykre. W którymś momencie, pod pozorem nieangażowania drugiej strony w nasze problemy i pod hasłem nieprzynoszenia problemów z pracy do domu, przestaliśmy o tym rozmawiać. I ważna sfera naszego życia stała się oddzielna, zerwał się nasz kontakt na tej płaszczyźnie. A potem poszło już gładko – skoro nie znaliśmy codzienności i jej problemów, to przestaliśmy też znać swoich znajomych, a nasze światy zaczęły się rozdzielać. Majka przyznała też, jak trudno jest nie ulec żadnym pokusom, kiedy jest się tak często daleko od

domu.

Mówiliśmy też o swoich żalach i oczekiwaniach. Powiedzieliśmy sobie, że chcielibyśmy mieć dziecko, na które do tej pory brakowało nam czasu. Obiecałem Majce, że przynajmniej raz w roku będziemy wyjeżdżać na wakacje. Uzgodniliśmy, że obydwójce zmienimy trochę tryb pracy. Majka będzie pracowała mniej lub inaczej zorganizuje sobie pracę. Na pewno mniej będzie wyjeżdżać, może część pracy przyniesie do domu. Ja z kolei poszukam jakiegoś bardziej ambitnego zadania, znajdę jakąś inną pracę, przestanę się wreszcie bać wychylić nosa ze swojej wymoszczonej wygodnie dziupli.

Jednym słowem – rozmawialiśmy o wszystkim, aż do bólu szczerze. Podjęliśmy mnóstwo ważnych postanowień, które miały zmienić i polepszyć nasze wspólne życie. I kompletnie zapomnieliśmy o tym, że ono nie miało już być wspólne. W co drugim zdaniu mówiliśmy sobie: „Kocham cię” i płynęło to z najgłębszych pokładów naszej wiary w siebie nawzajem.

Nad ranem, kiedy Majka już spała, a ja rozważałem możliwości zmiany pracy, pomyślałem, że byłem do tej pory tchórzem. Bałem się zrobić w swoim życiu coś więcej, dalej i wyżej. Zostałem na tym poziomie, który kiedyś bez trudu udało mi się osiągnąć, i na którym było mi zwyczajnie wygodnie. Gdzie podziały się moje marzenia? Czy w ogóle miałem kiedyś jakieś ambicje?

A potem uświadomiłem sobie, że przez całą niemal noc rozmawiałem z Majką tak, jakby nikt na mnie w Polsce nie czekał. Nawet w myślach nie nawiązałem do Beaty i do obietnic jej złożonych. Byłem na siebie zły. Nie tylko w pracy okazałem się tchórzem. Także z własną żoną nie potrafiłem porozmawiać wtedy, kiedy wszystko jeszcze było takie proste. Zebrało mi się wtedy, kiedy już krzywdziłem osoby, na których mi zależało. Skrzywdziłem Majkę, krzywdziłem Beatę. Kim jestem, do licha? – zadawałem sobie to pytanie bez końca.

Co gorsza, wbrew własnej woli dokonywałem porównań pomiędzy dwoma kobietami mojego życia. Z Majką było trudniej, z Beatą łatwiej – ale z Beatą nudno, a z Majką ciekawie. Z Majką zawsze się coś działo i wiadomo było, że życie z nią będzie frapujące. Codziennie inspirowała mnie przez sam fakt, że była. Że oczekiwała i wymagała. A to głupim pytaniem „przeczytałeś?”, „obejrzałeś?”, „co o tym sądzisz?”, a to swoją własną kontrowersyjną wypowiedzią. Z nią ciągle się coś działo. Z Beatą mogłem liczyć na święty spokój, ciszę i brak zakłóceń. Nikt nie będzie oczekiwał, że wypuszczę pilota z ręki i zrobię coś więcej niż wyniesienie śmieci. Majka oczekiwała, że odkurzę całe mieszkanie, Beata po cichutku jak myszka zrobiłaby to sama. Za to z Majką mogłem porozmawiać o wszystkich aktualnościach. Z Beatą można było się pomigdalić, ale nie – prowadzić intelektualnej dysputy. Kim, do cholery,

jestem, żeby tak myśleć o ludziach i tak ich oceniać? Po raz kolejny zezłościłem się na siebie i w przypływie rozpaczyny jak dziecko, jak mały chłopczyk potrzebujący matki spódnicy, rozpłakałem się.

Rozdział 26.

Jeziora Plitwickie

Świt zastał nas w samochodzie na tylnym siedzeniu, wtulonych w siebie. Zbudziłem się ciut wcześniej i patrzyłem na spokojną twarz Majki. Zapomniałem, jaka moja żona jest piękna. Szlachetne rysy, proporcjonalna twarz. Długie rzęsy i długie kasztanowe włosy. Była bezbronna i dopiero w tym momencie do końca uświadomiłem sobie, ile ta rozmowa musiała ją kosztować. Majka nie lubiła zdawać się na przypadek, co najwyżej kontrolowany. Ona planowała i konsekwentnie realizowała swoje zamierzenia. Nie lubiła też odkrywać się za bardzo, zawsze zostawiała sobie coś, za czym mogła się schować. A tej nocy musiała odkryć się do końca, gdyż powiedzieliśmy sobie rzeczy, które nie pozostawiają żadnych niedomówień. Zdałem sobie też sprawę, że mogła to zrobić tylko dlatego, że bardzo jej na czymś zależało, tylko wtedy mogła postawić wszystko na jedną kartę, obnażyć się aż tak bardzo.

Majka poruszyła się, powolutku otworzyła oczy.

– Nie śpisz już? – zapytała.

Pokręciłem głową, cały czas jej się przypatrując. Zmęczona, z podkrążonymi z niewyspania i zaczerwienionymi od płaczu oczami, dla mnie wciąż była piękna. Jak ja mogłem myśleć o tym, żeby ją

zostawić?

Park otwierano o siódmej, więc już niedługo moglibyśmy tam wejść, ale chcieliśmy wcześniej coś zjeść i przede wszystkim napić się gorącej herbaty. W hotelu zaspany barman łypnął na nas okiem i bez słowa przyjął zamówienie. W barze nie było jeszcze nikogo, a jednak dopiero po dwudziestu pięciu minutach dostaliśmy zamówienie na stół. Okazało się, że w kuchni też jeszcze nikogo nie było i wściekły barman sam przygotowywał nam kanapki. Wolałem nie myśleć, czego mógł do nich ze złości dodać. W międzyczasie każde z nas na chwilę wyszło do łazienki chociaż orientacyjnie się odświeżyć i umyć zęby, co było o tyle łatwe, że o siódmej zmieniła się obsługa recepcji i już nie rzucaliśmy się tak bardzo w oczy niesympatycznemu panu z nocnej zmiany.

Za dwadzieścia siódma staliśmy przed bramą parku. Było jeszcze mgliście i chłodno. No i wilgotno, ale to chyba nie powinno dziwić w pobliżu szesnastu jezior. Początkowo alejka prowadziła po prostu przez ładny las. Można też podjechać busem, ale my zdecydowaliśmy się na spacer. W końcu nie po to przeżyliśmy noc niewygód, żeby teraz kłusem zaliczyć te widoki. Chcieliśmy się nimi nacieszyć.

Park jak park, roślinki jak roślinki – myślałem sobie, zastanawiając się, co tak naprawdę nas podkuśliło, żeby koniecznie tutaj przyjechać. Byłem niewyspany i zły. Gdy doszliśmy do brzegu pierwszego jeziora,

zamarłem, zastygłem, zdębiałem – i tak mi już zostało na parę godzin. Widok był bajeczny. Woda jeziora przezroczysta, ale biała. Nie wiem, jak to opisać. Pamiętałem oczywiście, że to związki wapnia nadawały jej kolor, ale świadomość procesów chemicznych niczego nie zmieniała. Widok okazał się zniewalający. Biała, niebieska, szmaragdowa i przezroczysta – wszystko było prawdą. Do tego ryby, które pływały pod samą powierzchnią i przybierały kształt ruchomych cieni. Dopiero po chwili zorientowałem się, że stoimy na przystani.

– Za chwilę powinien przypląć statek. Popłyniemy nim na drugi brzeg, a potem przesiądziemy się w kolejny i tym przepłyniemy największe jezioro, Kozjak. To chwilę potrwa, bo jezioro ma trzy kilometry długości. – Majka wzięła na siebie organizację wyprawy, ja po prostu patrzyłem.

Czułem się oszołomiony. Najpierw stres związany z samym faktem wyjazdu, potem koszmarne podróże przez góry, nieprzespana noc, trudne rozmowy i na koniec ten nieziemski widok. Te jeziora były nagrodą po paśmie niefortunnych przygód.

Zanurzyłem dłoń w białej wodzie. Spodziewałem się lodowatego chłodu, a poczułem ciepło. Słońce zaczęło przygrzewać. Mgła powoli przerzedzała się. Czy ta dziwna noc miała symbolicznie przekształcić się w poranek mojego życia? W odnowienie? Zmianę? Czy to właśnie ma oznaczać piękno, które mnie tu otacza? –

myślałem półprzytomnie. A właściwie – taką miałem nadzieję.

Statek przepłynął bezgłośnie wśród olśniewających krajobrazów. Na drugim brzegu wysiedliśmy, napiliśmy się czegoś w barze i ruszyliśmy na piechotę w nabożnym skupieniu. Szliśmy skrajem głębokiego, oślepiająco białego o poranku wąwozu, wypełnionego białoturkusową wodą. Chłoniliśmy ciszę lasu. W oddali widzieliśmy drewniane pomosty i zmurszałe kładki, na których ludzie wyglądali jak mrówki. Nic kompletnie nas nie obchodziło. Tylko ten widok.

Jak to dobrze, że wojna nie dotknęła parku – rozmyślałem. Cuda się zdarzają. Rozpoczęła się właśnie tutaj, tu pochłonęła pierwsze ofiary i zrównała z ziemią okoliczne wioski, ale park ominęła.

To właściwie mógłby być wzór barwy dla turkusów – szukałem słów na opisanie mojego zachwytu. Patrzyłem na jeziora i zapragnąłem zanurzyć się w nieprzeźroczysty błękit. Zmyć brud, usunąć wątpliwości, napić się ze źródła dobrych decyzji. Jeziora wyglądały jak nawleczone na niebieską żyłkę szlachetne kamienie. Jubilerstwo najwyższych lotów. Chciałbym sprawić Majce taki naszyjnik. W środku Kozjak, rozległy, długi, nierówny – kazałbym oprawić go w srebro. Cienki pasek wypolerowanego na błysk białego metalu. Zapięcie to byłby Wielki Wodospad. Gdyby Majce znudziłby się długi i łagodny Kozjak, mogłaby odwrócić naszyjnik na burzliwą stronę.

Patrzyłem na jeziora z góry i poczułem, że nie możemy patrzeć tylko z lotu ptaka. Pomyślałem, że musimy, po prostu MUSIMY zejść i dotknąć matowej powierzchni wody, pochylić się nad trawami porastającymi brzeg. Chciałbym móc tu wrócić. Najchętniej zostawiłbym w wodzie coś, jakiś przedmiot, wystający jak pień drzewa. Za dwa lata przyjechałabym tu znowu, podziwiał kredowobiałą część zanurzoną w wodzie, kompletnie skamieniałą. Oczywiście, nic tu nie zostawię, nie będę turystyczną świnia, ale ten widok chciałbym zachować pod powiekami na zawsze.

Zeszliśmy w dół. Niezwykłe mchy porastały brzegi jezior.

– Podobno to jedyne takie mchy w Europie – zagaiła Majka.

– Chyba wszystko jest tu jedyne w Europie – odpowiedziałem krótko, bo wcale nie miałem ochoty na rozmowę. Chciałem chłonąć ten blask, biały chłód, niebieską poświatę odbijającą się od skał.

Oglądałem z ciekawością wapienne osuwisko, powstałe pod wpływem naporu wody. W nowej niecce przyroda zaczynała swoje dzieło od początku. Związki mineralne wypłukane przez wodę ze skał gruntowych oraz pozostałości niektórych mchów i porostów zaczynały się już osadzać, żmudnie budując kolejną barierę.

Kamień, woda i drewno. Drewno jako ścieżki rozłożone niczym wstążki nad taflami jezior, i jako

drzewa wokół – las gęsty, bogaty, porośnięty klonami, bukami i jodłami.

Spacerując po malowniczych kładkach, dotarliśmy w końcu nad Jezioro Kaluderovac. Tam staliśmy długo, jakby ktoś wrzucił nas do wapiennej wody jednego z jezior i pozwolił skamienieć. Przed nami majestatycznie unosił się pył Wielkiego Wodospadu. Nie widziałem Niagary. Nie wiem więc, co znaczy naprawdę wielki wodospad. Widziałem Veliki slap w Plitwickich Jeziorach, wysoki na siedemdziesiąt osiem metrów, i – już pewnie na zawsze – będzie to dla mnie punkt odniesienia. Dla Majestatu, Piękna, Niezależności.

Odetchnąłem głęboko, chwyciłem Majkę za rękę i zbliżyliśmy się do wodospadu. Chlapał, kropelki osadzały się nam na rękach i ubraniach. Padająca woda huczała, a ja czułem w sobie ciszę i spokój. Tak powinno być.

– Musimy jeszcze pójść zobaczyć Grotę Mnicha. Podobno są tam bajeczne stalaktyty. – Majkę jak zawsze nosiło.

Ja najchętniej zostałbym tu, nie ruszał się nigdzie z miejsca, które miało dla mnie magnetyczną siłę. Skoro jednak moja żona tak chciała, oderwałem niechętnie stopy i ruszyłem za nią, wpatrzony w tony wody spadające z bardzo wysoka. Stalaktyty były wspaniałe, ale nie mogły równać się z wodospadem.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości – turkusowo- -biała woda, rozciągnięta na kilkunastu

kilometrach, poprzetykana wodnymi kaskadami, opleciona drewnianymi lub wyciosanymi w skałe ścieżkami i zwieńczona Wielkim Wodospadem – będzie mi się śnić, i będą to dobre sny. Do tego widoku będę wracał.

Po trzech godzinach rajskiej wędrówki dotarliśmy do drugiego wyjścia. Wyciszeni czekaliśmy na powrotny autobus.

– Żałujesz? – Majka była chyba zaniepokojona perspektywą ewentualnych pretensji.

Pokręciłem głową.

– Jestem potwornie zmęczony. Niewyspany, a do tego jeszcze bolą mnie nogi. Poza tym samo życie ostatnio mnie męczy i ta przygoda dobrze mi zrobiła. – Uśmiechnęliśmy się. – Warto było – dodałem jeszcze, uprzedzając jej pytanie.

Majka była szczęśliwa.

Rozdział 27.

Biała kopertówka Marianny

To było dla nas obojga wyczerpujące przeżycie. Od tego dnia zmieniły się odrobinę nasze relacje. Majka przestała być w domu managerem. W domu, czyli na razie w hotelu. Ja starałem się trochę lepiej ją zrozumieć. Nie wracaliśmy do tematu rozwodu, ale też nie powiedzieliśmy sobie, że go nie ma. Na mnie w Polsce czekała Beata; pomimo bliskości z Majką tęskniłem za nią. Przynajmniej czasami. Dzwoniłem do niej niemal codziennie. Rozmawialiśmy o tym, że za sobą tęsknimy – i właściwie tylko o tym. Na pytanie „co w pracy?“, Beata odpowiadała: „Jak zawsze nic ciekawego. Wracaj, tęsknię za tobą, bez ciebie wszystko mnie denerwuje.” I znowu wracaliśmy do głównego wątku.

Tak sobie myślałem, że właściwie to byłem szczęściarzem. Spędzałem czas z piękną kobietą, w bardzo pięknym miejscu, nie mając chwilowo żadnych obowiązków. Kilkaset kilometrów dalej czekała na mnie inna kobieta, też niebrzydka, i też próbująca przychylić mi nieba. Czego by tu jeszcze chcieć?

– Osiołkowi w żłoby dano – szepnąłem do siebie, idąc na plażę.

– Słucham?

Zaczerwieniłem się. Nie byłem świadom, że tak głośno to powiedziałem. Na moje mamrotanie zareagowała wysoka i szczupła, rudowłosa dziewczyna. Typ modelki, takiej prosto z wybiegu. Lekkie pareo ledwo ją osłaniało, a było na co popatrzeć, oj, było!

– Przepraszam, zamyśliłem się, a wtedy czasami mówię do siebie. Proszę wybaczyć.

– Nie szkodzi – uśmiechnęła się promiennie, ukazując komplet śnieżnobiałego uzębienia i odpłynęła w dal krokiem tańczącej baleriny.

– A niech to, taka mogłaby się przyśnić, i to w przyjemnym śnie – myślałem sobie, idąc dalej, ale już bardzo uważałem, żeby nie wygłaszać swoich myśli.

Rudowłosa piękność oderwała mnie na chwilę od rozważań o dostatku pięknych kobiet w moim życiu. I dobrze, bo już kilka godzin później dwuznaczna sytuacja bezpardonowo przygniotła mnie do ziemi. Majka uznała za stosowne przeprowadzić ze mną jeszcze jedną rozmowę. Zaczęło się niewinnie, od opowieści z czasów szkolnych.

– Kiedyś, gdy byłem jeszcze nastolatką, miałam dwie koleżanki. To znaczy, miałam ich oczywiście więcej, ale z tymi dwiema kontaktowałam się najczęściej. To wiek, w którym szafuje się słowami i nazywałam je przyjaciółkami. Któregoś roku podarowały mi na urodziny prezent: okropną, plastikową torebkę. Miała kształt naśladowy elegancją kopertówkę, ale nie dość, że była biała, to jeszcze

polakierowana i z wyjątkowo tandetnego skaju. Z takiej marnej imitacji wężowej skóry, która z daleka krzyczała: jestem biała, jestem sztuczna, jestem plastikowa. Do tego jeszcze paskudnie wykończona. Jednym słowem, szczyt obciachu, nawet jak na lata osiemdziesiąte. Nie wiedziałam, co o tym myśleć i jak przyjąć ten prezent. Chciałam być miła, sympatyczna i nie zrobić im przykrości, a obydwie z zachwytem wypowiadały się o tej torebce. Wyraziłam więc odpowiedni entuzjazm, a po przyjęciu prezentu włożyłam go do szafy i o nim zapomniałam. Po jakimś czasie jedna z koleżanek zapytała, czy mi się prezent nie spodobał, bo przecież go nie noszę. Poprosiłam więc mojego ojca, żeby zrobił mi kilka zdjęć z tą torebką, trzymaną przez mnie a to pod pachą, a to w ręku. Poza tym kilka razy wzięłam ją ze sobą, kiedy wychodziłam z domu wiedząc, że spotkam którąś z koleżanek. Po czym znowu schowałam torebkę do szafy i o niej zapomniałam. – Majka zamyśliła się, ale po chwili kontynuowała: – Dopiero po kilku tygodniach zorientowałam się, że torebka była tylko pretekstem do nabijania się ze mnie. Wiesz, jak coś takiego może zboleć nastolatkę? Do dzisiaj to pamiętam. Psiapsiółki urządziły sobie szkolne pośmiewisko, a ja chciałam być miła. Naiwna! Kiedy zorientowałam się, o co chodzi w tej zabawie, ponownie wyciągnęłam torebkę z szafy i zaczęłam ją nosić na co dzień, chociaż była okropnie niepraktyczna. Nic się w niej nie mieściło. A do

szkolnego plecaka pasowała jak żaba do kurnika. Ale nosiłam ją aż do dnia, w którym torebka i jej wieśniacki wygląd przestały być interesujące dla szkolnych plotkarek. Wtedy ją po prostu wyrzuciłam, potraktowałam jak symbol uwolnienia się od fałszywych przyjaźni i złudnych życliwości. Pozostało we mnie przekonanie, że człowiek jest sam. Że jestem sama jedna i nie mam nikogo, komu mogłabym zawierzyć i opowiedzieć jakąś prawdę o sobie. – Majka uśmiechnęła się smutno. – Byłam wtedy nastolatką, kompletnie prostolinijną, łatwowierną, bezkrytyczną. Byłam też wyjątkowo łatwym celem takich okrutnych zabaw. Od tego czasu nigdy już nie opuścił mnie duch, który wtedy kazał mi zatrzaskać wewnętrzne drzwi i nauczył posługiwać się maskami. Nigdy, aż do wizyty w Plitwickich. Wtedy to, po raz pierwszy od lat, wielu lat, uchyliłam przed tobą drzwi i wpuściłam trochę powietrza do tych miejsc, do których nikomu wcześniej nie pozwalałam się zbliżyć. Byłam tam w środku sama i nie odczuwałam potrzeby rozmawiania o tym z kimkolwiek. Nigdy nawet o tym nie pomyślałam. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, że dopiero na skraju przepaści człowiek dokonuje takich odkryć. Kiedy uświadomiłam sobie, że mogę cię stracić, dowiedziałam się, jak bardzo jesteś mi bliski i drogi. Wtedy też zauważyłam, że również przed tobą zakładałam maski, ukrywałam się pod nimi. I dotarło do mnie, że w ten sposób cię oszukiwałam. Dlatego postanowiłam

przynajmniej spróbować się otworzyć. Ta tandetna torebka to wspomnienie, o którym nigdy nikomu nie opowiedziałam. Mam nadzieję, że wystarczy mi odwagi, żeby odkopać inne takie zdarzenia i nauczyć się o nich mówić. Tylko widzisz... nie wiem, czy powinnam.

Majka zamilkła, a ja się nie odezwałem. Co mogłem powiedzieć?

– Mówiąc inaczej – zaczęła po chwili – chcę cię prosić, żebyś się określił. Nie chcę się przyzwyczajać do myśli, że na tobie będę się uczyć mówienia o sprawach najtrudniejszych. Nie chcę myśleć, że to ty będziesz moim powiernikiem i przewodnikiem po dziwacznych zaułkach, jakimi krążę. Nie chcę tego robić, dopóki nie wiem, co zamierzasz. Jeśli będziesz chciał odejść, odejdiesz, nie będę cię zatrzymywać. Na siłę i tak się nic nie uda. Ale wolałabym, żebyś został... Podtrzymuję każde zdanie, które powiedzieliśmy sobie w Plitwickich. Chciałabym jednak prosić cię, żebyś umówił się ze mną, do kiedy podejmiesz taką decyzję. Takie oczekiwanie to dla mnie najtrudniejsza rzecz, z jaką do tej pory się spotkałam. Nie wiesz pewnie nawet, jak bardzo jestem tym zdenerwowana i spięta. A może i wiesz. Ale umów się ze mną na konkretny dzień, proszę.

Milczałem, bo teraz już w ogóle nie wiedziałem, co powiedzieć. Spodziewałem się oczywiście, że tak będzie. Wiedziałem, że będę musiał wybrać, że wszystkie dokonywane dotychczas wybory zostały anulowane przez te niespełna dwa tygodnie. Jak wnioski do

ponownego rozpatrzenia.

Majka kontynuowała.

– Nie obiecuję ci, że od dzisiaj nasze życie będzie kompletnie inne, że codziennie obiad na stole, że zawsze uda mi się wrócić do domu przed tobą i że będę już strażniczką domowego ogniska. Nie obiecuję ci, że zrezygnuję ze wszystkiego, co kocham i co mnie fascynuje. I nie obiecuję również, że będę nosiła słodzik w torebce. Nie będę nawet próbowała mierzyć się z tamtą kobietą ani nie będę próbowała jej prześcignąć. Ale obiecuję ci, że zrobię wszystko, co tylko będę mogła, żeby liczyć się z twoim zdaniem i nie robić niczego wbrew tobie. Postaram się rozmawiać z tobą o wszystkim, a w tych ważnych kwestiach dążyć do ustalenia opcji satysfakcjonującej dla nas obojga. Mogę ci tylko obiecać, że będę się starać. I chociaż wiem, że jestem ta „stara żona”, a tam czeka niemal nowa kochanka, to nie obiecuję ci złotych gór, bo nie chcę za trzy lata ponownie przeprowadzać takiej rozmowy. Kocham cię i chcę z tobą żyć. Nie zostawiaj mnie, o to mam ochotę cię prosić. Ale ofiarować mogę wyłącznie siebie, może w wersji odrobinę ulepszonej, ale tylko siebie. Nikogo więcej.

Obydwoje mieliśmy łzy w oczach. I po długiej rozmowie ostatecznie uzgodniliśmy, że wspólnie dajemy sobie miesiąc na decyzję. Wakacje się skończą i zacznie się normalne życie. Trzeba sprawdzić, jak będziemy postrzegać sytuację w polskiej szarości, bez

terapeutycznego chorwackiego słońca. Obydwoje byliśmy zdania, że w przypadku takich decyzji należy pomyśleć pięć razy, a potem jeszcze kolejny raz, by nie popełnić błędu. Kochaliśmy się i ponownie sobie to powiedzieliśmy. Nie byliśmy ostatnio ze sobą szczęśliwi i to też powiedzieliśmy. Umówiliśmy się w połowie października na kolację. Jak para narzeczonych, wybraliśmy od razu miejsce, w centrum Warszawy, dość miłą knajpkę, ale bez szczególnych dla nas konotacji. Neutralne miejsce do bardzo zobowiązujących decyzji.

Bardzo byliśmy rozsądni, prawda? Bardzo.

A nade mną zaczęło krążyć widmo rozmowy z Beatą.

Rozdział 28.

Radosna nowina

Przez ostatnie kilka dni urlopu nie wracaliśmy do tematu. Tak się zresztą umówiliśmy i dotrzyaliśmy słowa. Po prostu cieszyliśmy się słonecznym czasem i korzystaliśmy z pogody. Majka pławała się w solankach, łąziliśmy po knajpach i systematycznie upijaliśmy się lokalnym winem. Poza tym, co noc odkrywaliśmy meandry bliskości, jakich mogliby nam pozazdrościć małżonkowie w podróży poślubnej. Jednym słowem – sielanka. Aż do końca urlopu byliśmy dla siebie wyłącznie mili, kochający, uśmiechnięci. Raj na ziemi.

Wróciliśmy do Polski, raj trwał. Wprawdzie już nie tak beztrudny, bo jednak trzeba było chodzić do pracy, zrobić od czasu do czasu zakupy, coś ugotować i posprzątać. W odróżnieniu jednak od naszego dotychczasowego życia teraz wiedziałem, że Majkę zastanę w domu, kiedy wrócę. A jeśli miało jej nie być, to też o tym wiedziałem wcześniej. Od lat nie informowała mnie, o której wróci, więc odwykłem od tego, ale ponowne przyzwyczajanie się było całkiem miłe. Na nowo odkryliśmy przyjemność rozmowy. Wieczorami nie oglądaliśmy telewizji, tylko rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy.

Nieustannie mieliśmy o czym rozmawiać. Ciągłe działało się coś, o czym chcieliśmy ze sobą porozmawiać. Świat stał się naszą rozmową, nasze życie stało się rozmową. Rozmowa stała się naszym uzależnieniem.

Piękne. Ja jednak miałem także inne jeszcze rozmowy. Majka nie pytała, gdzie byłem i co robiłem, kiedy wracałem później. Przyjmowała to do wiadomości i już. A ja byłem u Beaty i – co psuło mi sielski domowy nastrój – dobrze czułem się w jej towarzystwie. Z Beatą mało rozmawialiśmy, z Beatą spędzaliśmy czas w łóżku albo przed telewizorem. Bardzo chciałem zakończyć ten romans, bardzo chciałem wytłumaczyć Beacie, że odnalazłem się na nowo z moją żoną, że nie rozwiędę się ani dla niej, ani dla żadnej innej kobiety. Jednak nie miałem... Odwagi? Chęci? Było mi dobrze, po pierwszym tygodniu przestałem mieć wyrzuty sumienia. W końcu został mi jeszcze prawie miesiąc, a to przecież tak dużo czasu.

Pewnego poranka, po trzech tygodniach od powrotu z Chorwacji, stałem w kuchni naszego mieszkania i czekałem, aż zagotuje się woda. Tradycyjnie robiłem sobie kawę, Majce herbatę. Aż drgnąłem, kiedy zorientowałem się, że Majka stoi w progu kuchni i mi się przygląda. Miała dziwną minę.

– Co się stało?

Nie odpowiadała. Wyciągnęła tylko do mnie rękę i podała mi jakiś przedmiot. To był test, ciężowy.

Widniały na nim dwie kreski.

– Jesteś pewna? – jeszcze do mnie nie dotarło znaczenie tego faktu.

– Nie. Nie wiem. Chyba powinnam pójść do lekarza. – Ostrożna nadzieja brzmiała w jej głosie.

– Dasz radę dzisiaj? – Wolałem od razu wiedzieć.

– Nie wiem, ale chyba muszę, prawda? – uśmiechnęła się.

– Chyba tak, dobrze byłoby wiedzieć... – potwierdziłem.

– Jeśli to prawda, to musiałyby być Chorwacja. – Majka się rozmarzyła.

– To byłoby cudowne spełnienie naszego urlopu. – Naprawdę tak myślałem.

– Spełnienie i wspomnienie. – Moja żona promieniała.

– Ale niespodzianka! – wykrzyknąłem radośnie.

Porozmawialiśmy chwilę, dopiliśmy kawę i herbatę, Majka poszła do pracy. Ja siedziałem przy kuchennym stole kompletnie zaskoczony. Jeszcze półtora miesiąca temu byłem przekonany, że zamykam rozdział „rodzina z Majką”. A teraz okazywało się, że nie tylko nie zamykam, ale że ową rodzinę powiększam. W świetle ciągle trwającego związku z Beatą, nie była to sytuacja najłatwiejsza. Okazywało się, z każdym dniem coraz wyraźniej, że ten miesiąc, który daliśmy sobie z Majką, to wcale nie było dużo. W każdym razie niewystarczająco dużo dla mnie. Nie na tyle, żeby

zakończyć drugi związek i wrócić jak ten syn marnotrawny na łono prawowitej rodziny.

Tego dnia Majka zrobiła badania, kolejnego zadzwoniła podekscytowana z dobrą nowiną. Wynik badania krwi potwierdził wynik testu, mieliśmy zostać rodzicami. Znaczenie tego faktu docierało do nas powoli, bardzo powoli. Nie planowaliśmy dziecka, szczególnie w takim momencie, ale cieszyliśmy się z niego. Wieczorem Majka zaczęła rozmowę dość przeprasającym tonem.

– Chyba powinno mi być głupio.

– Głupio? Dlaczego? Co zrobiłaś?

– Powinnam była poczekać z tą wiadomością do momentu, w którym ostatecznie uzgodnimy, co dalej robimy z naszą przyszłością. Teraz nie tylko ty możesz mieć wrażenie, że próbuję wpłynąć na twoją decyzję, ale i ja będę miała przeświadczenie, że podejmowałaś ją pod presją.

– Doskonale wiesz, że już ją podjąłem.

– Tak sądzę, ale nie powiedziałeś mi o tym.

– To prawda, więc mówię teraz.

– A porozmawiałeś już z Beatą?

Szukałem w myślach jakiegoś uniku, więc milczałem. Jak miałem w tej chwili powiedzieć Majce, że nie tylko nie porozmawiałem z Beatą, ale że nie miałem żadnej ochoty tego robić? I chyba także zamiaru? Przynajmniej do wczoraj nie miałem takiego zamiaru.

Jak dotąd, nic nie zmieniło się w moich relacjach z Beatą. Dalej spotykaliśmy się u niej dwa razy w tygodniu. Spędzaliśmy miłe popołudnie i wczesny wieczór, potem wracałem do domu. Wcale, wcale odpowiadała mi ta sytuacja. Do wczoraj. Teraz miałem zostać ojcem i postanowiłem zmierzyć się z rzeczywistością.

Zabrałem się za to zaraz następnego dnia.

Rozdział 29.

Zazdrość Mariannie

Z samego rana zadzwoniłem do Beaty i poprosiłem o spotkanie. To akurat nie było nic niezwykłego, za to niezwykle było, że poprosiłem ją o spotkanie w mieście. Do tej pory nie wychodziliśmy razem, z wyjątkiem pierwszych tygodni naszego romansu. Nie wiem, czy domyślała się, o co chodzi, ale tego samego wieczoru spotkaliśmy się w gwarnej restauracji w jednym z centrów handlowych.

Mówiłem krótko. O tym, że nie potrafię tak oszukiwać, że nie chcę nikogo krzywdzić, a zdaję sobie sprawę, że już to zrobiłem. Że bardzo ją przepraszam i mam nadzieję, że będzie szczęśliwa. Także o tym, że kocham moją żonę i dlatego nie mogę jej zostawić. Beata wyglądała na spokojną, w pewnym momencie odrzekła, że lepiej o tym porozmawiać, niż miałyby się to rozejść po kościach. Dokładnie takiego zwrotu użyła, „rozejść po kościach”. Minęło zaledwie kilka miesięcy, tak naprawdę jeszcze nie zaczęliśmy być w pełni razem, a już romans wyblakł. Stracił kolory, chociaż wcale nie opalało go jaskrawe słońce.

To jak w takim razie mam nazwać uczucie łączące Majkę i mnie? Wulkan miłości? Skoro po tylu latach jeszcze wykrzesaliśmy z siebie namiętność, która kazała

nam w zimnym samochodzie wypłakiwać wszystkie żale i przez którą tyle razy usłyszałem „nie chcę cię stracić”? To takie proste? Po prostu był romans, już okrzepł, więc ma się rozejść po kościach?

Byłem wstrząśnięty, bo przecież myślałem, że kocham tę kobietę. Ba, pewnie ją w jakiś sposób kochałem. Może nawet ciągle kocham – mówiłem sobie w duchu, bo przecież nie można przestać kochać ot tak, na zawołanie. Na odchodnym Beata rzuciła jednak coś, na co nie zwróciłem w pierwszej chwili uwagi, a powinienem był. A zresztą, co by to zmieniło?

– Zazdroszczę Mariannie – powiedziała i wyszła.

Wróciłem do domu zbity jak pies. Majka o nic nie pytała, patrzyła tylko z niepokojem. Byłem zmęczony i fatalnie się czułem. Czułem, że zdradziłem, i czułem się zdradzony. Pogubiłem się w tym, kogo zdradziłem i nie rozumiałem, dlaczego odczuwałem zdradę ze strony Beaty. Strasznie się to wszystko skomplikowało i cieszyłem się, że mam już tę rozmowę za sobą. Teraz była Marianna, ja i nasz rosnący w ekspresowym tempie orzeszek.

– Będzie facet – cieszyła się Majka.

– Skąd wiesz? – przekomarzałem się. – A może będzie cud urody pannica?

– No bo wiem. Będzie facet, Stanisław.

– Przestań, bo będziesz zawiedziona, kiedy urodzi się dziewczynka.

Innym razem zaczynałem ja.

– Ale to będzie śliczna dziewczynka. Odziedziczy urodę po mamusi i nie będzie piękniejszej na świecie.

– Gdyby to była dziewczynka, to na pewno zostałaaby córeczką tatusia. Rozpieszczoną poza granice ludzkiej wyobraźni. Ale będzie facet, Staszek. – Majka była uparta i nie dawała się odwieść od tej myśli. Trochę mnie to martwiło, bo co będzie, jeśli naprawdę urodzi się dziewczynka?

– Maju, przecież najważniejsze jest, żeby dziecko było zdrowe. Płeć to sprawa drugorzędna, szczególnie przy pierwszym dziecku. – A co, trzeba iść za ciosem! Na jednym dziecku nie poprzestaniemy, takie przynajmniej miałem marzenie.

– Oczywiście, najważniejsze, żeby było zdrowe. Na płeć nic nie poradzę, mam nadzieję, że nie będziesz zawiedziony, że urodzi się chłopak. – Majka uśmiechała się przekornie.

Tak minął nam tydzień. Majka nic nikomu nie mówiła, na razie czuła się świetnie. Trochę więcej spała i nieustająco się uśmiechała. Pewnego dnia jednak przyszła do domu wcześniej. Kiedy wróciłem z pracy, Majka siedziała przy stole przed czajnikiem parującej herbaty i miała nieciekawą minę.

– Co się stało? Źle się czujesz? – spytałem zaniepokojony.

– Dzwoniła do mnie Beata Ściborska.

– Co? – oniemiałem. Uważałem, że rozstałem się z Beatą i że teraz muszę tylko zamknąć drzwi za tym

rozdziałem. – Czego chciała?

– Spotkać się ze mną i porozmawiać.

– Po co? – Mój niepokój rósł.

– Też byłam tego ciekawa.

– Majka, nic z tego nie rozumiem – wyznałem bezradnie.

– Beata zadzwoniła około południa. Zapytała mnie, czy wiem, kim jest. Oczywiście, że wiedziałam. Nie wiem dlaczego, ale wywołało to u niej zdenerwowanie. Wyraźnie czułam jej niezadowolenie. Tak jakby chciała mi to oznajmić i mieć z tego frajdę. Poprosiła o spotkanie, koniecznie dzisiaj. Umówiliśmy się o czwartej w knajpce koło mojego biura, wiesz, w tym małym barze na rogu. Beata już czekała, kiedy tam weszłam, chociaż byłam kilka minut przed czasem. Ze szczegółami opowiedziała mi o waszym romansie. Kiedy, gdzie, ile razy. Opisała, jakim jesteś gnojkiem, jak mnie wykorzystywałeś i oszukiwałeś przez ostatni rok. Dowiedziałam się o wszystkich twoich prawdziwych i – jak sądzę – również wymyślonych zdradach. Z jej opowieści wyłaniał się potwór, nie człowiek. Adam, co jej zrobiłeś?

– Uwierzyłaś?

– To nie ma znaczenia. Opowiedz mi, co naprawdę zaszło.

Musiałem zebrać myśli. Nie wiedziałem, o co chodzi Beacie. Uznałem, że tylko szczerść, pełna, aż do bólu serca, mięśni, ścięgien, będzie teraz właściwa.

Każda próba upiększenia rzeczywistości byłaby przeciwko nam i naszemu dziecku. Opowiedziałem więc Majce wszystko, ze szczegółami, których wcześniej opowiadać nie zamierzałem. Krok po kroku, od pierwszego spotkania, przez pierwsze i kolejne uniesienia, aż po ostatnią rozmowę. Wszystko. Zdumiony byłem, że można kawał życia zmieścić w niewielu zdaniach. Zajęło to może dwadzieścia minut, może mniej. Majka nie zadawała pytań.

– Beata opowiedziała mi to wszystko i jeszcze znacznie więcej – stwierdziła rzeczowo. – Były tam straszne rzeczy. Pominę szczegóły waszych rzekomych erotycznych ekscesów, z ośmioosobową imprezą w jednej wannie, ale było tam też wiele innych rzeczy. Podobno obiecałeś jej małżeństwo, podobno stwierdziłeś, że z taką suką jak ja to nie da się wytrzymać. Podobno postanowiłeś zostawić mnie z torbami i na lodzie, zabrać mi mieszkanie. Z jej opowieści kipiała twoja nienawiść do mnie.

Przez chwilę nie za bardzo potrafiłem zrozumieć, co Majka do mnie mówi, więc zadziałałem instynktownie. Zapytałem o ostatnią rzecz, którą zrozumiałem.

– Osiem osób? To musiało być intensywnie...

Popatrzyliśmy z Majką na siebie i zaczęliśmy się śmiać. W Chorwacji wyjaśniliśmy sobie tyle spraw, że teraz niewiele mogło nas poróżnić. Wiedziałem, że Majka nie uwierzyła Beacie. Nie wiedziałem tylko, co

Beata chciała uzyskać. Przytuliłem żonę i wysnułem jedyny wniosek, jaki wydał mi się logiczny.

– Z tej opowieści nie kipiała moja nienawiść, tylko nienawiść Beaty. Mówiła za siebie i o sobie. Nie o mnie. Wiesz o tym, prawda? – Odczułem potrzebę upewnienia się. Majka pokiwała głową.

– To nie wszystko. Beata wpadła w furję, kiedy zdała sobie sprawę, że nie zyskała we mnie kumpelki. Nie wiem, czego oczekiwała. Może tego, że razem z nią będę narzekać na mężczyzn, na ciebie w szczególności? Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. Ale była wściekła! Zachowywała się głośno, krzyczała, waliła ręką w stół, przeklinała. Miałam wrażenie, że zacznie rzucać meblami. Obsługa patrzyła na nią z niepokojem, może to ją powstrzymało. Miała w sobie taki ładunek nienawiści, że świat poszarzał. Nie wierzę, że mówiłeś takie rzeczy, ale boję się tej kobiety. Była straszna.

Długo w noc jeszcze rozmawialiśmy. Nic nie ustaliliśmy, bo nie wiedzieliśmy, na co mielibyśmy się przygotować. Uznaliśmy, że Beata chciała się zemścić. Plan się nie powiódł i była z tego powodu bardzo zła. Spodziewała się zaskoczenia, rozgoryczenia, żalu. Chciała być triumfującym świadkiem wściekłości zdradzonej żony. Tymczasem zobaczyła spokojną kobietę po przejściach, świadomą marności tego świata, ale i świadomą swojej na tym świecie pozycji. Niespełnione marzenia, zburzone nadzieje, smutek porzucenia – wylały się z Beaty jak z przepełnionej

czary goryczy i zalały Majkę w barze Sami Swoi. Tylko takie wytłumaczenie przychodziło mi do głowy. Takie zachowanie nie pasowało do Beaty, którą znałem – ale może właśnie jej nie znałem?

Rozdział 30.

Mało o sobie wiemy

Następnego dnia Bogdan wziął mnie na bok.

– Mówiłem ci, żebyś jej nie zranił – zaczął.

– Bogdan, przepraszam. Nie zamierzałem nikogo ranić.

– Przepraszam, przepraszam. Mam ochotę obić ci ryj. – Był wyraźnie zły.

– Jeśli ci to pomoże...

– Nie pomoże. Pogadajmy wieczorem.

Po pracy Bogdan uświadomił mi kilka faktów z życia Beaty, o których nie miałem pojęcia. Kilka lat wcześniej Beata miała narzeczonego. Historia banalna, śmieszna raczej niż dramatyczna, ale dla Beaty skończyła się fatalnie. Beata prowadziła się z narzeczoną blisko cztery lata. Wszystko było poukładane, następowało po kolei, jak przystało. Panna poznała kawalera, trochę spotykali się na prywatkach, zaczęli spotykać się sami, potem spędzali ze sobą większość czasu, aż zaczęli rozmawiać o ślubie. Rodziny się poznały, zaakceptowały, młoda para miała już kupione mieszkanie – idylla. Wyznaczona data ślubu, weselico zapięte na ostatni guzik, zaproszenia rozesłane, suknia i frak obstalowane. Wszystko cudowne, piękne, wymarzone. Nadszedł dzień ślubu. Pan

młody nie stawiał się w kościele. We wspólnym mieszkanku zostawił tylko kartkę „przepraszam”, i nic więcej. Nikt kompletnie nie wiedział, co się z nim stało. Ani rodzina, ani przyjaciele. Kamień w wodę. Dopiero po kilku latach okazało się, że Maciej, bo tak miał na imię uciekający narzeczonny, wyjechał do Anglii. Z Beatą było mu, brutalnie mówiąc, nudno, zakochał się w jakiejś Angielce i pojechał za nią. Romans z Angielką był krótkodystansowy, ale zakończył się miło – załatwiła Maćkowi pracę i pomogła w formalnościach. Wtedy jeszcze nie byliśmy w Unii i nie było to takie proste. Maciej nie wrócił do Polski i nigdy więcej nie odezwał się do Beaty.

Nie wiedziałem jak zareagować, więc milczałem. Bogdan mówił dalej.

Beata zamknęła się w sobie. Przez dwa tygodnie nie wypowiedziała ani słowa. Dla niej ten ślub był centrum wszechświata. Wszystkie koleżanki jej zazdrościły. To ona jako pierwsza z klasy miała wyjść za mąż i uważała, że ma ustawione życie. Obnosiła się z tym i wielokrotnie dawała koleżankom do zrozumienia, że jest ponad nie. Lepsza, ważniejsza. Po całym zdarzeniu koleżanki nie zostawiły na niej suchej nitki. Beata znosiła to dzielnie... Zresztą, trudno powiedzieć, że dzielnie. Raczej po prostu w milczeniu. Aż pewnego dnia przemówiła – i to tak, że nie można było jej nie usłyszeć. Dostała napadu szału. Nic nie pomagało. Krzyczała, rzucała talerzami, pobiła matkę, a kiedy

próbowała rzucić w nią krzesłem, ojciec chciał ją po prostu spętać. Wywołała taką awanturę, że sąsiedzi wezwali policję. Kiedy przyjechał radiowóz, Beata kontynuowała dzieło zniszczenia i obijała obu policjantów.

– Nie wiem, jak dała radę to zrobić, bo to były chłopcy na schwał, ale obydwaj mieli czerwone ślady na policzkach. – Bogdan jeszcze tyle lat po zdarzeniu wstydził się za siostrę.

Policja zabrała Beatę, która jeszcze w areszcie zachowywała się agresywnie. Uspokoila się dopiero po podaniu leków. Wylądowała u psychiatry na intensywnym leczeniu. Kuracja przyniosła efekty i przez pewien czas był spokój. Dopiero po kilku miesiącach okazało się, że Beata znalazła sobie inną furtkę, którą przechodziła na drugą stronę furii. Zaczęła aktywnie udzielać się w agencjach towarzyskich jako panienka do zadań specjalnych. Zwyczajny numerek jej nie bawił, uznawała tylko zamówienia szczególne. Lekarze psychiatry zgodnie twierdzili, że Beata jest chora – jednak każdy twierdził, że na coś innego. Stosowali różne leki, różne kuracje.

– Stąd jej opowieści o ośmioosobowych imprezach w wannie – wyrwało mi się mało taktownie.

– Miała po prostu doświadczenie, w takich i innych eksperymentach także. – Na Bogdanie mój komentarz nie zrobił wrażenia. – W końcu trafiliśmy do lekarza, który pomógł wyjść Beacie z dziwnego kręgu

erotycznych dewiacji. Rodzina odetchnęła z ulgą. Ale tylko pozornie było lepiej. Znowu zaczęły się ataki agresji, skierowane głównie na członków rodziny. Nie mogliśmy sobie z tym poradzić. Po roku takiego życia Beata trafiła do zakładu. Była tam jednaście miesięcy. W ten sposób Maciek zabrał jej z życia dwa lata. Dwa zmarnowane lata młodego życia. Plus cztery lata niepotrzebnego narzeczństwa. Pobyt w zakładzie bardzo dobrze Beacie zrobił. Wyciszyła się, doświadczeni i naprawdę życzliwi lekarze pomogli jej przeboleć wstyd i pogodzić się ze stratą. Do dzisiaj twierdzi, że jest rozwiedziona. Łatwiej jest jej chyba odcinać złe wspomnienia. Beata wyszła z zakładu, przeprowadziła się do innego miasta. Odżyła, znalazła pracę, w której ją ceniono, szybko było ją stać na małe, ale własne mieszkanie. Żyła daleko od rodziny, odcięła się od wszystkich. Straciła hamulce. Co miesiąc, czasami częściej, wdawała się w jakiś nowy romans. W ciągu trzech lat w miasteczku stała się *persona non grata*, nie miała się nawet do kogo odezwać. Sąsiadki jej się nie kłaniały, a sąsiedzi albo byli jej byłymi kochankami, albo trzymani przez żony na tak krótkiej smyczy, że się nawet do Beaty nie mogli zbliżyć. Nie miała już żadnych znajomych, a i w pracy z niezwykłym talentem popsowała sobie wszystkie relacje. Była zdolna i pracowita, chociaż średnio wykształcona, i romanse uszłyby jej płazem, gdyby nie romans z własnym szefem. Ściślej, ze wszystkimi trzema szefami.

Bogdan opowiadał o tym cicho i jakby nieśmiało. Nie znałem go takim, tak jak nie miałem pojęcia o prawdziwym życiu Beaty.

– Bardzo chciałem, żeby siostra dokończyła naukę. Przecież ona nawet matury nie ma. Chciałem opłacić jej wieczorówkę, żeby mogła kiedyś na jakieś studia pójść albo chociaż studium jakie zrobić. Matka mnie zobowiązała, żebym się nią zaopiekował. No to przeprowadziłem się za nią raz i drugi, wszędzie mi było wstyd. Wszędzie zachowywała się jak najgorsza...

– Bogdanowi słowo nie przeszło przez usta. – W końcu przeprowadziła się do Warszawy. Nie było jej stać tak po prostu na przeprowadzkę, mieszkanie, jakiś start przed znalezieniem pracy. Obiecałem, że pomogę, jeśli pójdzie do psychologa. Trafiała na terapię, podobno pomogła. Ale tylko trochę pomogła. Beata już nie wdawała się w przypadkowe romanse, zaczęła wybierać. Dopiero po jakimś czasie do mnie dotarło, że jej praca nie może przynosić dochodów, które pozwoliłyby żyć na takim poziomie. Beata nie wybierała kochanków, ona dobierała klientów. Długi czas ze sobą nie rozmawialiśmy. Matce nigdy nic na ten temat nie powiedziałem. Umarła przeświadczona, że Beata ma dobrą pracę i powoli dochodzi do siebie. Kiedy zobaczyłem was na ulicy i spojrzałem na moją siostrę, zdałem sobie sprawę, że nie jesteś dla niej kolejnym. Jak na dłoni widziałem, że Beata się w tobie zakochała. Dlatego tak bardzo prosiłem cię, żebyś jej nie

skrzywdził. A ty... – Głos Bogdana załamał się, a ja nie wiedziałem, co powiedzieć. Za dużo wiadomości na raz.

– Bogdan, przepraszam.

Popatrzył uważnie.

– I co mi to da – wzruszył ramionami. – Mówiłem Beacie, żeby sobie odpuściła. Przecież znam Majkę i wiem, że Beata to nie ta liga. Ale ona była pewna, że może mieć każdego, a poza tym naprawdę się zakochała. Teraz bardzo cierpi. Tak bardzo, że nie potrafi sobie z tym poradzić. Obawiam się, co dalej z nią będzie, czy nie nastąpi nawrót choroby.

– Nie wiedziałem.

– Oczywiście, że nie wiedziałeś. Nie mogłeś wiedzieć. Nie chciałyś się wtedy z nią spotykać.

– Bogdan, przepraszam. Ale może byłoby lepiej, gdybym nie chciał się z nią spotykać? Może dzisiaj by tak nie cierpiała? Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za cudze życie. Mogę przeprosić za moje własne błędy, ale czyjegoś życiowego węzła nie rozplączę.

I właściwie na tym skończyliśmy rozmowę. Bogdan jeszcze został, sączył piwo, tępo wpatrując się w brudny blat. Czuję się jak świnia. Uleciało ze mnie moje szczęście, zapomniałem przez chwilę o naszym dziecku, o naszej miłości. Byłem tylko małym robakiem, niegodnym nawet rozdeptania na chodniku wieczności. I do tego zawiął mi filozoficzny wicherek pesymistycznej niepogody ducha.

Dwa dni później w skrzynce na listy Majka znalazła obelżywy anonim. Przez kolejne dni listy stawały coraz bardziej ohydne, sprośne, obraźliwe. Wreszcie pojawiły się w nich pogrożki. Nie mieliśmy psa ani kota, ani królika, bo pewnie już moglibyśmy czuć się jak bohaterowie *Fatalnego zauroczenia*. Rozmawiałem nawet ze znajomym policjantem. Rozłożył ręce, przecież nic się nie wydarzyło.

Postanowiłem pojechać do Beaty i z nią porozmawiać. Nie byłem umówiony, a jednak otworzyła mi drzwi tak, jakby na mnie czekała. Umalowana, pachnąca, pięknie ubrana. Do niczego ta rozmowa nie doprowadziła. Beata wyraziła współczucie z powodu przykrych listów, ale wyśmiała moje podejrzenia, że mogą być jej autorstwa. Była miła, ale lodowata.

– Adam, fakt, że byliśmy kochankami nie określa nas do końca naszego życia, prawda?

To było jedyne zdanie na ten zasadniczy temat, jakie wypowiedziała Beata. Poza tym mówiła o planowanych wakacjach, o tym, jak jej świetnie idzie w pracy, gdzie ostatnio bywała, z kim się widziała. Zachowywała się, jakby była na przysłowiowym hajcu. Nie znałem jej takiej i nie chciałem znać.

Majce nawet nie powiedziałem, że u niej byłem. Powiedziałem za to Bogdanowi.

– Chciałem przeprosić, coś zrobić... – próbowałem się tłumaczyć.

– Nic nie zrobisz i nic nie poradzisz. Natury

człowieka nie zmienisz – Bogdan powiedział to bardzo twardo. – Beata wróciła do dawnego życia i zajęło jej to tylko moment. Listami się nie przejmuj. Ma już nowe zajęcie i chyba nowego faceta, więc pewnie i na listy nie będzie już miała ani czasu, ani ochoty. Marzyłem dla niej o lepszym życiu, ale nie jest go warta.

– Bogdanie, daj spokój. Skrzywdziłem ją, pewnie mocno zraniłem. Musi mieć czas, nie poganiaj jej.

– Czasu na kolejnego gacha nie potrzebowała zbyt dużo. Nie chcę już o niej rozmawiać.

I naprawdę Bogdan już nigdy więcej nie rozmawiał ze mną na temat swojej siostry. Najpierw dlatego, że był na mnie wściekły, potem dlatego, że był wściekły na Beatę, jeszcze później dlatego, że mi nie wybaczył. Ostatecznie dlatego, że zmieniłem pracę.

Trzy tygodnie później Beata próbowała popełnić samobójstwo. Połknęła wszystkie zapisane jej przez lekarza tabletki. Stare, nowe, wszystkie – całą apteczkę. Większość z nich na szczęście wzajemnie znosiła swoje działanie i żołądek je po prostu odrzucił. Poszedłem do niej do szpitala, jakbym szedł na jej pogrzeb. Beata spała, nie czekałem, aż się obudzi. Byłem w szpitalnej sali, widziałem ją, ale z nią nie rozmawiałem. Dla mnie umarła kobieta, którą w pewnym momencie kochałem, a razem z nią umarł kawałek mnie, chociaż nikt mi nie składał kondolencji. Z Majką spodziewaliśmy się dziecka, byłem szczęśliwy i nie zamierzałem nawet myślać wracać do swego związku z Beatą.

Rozdział 31.

Kariera mimo chęci

Zaraz po powrocie z Chorwacji zacząłem intensywnie poszukiwać nowej pracy. Wykorzystałem wszystkie swoje rzeczywiste i potencjalne atuty, chwaliłem się doświadczeniem większym niż miałem. W całym zamieszaniu z Beatą i jej tragiczną historią, niemal nie zauważyłem, kiedy zatrudniłem się w nowym miejscu. A było się czym pochwalić. Pensja prawie cztery razy taka jak dotychczas, służbowy samochód, premia za dobre wyniki. Własny gabinet, bo zostałem szefem sieci serwisowej w jednej z korporacji. Niespecjalnie musiałem się narobić, za to mogłem wysoko nosić głowę. Po swoim poprzedniku przejąłem sieć w średnim stanie. Pracę punktu serwisowego znałem tak dobrze, że doprowadzenie sieci do przyzwoitego standardu przyszło mi szybko i bez trudu. Moje umiejętności praktyczne – w końcu kiedyś nauczyłem się te zepsute sprzęty naprawiać – też się przydały. Zyskałem tym szacunek szeregowych pracowników. Trochę bardziej musiałem się napracować nad zapleczem, dostawami części i proceduralnymi formalnościami, jakich wymagała korporacja, ale i z tym szybko się uporałem. Jednym słowem – kariera. Jedyne, na co nie dałem się namówić, to częste delegacje dłuższe niż jednodniowe.

Doskonale pamiętałem, do czego doprowadziły takie wyjazdy w naszym domu.

Perspektywy rodzinne i zawodowe były zatem świetlane. Pogodziłem się z żoną, spodziewaliśmy się dziecka, praca zawodowa kwitła i dawała uzasadnione nadzieje na dalszy rozwój. Zaplecze materialne rodziny też wyglądało dosyć bezpiecznie. Wszystko rokuje świetnie.

Majka znosiła ciężę w miarę dobrze. Przez pierwsze pięć miesięcy normalnie pracowała, i była nawet w tej pracy bardzo efektywna, chociaż nosiła, jak to ładnie ktoś określił, „światło w sobie”. Promieniała, cokolwiek robiła. Nawet kiedy ochrzaniała jakiegoś pracownika, robiła to z uśmiechem. To nie znaczy, że była miękka i łagodna. Raczej było widać, że reprimenda nie jest dla niej najważniejsza. Najważniejszy stał się jej brzuch i rosnące w nim życie. To było piękne. Już samo patrzenie na Majkę w tym okresie było piękne. Dziecko miało urodzić się latem, w końcu czerwca.

Jednak nie doczekało lata. Dokładnie pierwszego marca wieczorem Majka poprosiła mnie o masaż kręgosłupa. Niespecjalnie zwróciłem na to uwagę, bo ona w ogóle uwielbiała wszelkiego rodzaju masaże. Delikatnie pomasaowałem jej plecy i stopy. Wyszedłem do kuchni, by zrobić jej herbatę. Gdy wróciłem do pokoju, siedziała, trzymając się za brzuch, a grymas bólu wykrzywił jej twarz. Natychmiast zawiozłem ją do

szpitala.

W izbie przyjęć nie czekaliśmy długo. Pielęgniarka szybko zorientowała się w sytuacji i nie pozwoliła Majce iść. Usadziła ją na wózku i powiozła hen, daleko ode mnie. Ledwo odnalazłem moją żonę. Chociaż było to zaledwie dwadzieścia minut później, mnie wydawało się, że minęła wieczność. Leżała cicha i spokojna, już nic ją nie bolało. Patrzyła, ale nie widziała. Była przytomna, ale nieobecna. Pielęgniarka poinformowała mnie, że Majka za chwilę będzie miała zabieg. Dziecka nie uda się uratować, ale samej Majce raczej nic nie grozi. Co można powiedzieć w takiej chwili? Całe szczęście, że moja żona wyjdzie z tego zdrowa? Co my teraz zrobimy? Gdzie jest moje dziecko?

Nic nie można powiedzieć, taka jest prawda. Można tylko po męsku próbować przełykać łyzy albo bardziej po ludzku dać im upust. Ja nie dałem. Nie miałem odwagi zapłakać. Nie miałem siły patrzeć na spokojne milczenie mojej żony. Siedziałem na szpitalnym korytarzu i chciałem zamienić się w nic. Po kilku godzinach wstałem i poszedłem do Majki. Mogłem chcieć być niczym, ale musiałem być kimś dla niej. Trzymałem ją za rękę, cicho mówiłem o tym, że ją kocham. I że teraz absolutnie najważniejsza na świecie jest dla mnie ona i jej zdrowie.

Tak było przez trzy dni. Czwartego dnia Majka wyszła ze szpitala zdrowa, ale z wyrokiem: bezpłodność. Po następnym tygodniu wróciła do pracy.

Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat jakoś szczególnie długo. Majka zamknęła ten czas w sobie i nie pozwoliła mi przekroczyć granicy życia naszego dziecka. To prawda, tylko ona czuła mdłości, tylko ona czuła pierwsze ruchy malucha. Tylko jej dokuczał rosnący brzuch, nieskoordynowanie ruchów i wszystkie inne ciężowe dolegliwości. Miałem dość tego „tylko jej”: jej, o niej, dla niej, ona. Mnie nie było. Ja nie istniałem. Tak, jakbym nie cieszył się, nie kochał, wreszcie – nie odczuwał żałoby.

Staralem się, jak mogłem. Pocieszałem Majkę, robiłem przyjemności. Zabierałem w miejsca, które lubiła, kupowałem ulubione słodycze i przynosiłem do domu niespodzianki. Wszystko, żeby tylko choć przez chwilę się uśmiechnęła. Żeby tylko była mniej nieszczęśliwa. Przecież nadal byliśmy razem, żyła ona i żyłem ja. Mieliśmy przed sobą wspólne lata, lata szczęścia – przecież to od nas zależało, jak je spędzimy. Mieliśmy siebie i byliśmy bogatsi o zamieszanie z Beatą. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się, jacy jesteśmy sobie bliscy i jak nam na sobie zależy. Ale teraz czułem się tak, jakbym znowu nic nie znaczył. Nic nie znaczył w zestawieniu z tym maleństwem, którego nie było.

Nie mogłem przecież wygrać z kimś, kto był tylko nadzieją, prawda? Nie mogłem być ciekawszy od kogoś, kto przez swoje nieistnienie otwierał drogę najbardziej wyrafinowanym marzeniom. Nasz nienarodzony maluch był najlepszy ze wszystkich i nie miał żadnych wad. Ani

razu nie trzeba było do niego wstać w nocy, ani razu nie zapłakał, ani razu nie zwymiotował na najlepszą garsonkę mamusi. Dziecko – ideał. Nieustannie się uśmiechał, szeroko, od ucha do ucha, grzecznie bawił się zabawkami w wyznaczonym do tego miejscu, w swoim czasie grzecznie zaczął mówić „dziękuję”, „dzień dobry” i robić wszystkie inne niezbędne rzeczy. Nie było z nim żadnych problemów wychowawczych. On był idealny, ja byłem realny i nie mogłem się z nim równać.

Znowu stałem się dla Majki mało istotny. Przez pierwsze miesiące znosiłem to cierpliwie, po pół roku przywykłem. Sytuacja w mojej nowej pracy okrzepła, wyglądało na to, że dobrze sobie radzę. Koledzy mnie lubili, bo się nie wymądrzałem, szefowie cenili, bo odzywałem się rzadko, za to ich zdaniem z sensem. Dostałem niezłą premię, była mowa o podwyżce. Mogłem nawet mieć nadzieję na jakiś awans. Powinienem podziękować za to Majce – pomyślałem któregoś dnia. Cały czas pamiętałem o tym, że to ona dała mi skrzydła, na których doleciałem aż tutaj. Po ośmiu miesiącach od straty naszego dziecka postanowiłem o tym wszystkim porozmawiać z Majką.

Rozdział 32.

Coraz lepiej, coraz nudniej

Pewnego dnia przyszedłem do domu wcześniej, rozłożyłem talerze. Obmyśliłem wcześniej menu, kolację zrobiłem więc szybko. Otworzyłem butelkę wina i właśnie wyjmowałem kieliszki, kiedy Majka przekręciła klucz w zamku.

– Ooo... – zdziwiła się. – Jesteś już? To miło.

Uśmiechnąłem się, bo już przywykłem. Kiedyś Majka ucieszyłaby się na mój widok. Teraz po prostu wydała zdziwione „ooo”.

– Jestem i zapraszam na kolację – skłoniłem się szarmancko.

– Wow, bolognese, co to za okazja? – zapytała z uśmiechem, lecz bez entuzjazmu.

– Bez okazji, dawno nie mieliśmy dla siebie czasu – odparłem energicznie.

– Super. Pójdę umyć ręce.

To było maksimum, które zaczęło obowiązywać w naszym domu po śmierci dziecka. Uśmiech, może życzliwość, ale blade, wyważone. Miło, ale nie radośnie. To nie pełna energii moja żona sprzed dwóch, trzech lat. To była bardzo do niej podobna kobieta – wyglądała tak samo, poruszała się tak samo, ale zachowywała inaczej.

Długo, długo rozmawialiśmy. Odzyskaliśmy trochę

łączącego nas ciepła, zatliła się na chwilę znowu iskra, która kiedyś rozpałała nas do czerwoności. Tym razem pozwoliła zapłonąć zaledwie małemu ognikowi, ale lepsze to, niż dotychczasowy stan. W głębi duszy powzięłem postanowienie, że takie seanse będziemy odbywać częściej, regularnie. Może w ten sposób uda się przywrócić naszemu związkowi wcześniejszą temperaturę.

Staralem się. Przez kolejne kilka miesięcy starałem się. Kolacja gotowana w domu, srebrna niespodzianka w wielkim bukietcie róż, tak całkiem bez okazji, wyjście na kolację do eleganckiej restauracji, wyjście do kina... Ciągłe było miło. Tak miło, jak może być z kimś miłym. Nie tak, jak może być, jak powinno być z żoną, ukochaną. Sam nie wiem, może nie potrafiłem zbić szyby i wyciągnąć z za niej Majki. Wyciągnąć jej z białej tandetnej kopertówki. Może nie potrafiłem uwolnić od koszmarów. Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić. Skończyły mi się pomysły, więc po kilku miesiącach intensywnych prób po prostu zająłem się pracą.

Majka pracowała, ja pracowałem, żyło nam się bardzo dobrze. Zaczęliśmy budować dom, Majka podjęła decyzję o zmianie pracy. Pracowała mniej, za to więcej zajmowała się domem. Miałem wrażenie, że jej to pasuje, więc nie oponowałem. Zarabiałem dobrze, coraz lepiej, niczego nam nie brakowało. No, może... Mnie brakowało. Brakowało mi prawdziwych uczuć.

Nudzilem się.

Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, stanęła mi przed oczami Beata. Zupełnie straciłem z nią kontakt, nie miałem pojęcia, co się z nią dzieje. Z Bogdanem też nie widziałem się już bardzo długo. Przypuszczałem, że on nie ma ochoty mnie widzieć, a i ja nie za bardzo do tego dążyłem. Czułem się jak winowajca. To mało powiedziane. Czułem się po prostu winny, byłem winny, a myśl o Bogdanie – wspomnienie wyrazu jego twarzy i jego zmartwienia – wywoływała we mnie wstyd. Nie, nie miałem ochoty go spotykać. Czasem tylko wracałem myślą do jego siostry, pięknej Beaty, z którą przez krótką chwilę próbowałem być szczęśliwy i którą unieszczęśliwiłem tylko dlatego, że wydawała mi się zbyt mało... intrygująca? Wykształcona? To o Beacie myślałem, że po latach będę się z nią nudzić. Alternatywą była Majka, ciekawa, interesująca, czytana. Zawsze na czasie, zawsze z błyskiem w oku. To z Majką miało być ciekawie do końca życia. Może pokarał mnie los? Za to, że obiecałem i nie dotrzymałem słowa? Że obiecałem Majce być jej wierny, składając małżeńską przysięgę i nie dotrzymałem słowa? Że obiecałem Beacie wspólne życie i nie dotrzymałem słowa? Więcej złamanych przyrzeczeń nie pamiętam. Ale widocznie te dwa wystarczyły, żeby los ze mnie zakpił i skierował w zaułek nudy, który tak skrzętnie starałem się ominąć.

Nudzilem się z Majką i coraz dłużej zostawałem w pracy. Nie miałem w niej co robić tak długo. Miałem

dobrze zorganizowany zespół ludzi, bez zarzutu działające biurowe procedury, nie musiałem zostawać po godzinach. Czasami musiałem gdzieś wyjechać, ale sporadycznie. Zapewniłem sobie możliwość dowodzenia wszystkim z zacisza swojego gabinetu. To nie znaczy, że nie pracowałem – ale nie musiałem pracować za wiele. Po prostu, wystarczało standardowe osiem godzin na załatwienie wszystkich pilnych spraw i naprawdę rzadko istniała konieczność pracy po godzinach. Tylko nie miałem specjalnie powodu, żeby spieszyć się do domu. Nie chciało mi się.

Któregoś dnia pomyślałem, że skądś już to znam. Dopiero w tym momencie przyszło mi do głowy, co musiała czuć Majka, kiedy uciekała w pracę. Czy to właśnie było to? Czy tak się właśnie czuła? Znudzona? Czy zatem byłem nudny dla mojej żony?

Z Marianną spędzaliśmy spokojne wieczory w naszym zadbanym ogrodzie lub w lśniącej czystością, eleganckim i przestronnym salonie. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Od czasu do czasu wychodziliśmy w weekend do jakiś znajomych. Nie za często. Wręcz rzadko, średnio raz na dwa miesiące. Nie chodziliśmy do kina, nie chodziliśmy do teatru, nie chodziliśmy na koncerty – nie chodziliśmy nigdzie. Majka kupowała sobie książki, dużo książek, które czytała pasjami, właściwie nieustannie coś czytała. Ale nie dzieliła się ze mną swoimi refleksjami. Po prostu – przeczytała, przemyślała, zachowała dla siebie.

I tylko czasem pokazywała mi fragmenty swojej korespondencji z koleżankami, których nawet nie znałem. To były internetowe znajomości, nie wiem nawet, czy te kobiety widziały się na żywo. Ale to, co mi Majka pokazywała od czasu do czasu, było piękne. Było w tym życie, błysk, iskra, której tak bardzo brakowało mi w obecnej Majce. W takich chwilach zdawałem sobie sprawę, że moja Majka jest, istnieje, że nadal trwa w niej to samo bogate i barwne życie, tylko ja nie potrafię znaleźć drzwi, którymi przechodzi się na tę drugą, właściwą stronę. Znowu żyliśmy razem, ale samotnie. I znowu coraz mniejszą miałem ochotę żyć tak dalej.

Rozdział 33.

Beata

Pewnego dnia dostaliśmy w firmie zaproszenia na wielką galę. Jeden z naszych kontrahentów organizował huczne obchody dziesięciolecia swojej firmy. Gala miała być naprawdę wielka, z wieczorowymi strojami i wszystkimi nadętymi atrybutami wytwornej uroczystości. Cała firma wybierała się na imprezę, korytarze aż huczały od dyskusji na temat kreacji pań. Oczywiście też było, że każdy wybierał się z tak zwaną „osobą towarzyszącą”.

Majka nie chciała ze mną pójść. Było mi przykro, bardzo przykro. Nie wciągałem Majki w swoje zawodowe życie, bo nie przejawiała ku temu ochoty. Nie organizowałem spotkań z moimi znajomymi z pracy, bo Majka sobie tego nie życzyła. Ale na tym jednym spotkaniu akurat mi zależało. Miało być prezesostwo, mnie się szykowało awans, więc powinienem zadbać odrobinę o swój PR. Uśmiechnięta żona u mojego boku była mi ku temu niezbędna, ale akurat moja żona nie była ani uśmiechnięta, ani u mojego boku.

Pojechałem na przyjęcie bez entuzjazmu. Przygotowałem sobie zgrabną historyjkę o wielkiej boleści korzonków, jaka spotkała dziś moją małżonkę, przybrałem odpowiednio zafrasowaną minę i nie

zamierzałem zabawić długo. W końcu moja żona w domu zwijała się z bólu, nie mogłem na dłużej zostawiać jej samej. Zamierzałem się bawić krótko i niespecjalnie szampańsko, więc pojechałem samochodem. Po drodze wstąpiłem jeszcze na stację benzynową, bo wiedziałem, że wieczorem nie będzie mi się już chciało tankować, a opary w baku mogły się lada kilometr skończyć.

Zatankowałem, wszedłem do sklepu, wybrałem kilka gazet. Płaciłem, kiedy usłyszałem za uchem szmer, szeptał jak erotyczny pocałunek:

– Cześć.

Beata. Bardzo rychło w czas – pomyślałem.

Wyglądała zjawiskowo. Ubrana była w skromną małą czarną, miała idealną figurę idealnie podkreśloną idealną sukienką. Na szyi jakiś błyszczący naszyjnik, czarne skromne szpilki, czerwona szminka. I nic więcej. Zadrżałem na jej widok. Przez chwilę nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa.

Spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– No cóż... Myślałam, że na przywitanie chociaż zasługuję.

Odetkało mnie w tym momencie.

– Beato, oczywiście, przepraszam. Po prostu... wyglądasz tak pięknie, że się zapatrzyłem. Przepraszam jeszcze raz, głupio wyszło. Nie gniewaj się. Napijesz się kawy? – wskazałem okrągły stolik w rogu. Nie mają tu pewnie żadnej rewelacji, ale wypić pewnie się da...

– Z przyjemnością – rzekła i kiwnęła głową.

Po kwadransie rozmowy miałem wrażenie, że ostatnio widzieliśmy się wczoraj. Jakby nie było pogrózek, dziwnych listów, smutnego rozstania. Na tle mojego obecnego życia Beata jawiła mi się jak barwny motyl, który zniemacka błysnął rozłożonymi skrzydłami. Była piękna, była błyskotliwa, była czarująca. Jak ja mogłem uważać, że jest nijaka? Jak mogłem przypuszczać, że się z nią będę nudził? Człowiek to ma czasami dziwaczne pomysły.

Po kolejnym kwadransie rozmowy zapragnąłem, żeby Beata zgodziła się znowu spędzać ze mną czas. Nie śmiałem jednak tego zaproponować. No, w każdym razie nie tak od razu. Śmiałem jednak – a Beata się na to zgodziła – zaproponować jej pójście ze mną na dzisiejszą imprezę. Nie miała wprawdzie na sobie wieczorowej sukni, jednak w tym, co na sobie miała, wyglądała olśniewająco i nie potrzebowała żadnej innej kreacji.

Nie zastanowiłem się nawet, jak przedstawię Beatę. W sumie przedstawiłem ją imieniem i nazwiskiem, nie komentując w żaden sposób naszej wzajemnej relacji. Co gorsza, nie zastanowiłem się także, jak wytłumaczę Majce, z kim byłem na przyjęciu. Nie zastanawiałem się nad tym, bo wiedziałem, że Majka nie ma, bo nie chce mieć, kontaktu z moimi znajomymi z pracy i najprawdopodobniej nawet nie dowie się, że z kimś byłem. A nawet jeśli... nie będzie pytać. Tak

przynajmniej przypuszczałem.

I rzeczywiście, Majka nigdy nie zapytała.

Spędziłem z Beatą uroczy wieczór. Stała się sensacją. Błyszczała nie tylko oszałamiającym wyglądem, błyszczała też dowcipem, uśmiechem, gracją. Nikt nie zadał mi pytania, czy to moja żona – nikt pewnie nie przypuszczał, że to mogłaby być moja żona. O ile się orientowałem, fakt, że Majka nie chciała spotykać się z moimi kolegami z pracy, spowodował, że powszechnie uważano, iż moja żona musi być gruba, brzydka i pewnie także głupia. Inaczej przecież na pewno bym ją „pokazał” towarzystwu. Uznano więc, że na ten uroczysty wieczór zapewniłem sobie inne towarzystwo, a ponieważ było to towarzystwo wysokiej klasy, więc nikt nie zadawał zbędnych i krepujących pytań.

Impreza przebiegała znacznie lepiej, niż się spodziewałem. Planowałem wyjść po godzinie, tymczasem po czterech godzinach wciąż bawiliśmy się znakomicie. Trochę tańczyliśmy, więcej rozmawialiśmy. Przez chwilę zaszczycił nas swoją obecnością sam Pan Prezes, co było szczególnie miłe, bo ten człowiek rzadko wychylał nos ze swojego gabinetu, a jeszcze rzadziej, poza niezbędnymi tematami biznesowymi, zamieniał kilka słów z kimkolwiek. Nam poświęcił aż siedem i pół minuty swojego bezcennego czasu i dobrze to dla mnie rokowało na przyszłość. Jednak nie o możliwym awansie teraz myślałem. Kiedy tylko

prezes się oddalił, Beata szepnęła, że jest zmęczona i zapytała, czy mógłbym ją odwiedzić do domu.

Czy mógłbym, też pytanie! Zastanawiałem się, czy ona mi na to pozwoli!

Pozwoliła. I pozwoliła też wejść na górę. Było to dla mnie najmielsze wejście na górę od dłuższego czasu. Spędziłem z Beatą kolejne trzy godziny. Czas się zatrzymał, czy cofnął? Było jak dawniej.

Przynajmniej przez godzinę wydawało mi się, że było jak dawniej. Bo potem Beata posadziła mnie przy stole, zrobiła herbatę i powiedziała:

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Przecież rozmawiamy? – zdziwiłem się.

– Nic podobnego. Jak do tej pory wymieniamy różne błyskotliwe uwagi.

– Rozmawiajmy więc. – Na razie jeszcze nie czułem nic niepokojącego.

Milczała długą chwilę.

– Nie przerywaj mi, dopóki nie skończę, chociaż pewnie będziesz miał na to ochotę. Świetnie było cię dzisiaj spotkać. Dawno już nie spędziłam tak miłego wieczoru. Nie zastanowiło cię jednak, dlaczego to mieszkanie jest... takie bezosobowe? – Kiwnąłem tylko głową, bo Beata kontynuowała. – No właśnie. Bo tu nie mieszkam. To mieszkanie jest wynajęte, na takie okazje jak dzisiaj. Kiedy spotykam się z... moimi przyjaciółmi. Mam ich kilku. Różnie, czasami dwóch, czasami trzech. No cóż, możesz mnie potępiać, ale uznałam, że niczego

nie umiem naprawdę dobrze. A z tego mogę się utrzymać. Siebie i moje dziecko. Siebie i twoje dziecko. Nasza córeczka ma w tej chwili dwa lata. Kiedy się rozstawaliśmy, nie wiedziałam jeszcze, że jestem w ciąży. Ma na imię Ania. Jest śliczna. Cudem utrzymałam ciążę. Po przedawkowaniu długie miesiące spędziłam w szpitalu, Ani teoretycznie nie powinno być na świecie, a jednak się na nim pojawiła. To właśnie ona daje mi siłę, żeby trwać.

Zamilkła, a mnie po raz kolejny tego wieczoru odebrało mowę. Szybko przeliczyłem, że gdyby urodziło się nasze dziecko, to znaczy Majki i moje, byłoby równolatkiem Ani. No, byłoby może trzy tygodnie starsze. Do tego jeszcze otwarte wyznanie Beaty dotyczące jej profesji.

– Dzisiaj bawiłam się świetnie. Jeśli jednak chciałbyś spotykać się ze mną częściej, możemy to robić na takich zasadach, na jakich spotykam się z moimi pozostałymi przyjaciółmi. Jeśli to ci odpowiada, omówimy warunki. Nie musisz chcieć. – Beata mówiła o tym jak o interesie. Nawet mnie to w pierwszej chwili zabolalo, ale właściwie dlaczego miałoby mnie boleć? Przecież to był interes.

Tego wieczoru jednak go nie ubiliśmy. Za dużo spraw na jeden raz. Nie wiedziałem, jak zareagować na wieść, że jestem ojcem. Uciekłem. Stchórzyłem.

Dopiero dwa dni później odważyłem się zadzwonić do Beaty. Umówiliśmy się w mieście, w niewielkiej

kawiarni. Beata ciągle wyglądała rewelacyjnie, chociaż tym razem ubrana była tak... zwyczajnie. Nie miała na sobie nic specjalnego, a jednak potrafiła to nosić ze szczególnym wdziękiem.

Uzgodniliśmy, że będziemy spotykać się w każdą środę.

– Z kim zostawiasz Anię?

– Mam wynajętą nianię. Ania jest jeszcze za mała na przedszkole, a zresztą pracuję głównie wieczorami, przedszkole nie rozwiązałoby sprawy. Pani Wanda jest w średnim wieku, ma siwe włosy i jest nieustannie uśmiechnięta. Ania za nią przepada. Wanda kładzie ją wieczorem do łóżka, ja ją całuję, kiedy wracam do domu. Na ogół ranki i większą część dnia spędzamy razem.

– Czy... – od ostatniego spotkania chciałem zadać to pytanie, i bałem się, że nie będę miał odwagi. – Czy będę mógł ją zobaczyć?

– Nie. Nie chcę, żeby cię poznawała. Na razie nie pyta o tatusia i niech tak zostanie. Nie ufam ci aż tak bardzo, żeby zaryzykować skrzywdzenie dziecka. Mogę pokazać ci jej zdjęcie.

Pokazała śliczną, piękną, cudną dziewczuszkę o wielkich brązowych oczach, uśmiechniętą od ucha do ucha.

– Beato, nie możesz mnie obwiniać o to, że się wami nie interesowałem. Nie miałem pojęcia, że mamy dziecko.

– Wystarczy, że mną się nie interesowałeś. Jak to sobie wyobrażasz? Że odwiedzałybyś małą, a ja w tym czasie siedziałabym jak mysz pod miotłą? Zostawiłeś mnie. To bardzo bolało. Swoje przeżyłam, nie chcę nawet o tym opowiadać.

– Chciałbym ci jakoś pomóc.

– Nie rozśmieszaj mnie. Nie potrzebuję twojej pomocy. Poradziłam sobie w ciąży i zaraz po urodzeniu małej, poradzę sobie i teraz. Jeśli chcesz się spotykać, to na określonych już zasadach. Żadne inne nie wchodzą w grę. – Zabolało jak cholera. Beata dała mi wyraźny znak, że jestem dla niej po prostu klientem i tylko klientem. Jakby usłyszała moje myśli. – Długo się zastanawiałam, czy w ogóle mówić ci o Ani. Wiele razy nachodziła mnie myśl, żeby do ciebie zadzwonić. Ale pewnie gdyby nie to spotkanie na stacji, to nigdy bym tego nie zrobiła. Ale kiedy się spotkaliśmy... uświadomiłam sobie, że chcę, żebyś wiedział. Żeby udowodnić swoje ojcostwo, musiałabyś przeprowadzić test DNA, bo ja go nigdy nie potwierdzę. Mam tylko nadzieję, że jesteś na tyle rozsądny, żeby nie narażać małej na taki stres.

Odepchnęła mnie. Prawie tak mocno, jak ja kiedyś ją. A zresztą, licytacja na skali goryczy nic by nam nie pomogła. Odpuściłem więc i tylko poprosiłem Beatę, żeby co jakiś czas przynosiła mi aktualne zdjęcie Ani. Nigdy nie pozwoliła mi żadnego zabrać, mogłem sobie popatrzeć. Nie chciała też za dużo o niej opowiadać. Jest

zdrowa, dobrze się rozwija, jest pogodna. Interesuje się rówieśnikami. Pierwszy raz sama się huśtała. Jest błyskotliwa jak na swój wiek.

Tyle udało mi się od niej dowiedzieć. Beata nie pozwalała, żeby charakter naszych spotkań był inny niż ustaliła w swym zawodowym grafiku. Ot, klient, który kiedyś miał szansę być kimś więcej. Tamta chwila minęła i dziś jestem już klientem jak każdy inny. Uwierało, ale nie potrafiłem się od tego wyzwolić. Im dłużej się spotykaliśmy, tym bardziej czekałem na każde spotkanie.

Już od czwartku zaczynałem myśleć, jaki prezent tym razem przynieść Beacie, bo za każdym razem oczekiwała prezentu, i to nie byle jakiego. Perfumy, nawet luksusowe, były zbyt banalne. Zdarzało się oczywiście, że delikatnie wspomniała o jakimś nowym zapachu, zastanawiając się, czy pasowałby do jej osobowości, ale to było naprawdę rzadkie. Na ogół musiałem sam kombinować. A to bielizna, a to jakiś seksowny wieczorowy ciuszek, a to złoty drobiazg. Od czasu do czasu robiliśmy też wyprawy do sklepów, gdzie Beata wybrzydzała, ale nie oszczędzała. Na mój koszt oczywiście. Oprócz tego co miesiąc ustalona stawka, też nie miała. Pomyślałem sobie któregoś dnia, jak to dobrze, że zmieniłem pracę, bo w poprzedniej nie byłoby mnie na to stać. Chciałem za wszystko płacić, bo wiedziałem, że spora część pieniędzy zostanie wykorzystana na potrzeby Ani, a na tym zależało mi

najbardziej.

Chciałem jakoś uczestniczyć w życiu mojej córki. Nawet kilka razy, niby niechcący, zaciągnąłem Beatę do sklepu z dziecięcymi rzeczami, ale za każdym razem prychała tylko jak zmoczona kotka i wychodziła. Kiedyś przyniosłem dla Ani jakieś zabawki, cały wielki worek. Beata popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się drwiąco i nie powiedziała ani słowa. A kiedy wychodziliśmy z restauracji, po prostu zostawiła worek kelnerowi, przedtem zapytawszy, czy ma dzieci. Po prostu zamknęła przede mną drzwi i wiedziałem dlaczego. Mściła się na mnie. Okrutnie się na mnie mściła. Pozornie miała prawo, ale nie mogłem pogodzić się tak łatwo z tym, że robiła to kosztem małej. Ona powinna mieć ojca, nawet dochodzącego, szczególnie że ten ojciec bardzo ją kochał – chociaż jej nie znał.

Cierpiałem, a mimo to brnąłem dalej. Kiedy już we czwartek obmyśliłem odpowiedni prezent, w piątek ruszałem na łowy. Trzeba było taki prezent znaleźć, czasem zamówić. Weekendy spędzałem z Majką – spokojnie, już nawet nie próbując się szarpać na żadne wychodzenie z domu, na żadne imprezy. Łóżko, śniadanie, ogródek, kanapa, wieczorem jakiś film na DVD. I tyle. Żadnych specjalnych emocji, święty spokój. Tak właśnie miało nie być!

Zaraz, zaraz. Przecież kiedyś dokładnie o takim życiu marzyłem. Byłem głupi.

Wieczorami tęskniłem po cichu za Beatą

i wymyślałem odpowiednią restaurację na rozpoczęcie naszego spotkania. Bo zaczynaliśmy na ogół w restauracji, przecież z pustymi brzuchami trudno o miły nastrój. W poniedziałek tęskniłem jeszcze bardziej, a od wtorku zaczynałem dostawać świra. We środę od rana siedziałem jak na szpilkach. Oprócz rutynowego zebrania, na ten dzień nie umawiałem żadnych spotkań, bo byłem zbyt rozdrażniony i zbyt nieobecny. I tak od środy do środy.

Po pół roku takiego życia nie wyobrażałem już sobie innego. Przez cały tydzień spokojna stabilizacja w pracy, równie spokojne i ustabilizowane wieczory z Majką. Ten spokój dawał mi siłę na cotygodniową erupcję wulkanu namiętności. A może to właśnie fakt, że co tydzień nadchodziła środa, dawał mi siłę na to, żeby znieść spokojną stabilizację całego tygodnia? Nie wiem, w każdym razie nie chciałem już żyć inaczej.

Rozdział 34.

Moje urodziny

Nastał dzień moich urodzin. Dwudziesty czwarty lutego. Traf chciał, że przypadał we środę. Tego wieczora wyjątkowo Beata nie chciała spotykać się w mieście. Od razu pojechałem do niej. Było cicho i ciemno, tylko w salonie paliło się kilka świec. Beata ubrała się w suknię, którą miała na sobie, kiedy spotkaliśmy się na stacji benzynowej. Wyglądała zjawiskowo, tak samo jak tamtego dnia. Była naprawdę piękna. Uścisnęła mnie i złożyła piękne życzenia. Kiedyś takie życzenia składała mi Majka, jak dawno to było... Dziś rano nie złożyła mi życzeń, pewnie zrobi to wieczorem. Późnym wieczorem, bo dopiero wtedy będę w domu, a Majka nawet nie spodziewa się mnie wcześniej. Bo i po co miałbym wcześniej wracać?

To nie był dobry moment na myślenie o Majce. Beata wzięła mnie za rękę i z tajemniczym uśmiechem powiedziała:

- Zbieraj się, jedziemy.
- Gdzie jedziemy?
- Niespodzianka.

Miała przy tym jakąś dziwną minę, frapujący ton głosu, była radosna, podekscytowana nawet. Podałem więc jej płaszcz, sam włożyłem swój i zeszliśmy do

taksówki. Beata przywitała się z kierowcą i poleciła mu jechać „w ustalone miejsce”. Brzmiało to bardzo tajemniczo – takie przecież miało być.

Taksówka skierowała się w stronę centrum. Chwilę przekomarzałem się z kierowcą w nadziei, że powie mi, dokąd jedziemy. Ten jednak uśmiechał się do mnie miło, ale milczał.

– Wie pan, mogę stracić dobrą klientkę. Nic nie powiem – roześmiał się w końcu, po moich długich naleganiach.

Podjechaliśmy na plac Politechniki. Było ciemno i cicho. Wysiedliśmy z taksówki, Beata lekko dotknęła mojej ręki.

– Tam – pokazała wejście do głównej auli.

Znałem to miejsce. Firmy, małe i wielkie, ale raczej wielkie, organizowały tu różnego rodzaju spotkania. Aula Politechniki to ogromna sala, w której bez problemu może bawić się równocześnie kilkaset osób. W ostatnich latach modne było organizowanie eventów, jakichś kolacji lub innych uroczystości właśnie tutaj. Kiedyś byłem tu na kolacji wigilijnej, innym razem na koncercie znanego zespołu wokalnego, jeszcze kiedy indziej na jakiejś wystawie. Zawsze wtedy aula była rzeświście oświetlona. Dzisiaj jednak i aula, i plac Politechniki były ciemne i ciche.

Nagle światła rozbłyły, a drzwi auli otworzyły się szeroko. Wszedł z nich człowiek ubrany jak kamerdyner, a może kelner, nie wiem. Wyglądało to

w każdym razie jak scena z jakiejś groteski. Wielki, niemy budynek nagle rozbłyska jaskrawym laserowym światłem i na tle takiej rozświetlonej budowli pojawia się biało-czarno ubrany człowiek z białą serwetą przewieszoną przez prawe ramię. Poczucie absurdu wzmogło się, kiedy ów człowiek, który na tle wielkiego budynku wyglądał jak pingwin-krasnoludek, pochylił się w naszą stronę i gestem wskazał drogę. Drogę do wnętrza budynku. Obróciłem się, szukałem kogoś, do kogo ten gest był adresowany. Niemy film. Beata zaśmiała się perliście.

– Chodź.

Poszedłem więc, chociaż miałem przekonanie, że to świetnie zorganizowany żart. Zaraz, tuż przed samym wejściem, Beata pocałuje mnie, wyskoczy zza winkła fotograf, uwieczni moją głupią minę i wrócimy do domu, to znaczy do Beaty. Byłem o tym przekonany.

A jednak tak się nie stało. Weszliśmy do środka. Drogę wskazywały dwa równoległe szpalery świec, a pomiędzy nimi czerwony dywan. Na jego skraju, w równych odległościach, stali kelnerzy, którzy pochyłali się w głębokim ukłonie, kiedy przechodziliśmy obok nich. Zapewne para królewska nie mogłaby mieć godniejszego przyjęcia. Zacząłem wierzyć, że to jakiś rodzaj nowatorskiego happeningu albo przynajmniej dziwaczna nowoczesna sztuka teatralna. Taka, która ma ambicje traktowania widza jako współtwórcy.

Po chwili dotarliśmy do głównej sali. Stał tam jeden stół. JEDEN. Pięknie nakryty dla dwóch osób. Kryształowe kandelabry, kryształowe kieliszki, porcelana Rosenthal, srebrne sztucce. Menu z góry ustalone. Kiedy tylko weszliśmy, pojawił się rząd kelnerów. Każdy niósł tacę, a na każdej tacy stał jeden talerz, z jednym rodzajem przystawki. Nie pytając, po prostu zaczęli nam nakładać po odrobinie. Było ich sześciu i sześć ślicznie podanych przystawek wkrótce utworzyło na moim talerzu malowniczą kompozycję. Pasztet z dzika z żurawinami, rolada szpinakowa z łososiem, mus czosnkowy z twarożku, tatar z pstrąga, reszty nie pamiętam. Beata uśmiechała się, nic nie mówiła i mnie nie pozwalała nic mówić. Wyjątek uczyniła dla jednego tylko słowa:

– Smacznego.

Jedzenie było pyszne. Nie wiem, gdzie było zamawiane, nigdy mi tego nie powiedziała. Stwierdziła nawet kiedyś, że nie mogę się tego dowiedzieć, bo wtedy mógłbym zafundować sobie taką kolację, kiedy tylko bym chciał, i ta jedna przestałaby być jedyna. Pokrętna, ale przekonująca logika.

Tak więc jedliśmy. Potem nastąpiły przekąski gorące. Krewetki z czosnkiem zapiekane pod beszamelem, mule w winnym sosie ze świeżą pietruszką, medalion z polędwicy podawany na tartoletce z francuskiego ciasta. Od samego patrzenia można było się najeść. Potem przyszły zupy, też spodziewałem się

sześciu kelnerów, ale tym razem przyszło ich „tylko” czterech. Czerwony barszcz z kołdunami, rosół z kluskami, grzybowa z łazankami lub krem z zielonego groszku z ptysiami.

Czułem się już przejezdny, a dopiero nastał czas dań głównych, których nawet nie tknąłem. Tych znowu było sześć, ale nie pamiętam już, co to było. Trochę ryb, trochę mięsa, mnóstwo warzyw, frytki, ziemniaki, kluski. Powiedzenie, że jakiś posiłek starczyłby dla pułku wojska, nie do końca mogłoby mieć zastosowanie. Tym obiadem wyżywiłaby się cała dywizja. Beata uśmiechała się do mnie cały czas, a kiedy skończyliśmy jeść, powiedziała wreszcie:

– Nie będziemy cały wieczór siedzieć bez słowa. Życzę ci, kochanie, wszelkiej pomyślności. Niech dobre wiatry wieją w twoim życiu i przynoszą same dobre zdarzenia. Niech ci się wiedzie w każdej wymarzonej sprawie.

Patrzyłem na tę kobietę jak na dobrą wróżkę i złą czarownicę jednocześnie. Pojawiła się w moim życiu przez przypadek. Jej obecność przyniosła mi świadomość posiadania córki i niemożność jej poznania. Przez tę kobietę towarzyszyła mi nieustająca za nią tęsknota i przeraźliwe poczucie winy wobec Marianny. To właśnie ta kobieta składała mi piękne życzenia tego wieczoru, życzenia, jakie kiedyś złożyłaby mi Marianna. Dziś Maja zadowolila się zwyczajnym porannym cmoknięciem mnie w policzek,

a właśnie Beata wypełniała bolesną lukę w moim życiu. Wypełniała ją i przez sam ten fakt powiększała świadomość istnienia uczuciowej dziury.

Jak miałem zrozumieć tę kobietę? Pełną sprzeczności, niedomówień, tajemnic? Kobietę, która kiedyś wydawała mi się banalna, a dziś fascynowała, która przyznawała się do swojej niemoralnej profesji i jednocześnie potrafiła sprawić, że facet czuł się przy niej absolutnie wyjątkowy. O sile jej wpływów niech świadczy fakt, że dowiedziałem się, ile ta kolacja i cała jej organizacja kosztowała. Dowiedziałem się, bo UPARŁEM się, że to ja za nią zapłacę. Ja. Beata nie chciała o tym słyszeć, ale w końcu fortem postawiłem na swoim.

Otóż Beata, żeby sprawić mi przyjemność, wydała więcej niż zarabiałem w miesiąc, a do tego wieczoru byłem przekonany, że zarabiam dobrze. Zabrakło mi limitu na karcie kredytowej, musiałem zdebitować drugą kartę. Pomyślałem w tamtym momencie, że dobrze, że Majka nie przegląda wyciągów z kart. Kompletnie jej to nie interesowało. Ot, po prostu – pieniądze są, ona wydaje tyle, ile trzeba na utrzymanie domu i zaspokojenie jej potrzeb. Reszta jej nie obchodziła.

Otrząsnąłem się z tych myśli. Jesteś z Beatą, zachowuj się – zmitygowałem się w duchu.

Beata zauważyła moją chwilową nieobecność, ale jej nie skomentowała. Zapewne za moment i tak

przerwałbym jakiegokolwiek rozmyślenia, bo za moimi plecami zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Odgłosy były dziwne. Chociaż właściwie, jeśli się zastanowić, to wcale nie takie dziwne. Po prostu, dwanaście osób weszło do sali, zaczęło szurać krzesłami, przestawiać je, siadać na nich, szeptać do siebie. Każda z tych osób trzymała w rękach instrument, po chwili dołączył do nich dyrygent i zaczęli grać. Beata wyraźnie czekała na zaproszenie do tańca.

A ja... ja poczułem się taki strasznie malutki. Chciało mi się płakać. Po raz pierwszy ktoś zadał sobie dla mnie tyle trudu. Wyłącznie dla mnie. Tylko po to, żeby zrobić mi przyjemność. Ciepło rozlało mi się po sercu, kiedy Beata podawała mi dłoń. Zaczęliśmy walcem, potem było bardziej fikuśnie. Nigdy jeszcze nie tańczyłem twista przy akompaniamencie małej orkiestry symfonicznej. Zresztą, w ogóle nigdy nie tańczyłem przy takim akompaniamencie, a już sytuacji, w której cała orkiestra gra tylko dla mnie, nawet nie byłem sobie do tej pory w stanie wyobrazić.

Tańczyliśmy i tańczyliśmy, wolno i szybko, i znowu wolno, wolno, wolno, szybko... Aż zgłodnieliśmy i zatrzymaliśmy przy naszym stoliku. Nakrycia zostały już zmienione, a obok stał wózek uginający się pod ciężarem różnorodnych deserów. Do dzisiaj mam pod powiekami ten widok. Na samym środku stał wielki, biały tort śmietanowo-kokosowy, anielski w kolorach, przystrojony białymi lukrowanymi

różami i tabliczką z białej czekolady z napisem: *ADAM*. Obok tortu stała misa z sałatką owocową i taca z bezowymi ciastkami. Każde było przełożone jakąś masą: kremem czekoladowym, budyniem waniliowym, masą serową, czerwoną, malinową galaretką, gorzką czekoladą albo pistacjowym kremem. Tyle kolorów – połączonych z bielą małych bez – wyglądało bardzo malowniczo.

Na dolnej półce stały poukładane na tacach ciasta – około piętnastu gatunków. Cztery rodzaje sernika, w tym na zimno i z owocami oraz jeden z makiem (Beata wiedziała, że uwielbiam sernik), rolada makowa, strucla serowa i owocowa, szarlotka, panna cotta, tiramisu, keks z bakaliami, mazurek z kajmakiem, baba piaskowa, drożdżówka z owocami, pączki. Można było oczopląsu dostać. Chciałem spróbować wszystkiego, ale nie dało się.

Piliśmy kawę i co rusz wybieraliśmy sobie jakieś ciastko. Były pyszne.

– Beata...

– Daj spokój, nie chcę o tym rozmawiać.

– Ale Beata...

– Nie chcę!

– Przecież nawet nie wiesz, o czym?

Zamilkła.

– Chciałem podziękować. To był cudny wieczór. Takiego jeszcze nie przeżyłem.

– Będziesz chciał powtórkę? Za rok?

– Oczywiście. Pewnie, że tak.

– To masz jak w banku. A teraz zbierajmy się, czas goni.

– Jak to, czas goni? Gdzie nas goni? Przecież nic nas nie goni?

– Oj, mylisz się, goni. Pospiesz się! – uśmiechnęła się tajemniczo.

Dopiero na zewnątrz zrozumiałem, co tak goniło. Kiedy wyszliśmy na pusty plac, ponad nim przeleciał samolot, który ciągnął za sobą napis: *Wszystkiego najlepszego, Adamie!* Mało wiedziałem o lotnictwie, ale tyle wiedziałem – samoloty tutaj nie latały. Nie wiem, jak Beacie udało się to załatwić.

Tego wieczora nie mogłem spędzić z nią zbyt dużo czasu. No cóż, urodziny to urodziny, musiałem pojawić się w domu o jakiejś w miarę przyzwoitej godzinie. Poszliśmy więc jeszcze na krótki spacer, odprowadziłem Beatę do jej mieszkania, to znaczy do tego wynajętego mieszkania, i pojechałem do Majki.

Czekała na mnie przy pięknie nakrytym stole, przy świecach, sama pięknie ubrana, z elegancko zapakowanym prezentem – moją wymarzoną encyklopedią jazzu, którą lata temu chciałem sobie kupić, ale nie było mnie na nią stać. Teraz było mnie stać, lecz moje marzenia spłowiwały. Byłem wzruszony. Majka naprawdę włożyła dużo pracy w to, żeby kolacja była pod każdym względem uroczysta. Moje ulubione wino, mój ulubiony boeuf strogonow, cudnie pachnące

pieczone mięso, ciasto makowe na deser. Przez chwilę czułem się tak, jakby czas się cofnął. Znowu byliśmy o prawie trzy lata młodsi, pełni energii i wiary, że życie stoi przed nami otworem.

Normalnie we środy wracałem około dziesiątej, Majka była do tego przyzwyczajona. Wiedziała, że późnym popołudniem mamy w firmie cotygodniowe zebranie, które często przeciąga się do wieczora, a potem zaliczam godzinkę w siłowni. Zebranie tak generalnie było prawdą, tylko odbywało się zawsze o dziesiątej rano i trwało na ogół godzinę, czasami, jeśli pojawiły się jakieś super istotne tematy, mogło zakończyć się po dwóch. Nigdy dłużej. Siłownia też była prawdą, ale akurat nie we środy.

Właściwie zacząłem bywać na siłowni dopiero niedawno, z próżności, by prężyć muskuły przed Beatą. Potrzebowałem wymówki dla swoich późnych powrotów, ale też chciałem zadbać o siebie. Majka nie dawała mi już takiej motywacji, Beata – owszem. Tak więc dwa, albo i nawet trzy razy w tygodniu, wyciskałem ze swoich rozleniwionych mięśni litry potu. Dawało to efekt, nie powiem, całkiem zadowalający. Zniknął brzuszek, który już zaczął się pojawiać, zmieściłem się w spodnie, które od kilku lat leżały w szafie i czekały zmiłowania, no i wreszcie miałem kondycję. Wejście do naszego biura na piątym piętrze nie sprawiało mi już żadnych kłopotów – przestałem w pewnym momencie korzystać z windy. Kilku kolegów

zaczęło mi zazdrościć i też przerzucili się na schody. Po dwóch miesiącach pół biura przestało korzystać z windy, a wśród pracowników modne zrobiły się wyścigi, kto szybciej pokona te pięć pięter. Niechący stałem się prekursorem nowych biurowych zwyczajów, ale to chyba dobrze.

Przy okazji odkryłem, że oprócz siłowni o kondycję można dbać także w inny sposób. Jeden z kolegów wygadał się któregoś dnia, że regularnie, co roku w lutym, wyjeżdża na tydzień do Austrii. Jedzie tam sam i spędza czas wyłącznie na stoku. Narciarstwo było jego pasją, na co dzień skrzętnie skrywaną pod białą koszulą i barwnym krawatem. W pierwszej chwili nie chciałem Mirkowi wierzyć. Sam? Do Austrii? Wietrzyłem jakieś towarzystwo, ale niekoniecznie takie, do jakiego chciał się przyznawać. Śmiał się ze mnie serdecznie.

– Pojedź ze mną, to zobaczysz. Jeśli nastawisz się na towarzystwo i rozrywkę, to będziesz się nudził.

I tak od słowa do słowa, umówiliśmy się na wspólny wyjazd. A że o jeździe na nartach nie miałem pojęcia, Mirek dał mi kilka lekcji. Sam jeździł naprawdę dobrze, ja dopiero raczkowałem, ale był spokojnym i cierpliwym nauczycielem. Od tych kilku lekcji na oślej łączce pod Piwniczną zaczęła się nasza przyjaźń. Mijały miesiące, a my rozumieliśmy się coraz lepiej. Zaczęliśmy rozmawiać ze sobą, nie tylko o biznesie, ale także o sprawach, o których z zasady nie rozmawiałem

w pracy. Polityka, codzienność, rodzina.

Od dnia moich urodzin coś delikatnie drgnęło w naszym domu. Majka zaczęła wracać? Tak, to chyba to. Może aż tyle czasu potrzebowała, żeby otrząsnąć się po naszej tragedii? A może instynktownie wyczuła, że ja się od niej znowu oddalam? Nie wiem, dość powiedzieć, że nasze wieczory coraz częściej przestawały być puste. Dużo im jeszcze brakowało do tego, co było kiedyś, ale z miesiąca na miesiąc robiło się lepiej. Kiedyś Majka zaproponowała nawet, że przeczyta mi fragment książki, który ją poruszył. To zdarzyło się pierwszy raz od... nawet nie pamiętam kiedy. Coraz chętniej wracałem do domu, czasem zaczynałem się do niego spieszyć. Latem było tak już niemal codziennie – z wyjątkiem śród. Majka nie pytała, ja nie opowiadałem.

I znowu trwałem w rozdwojeniu, znowu miałem dwie kobiety, znowu było tak, że obydwie kochałem. Pewnie cały czas tak było, ale przez pewien czas zapomniałem o tym, że Majka jest dla mnie ważna. Tym razem jednak wiedziałem, że nawet nie będę rozważał opcji założenia nowej rodziny. Beata była cudowną kochanką, ale ani razu nie pomyślałem o tym, że mogłaby też zostać żoną. Była wprawdzie matką mojej córki, ale nie dała mi jej poznać ani nawet zobaczyć. Znałem tylko numer komórki Beaty i adres wynajętego mieszkania. Nie wiedziałem, gdzie naprawdę mieszka, nie wiedziałem, do którego parku chodzi z Anią na spacer. Nic o niej nie wiedziałem oprócz tego, że

bardzo miło spędzałem z nią czas.

I od swoich urodzin nie chciałem już nic więcej wiedzieć. Wcześniej zastanawiałem się nad wynajęciem jakiegoś detektywa, miałem pokusę sprawdzenia jej życia, a przede wszystkim dowiedzenia się czegoś o Ani. Od tego momentu już tego nie chciałem i nigdy nie wykonałem żadnego kroku w tym kierunku. Po prostu – środy i już. Przy czym środy cały czas pozostawały bardzo emocjonujące. Wprawdzie nie było już tak, że od czwartku myślałem wyłącznie o następnej środzie, bo i pomiędzy zdarzały się różne inne atrakcje, ale środa ciągle była dniem wyczekiwany z lekkim drżeniem. Co też znowu Beata wymyśli?

A wymyślała rzeczy różne. Kiedyś zastałem u niej w domu fortepian. Ściągnęła go na tę jedną noc, wypożyczyła nie wiem nawet skąd, tylko po to, żeby zagrać mi początek *Dla Elizy*, bo tyle zaledwie umiała. Innym razem załatwiła zaproszenie na uroczystą kolację, na której był sam prezydent. Dużo było takich zdarzeń. Beata zaskakiwała mnie, fascynowała. Była niewiadomą, dreszczem emocji, który czuje się, kiedy ma wydarzyć się coś dobrego. Beata była dla mnie uosobieniem interesującego życia, ciekawych zdarzeń. Jej imię stało się dla mnie synonimem interesującej osoby.

I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno uważałem, że mógłbym się z nią nudzić... Człowiek to ma chyba naprawdę nierówno pod sufitem. To, co dzisiaj jest

fajne, wczoraj było do kitu lub będzie takie jutro. Jak się w tym połąpać? Jak znaleźć to, co i dzisiaj, i jutro, i za wiele lat będzie tym najlepszym? Czy w ogóle jest taka możliwość?

Rozdział 35.

Narty

Wiosną musieliśmy przerwać narciarskie lekcje, nie było już gdzie ćwiczyć. Mogliśmy oczywiście wybrać się na lodowiec, tam można by jeszcze pojeździć, ale ja umiałem na to za mało, a i z urlopem byłoby krucho. Szczególnie u Mirka, który przecież odbył swoją rytualną lutową wyprawę. Za to w końcu dał się zaprosić do naszego domu. Majka sprawiała wrażenie ucieszonej, dopytywała się, czy jest coś, czego Mirek nie je, i rozmyślała nad wykwintnym menu.

Rzeczywiście, kolację przygotowała rewelacyjną. Nie było na niej wprawdzie po sześć przystawek gorących i sześć zimnych ani czterech zup, ani kolejni kelnerów, ale okazała się naprawdę udana. Oprócz super kulinariów pojawiła się jeszcze bardzo sympatyczna atmosfera, po prostu spędziliśmy miły wieczór. Mirek wyszedł od nas dopiero przed jedenastą, więc chyba nieźle się poczuł w naszym towarzystwie.

Mijały miesiące, mijały kolejne środy. Nic się nie zmieniało. Z Beatą cały czas było cudownie, w moich relacjach z Majką następował progres, przyjaźń z Mirkiem dojrzewała, w pracy nie szykowały się żadne zmiany. Spokojna stabilizacja, to było to. Tego szukałem, to mi odpowiadało. I ze zdumieniem

skonstatowałem, że nie mam nawet wyrzutów sumienia z tego powodu, że towarzyszyły mi w mojej drodze dwie kobiety. Ba, było mi z tym dobrze, było mi z tym cudownie i nie zamierzałem nic zmieniać.

Późną jesienią razem z Mirkiem zaczęliśmy przygotowania kondycyjne. Postanowiliśmy też, wraz z pierwszym śniegiem, poćwiczyć przez tydzień w Beskidach. Wszystko po to, żeby w lutym razem wyjechać do Austrii.

Epilog

Miłość to dziwne uczucie – wybacza i jednocześnie trzyma w sztywnej nienawiści.

Świat się nie skończył na pisaniu Adama. Świat się w ogóle nie skończył. Postanowiłam dokończyć to pisanie. Nie wiem, po co powstało, czemu miało służyć. Miało oczyszczać? Przynieść katharsis? Chyba nie spełniło tej roli. Za to raniło mnie, biło każdym słowem do krwi – za każdym razem, kiedy to czytałam. Rany otwierały się. I znowu.

Postanowiłam więc dokończyć ten nie-wiadomo-po-co pamiętnik, żeby zamknąć rozdział. Może dzięki temu wybaczę sobie, wybaczę Adamowi, może wreszcie będzie katharsis.

Razem z Mirkiem pognali na ten upragniony stok. Z tym, że Adam postanowił zostać dwa dni dłużej. Po tygodniu intensywnej nauki czuł się już wielkim narciarzem. Mirek wrócił do Warszawy, a Adam postanowił się sprawdzić. Jeździł po Beskidach, żadnych wielkich gór tam nie ma, ale jemu nie była pisana wielka góra. Ani Alpy, ani lodowiec. Na oblodzonym stoku Adam przewrócił się, najechał na niego inny narciarz i razem zjeżdżali jeszcze kilka metrów. Adam zahaczył głową o jakiś wystający lodowy fragment i od tego

momentu nie było już Adama. Dalej tylko jego ciało siłą bezwładności toczyło się po stoku, zostawiając na śniegu krwawy ślad. Na ciele Adama zjechał ten inny narciarz, któremu szczęśliwie nic się nie stało.

Zostałam kompletnie sama. W domu było pusto, tak przeraźliwie pusto, że dzwoniło w uszach. Powinnam była wrócić do jakiejś aktywności zawodowej, do czegoś więcej niż przerzucanie papierków na biurku od godziny do godziny. Nie chciałam, nie miałam siły, nie miałam w sobie ani woli walki, ani chęci przetrwania.

Na pogrzebie było bardzo wielu ludzi. Mirek bał się do mnie podejść. Czuł się winny, nie mógł się pogodzić z wypadkiem i śmiercią Adama. Po kilku tygodniach zadzwonił do mnie, zaprosiłam go na kawę. To był dobry pretekst, żeby spojrzeć przez chwilę na siebie i rozejrzeć się wokół. Po raz pierwszy od śmierci Adama na moment zaczęło mnie obchodzić, czy podłoga jest czysta, a obrus na stole nie ma plam. I czy w ogóle jest jakiś obrus. I czy moja bluzka jest wyprasowana.

To nie było miłe spotkanie. Mirek chciał mnie przeproszać, ale nie miał na to wystarczająco dobrych słów, a ja nie chciałam żadnych słuchać. Wspominanie Adama było dla mnie wciąż jak posypywanie świeżej rany solą. Bałam się o nim myśleć, chociaż w głowie ciągle prowadziłam z nim dialog. Wydawało mi się, że Mirek już więcej się nie odezwie, ale zadzwonił po kilku dniach. Kolejna rozmowa była trochę lżejsza. Na

następnym spotkaniu powiedziałam mu, że przecież nie jest odpowiedzialny za śmierć Adama i nie musi czuć się zobowiązany do tego, żeby mnie pocieszać. Nic wtedy nie odpowiedział, ale zadzwonił jeszcze raz.

Kiedy Adam zginął, Mirkowi też było ciężko. Wyrzucał sobie, że pozwolił mu zostać, że jako bardziej doświadczony narciarz powinien z nim być i pilnować. Nad świeżo usypaną mogiłą trudno było sobie wytłumaczyć, że przecież Adam był dorosły, rozsądny, że nie można było przewidzieć... Może to Mirek potrzebował pocieszenia.

Po dwóch latach byliśmy już po cichym ślubie i przenieśliśmy się do większego domu. Dom, w którym mieszkałam z Adamem, kojarzył mi się z czystym smutkiem. To nie było miejsce, do którego chciałam wracać. Przytłaczała mnie pamięć o moim tragicznie zmarłym mężu. Dzięki Mirkowi zapisałam swoją głowę dobrymi wspomnieniami. Tak dobrymi, jak udane może być życie z ciepłym, dobrym człowiekiem.

Mirek dał mi siłę, wiarę i bezpieczeństwo. I macierzyństwo, chociaż urodzić nie mogłam. Mirek zmobilizował mnie do adopcji bliźniaków. To były już duże dzieci, dwaj czteroletni chłopcy. Przeszliśmy całą koszmarną drogę administracji dziećmi i pokonaliśmy absurdalne przepisy, które ktoś wymyślił chyba tylko po to, żeby biednym, skrzywdzonym przez los istotom nie mogło być lepiej. Tylko upór Mirka sprawił, że procedura dobiegła szczęśliwego końca.

Chłopcy wnieśli do naszego domu dużo śmiechu i radości. Byli bystrymi, wiecznie uśmiechniętymi brzdącami, a potem psotnymi urwisami, którym wszystko wybaczyliśmy. Dwa żywe srebra. Nigdy z mężem nie ukrywaliśmy ani przed otoczeniem, ani przed samymi chłopcami, że są adoptowani. Staraliśmy się dać im tyle serca, ile to było możliwe. Najwięcej, jak potrafiliśmy.

Na początku było bardzo trudno. Dzieci przeżyły w swoim krótkim życiu więcej, niż powinny. Chłopcy nie potrafili się przytulić, moczyli się do szóstego roku życia, nie chcieli jeść nic poza ryżem z jabłkami i kotлетem schabowym z ziemniakami, nie potrafili bawić się z dziećmi z sąsiedztwa, nie chcieli spuścić mnie z oka nawet na pięć minut. Ani jeden, ani drugi, nie chciał wyjść na podwórko, jeśli nie wychodziłam z nimi. Jeśli jeden był na dworze, to drugi pilnował mnie, żebym ich „nie zostawiła”. Tylko w ten sposób byłam w stanie przygotować coś do jedzenia. Poza tym nie było mowy, żebym zrobiła w domu coś innego – chyba, że razem z nimi. Sprzątanie z nimi, prasowanie z nieustannym strachem, żeby się nie poparzyli, gotowanie z nimi. Telewizję przestałam oglądać, bo zbyt mocno na nią reagowali.

Pierwszy dzień szkoły to była katastrofa. Obydwaj ryczeli jak bobry, że ich zostawiam, krzyczeli, że ich porzucam... Do dziś czasami słyszę to łkanie. Szarpali mnie za spódnicę, za rękę, Sebastian urwał mi pasek od

torebki. Nie miałam serca, zabrałam ich do domu. Wieczorem spotkałam się z wychowawczynią, zgodziła się, żebym przez kilka dni była w klasie podczas lekcji. Po dwóch tygodniach chłopcy zgodzili się wreszcie, że mogę nie wchodzić na lekcję. W końcu zaczęło im się wydawać dziwne, że mamy innych dzieci nie siedzą z nimi w klasie. Musiałam jednak czekać przed klasą na każdej przerwie. Dopiero po prawie dwóch miesiącach udało się chłopców przekonać do samodzielnego przebywania w szkole, chociaż aż do piątej klasy włącznie musiałam ich do szkoły odprowadzać i czekać na nich po zakończeniu zajęć.

Chłopcy dorosli i wyprowadzili się.

Sebastian zginął w wypadku dwa tygodnie po wyprowadzce. Sadzę, że bardzo mnie kochał. Bardzo byliśmy zżyci. Dzwonił do mnie bardzo często. Jego śmierć była dla nas wielkim dramatem.

Krystian z kolei oznajmił, że znalazł swoją biologiczną matkę i nie będzie już z nami utrzymywał kontaktu. Odezwał się jednak po pół roku. Długo, długo potem dowiedziałam się, że jego matka opowiedziała mu ckliwą historię o tym, jak to siłą i podstępem odebraliśmy obydwu chłopców kochającej mamusi. Dopiero po kilku tygodniach Krystian sprawdził tę historię. Okazało się, że nikt nikomu siłą dzieci nie zabierał. Dwóch chłopców, niemowlęta, znaleziono na dworcu centralnym, przykrytych kartonem. Byli wygłodniali, ale nie płakali. W ogóle nie reagowali.

Dzieci zabrano do szpitala, a po kilku godzinach w okolicie kartonu, który jak się okazało pełnił funkcję domu dla całej rodziny, wróciła mama chłopców. Bez żadnego problemu podpisała zgodę na zrzeczenie się praw rodzicielskich, ale dopiero po wyjściu z izby wytrzeźwień. Problem był z tatusiem, który nie mógł podpisać stosownej zgody, bo nie można go było znaleźć. Znalazł się, gdy chłopcy mieli po trzy i pół roku, a on dogorywał w ośrodku Monaru. Wtedy pojawiliśmy się my.

Krystian długo płakał, nawet nie przeproszał. Kochałam mojego syna bez zastrzeżeń i dalej go kocham. Tak się przecież kocha dzieci, prawda? Przeprosiny nie były potrzebne. Dzisiaj Krystian mieszka na piętrze naszego wielkiego domu, z żoną Kasią i malutką Agusią, ich wnuczką. Syn Krystiana i Kasi wraz z żoną pojechał szukać szczęścia w obcych krajach. Nie ma ich już pół roku i nie zanoszą się, że szybko wrócą.

Przerobiliśmy dom na trzy oddzielne mieszkania. Ja mieszkam na dole sama. Mam wielki taras i cały ogród dla siebie. Mirek zmarł trzy lata temu. Brakuje mi mojego dobrego i troskliwego męża, ale nie jestem sama. Mam dzieci, wnuki i pierwszą prawnuczkę.

Trzecią część naszego domu zajmuje Anna. Ania, córka Beaty i Adama.

Kilka tygodni po śmierci Adama znalazłam jego

zapiski, ten jego pięknie oprawiony brulion. Nie wiem, po co pisał. Przyszło mi nawet do głowy, że gdzieś tam, w zakamarkach grzesznej duszy, przeczuwał swój koniec. Może największym grzechem Adama było to, że napisał ten pamiętnik. W ten sposób ranił mnie, nawet kiedy już go nie było.

Mam osiemdziesiąt dwa lata. Jestem już bardzo wiekową Marianną. Postrzegam świat przez węgę starości. Dawne krzywdy już nie bolą, przeszłe cierpienia przygasły. Jednak do dziś pamiętam to piekące, szarpiące uczucie, kiedy czytałam dziennik Adama po raz pierwszy. Po co mi było to wiedzieć? Wściekałam się, denerwowałam, złościłam. Potrzebowałam czasu, by zrozumieć, że tak jak wszystko istnienie tego pamiętnika ma szczególny sens. Musiałam go tylko odnaleźć, co nie było łatwe, ale ostatecznie okazało się cudowne.

To było smutne doświadczenie. Czytając, odkrywałam mojego zmarłego męża na nowo i ta odsłona była trudna. Wiadomość o istnieniu Ani była dla mnie wstrząsem. Więc Adam miał dziecko! Więc był ojcem! Kiedy ochłonęłam i przemyślałam wszystko, nabrałam szacunku do Beaty. Potrafiła utrzymać go z dala od swojej córki. Ale czy potrafiła ją wychować?

Dość szybko nawiązałam kontakt z Beatą i poznałam Anię. Gołym okiem było widać, że Ania to córka Adama. Oczy, włosy, kształt brody, charakterystyczne wzruszenie ramion – mój Adam

w żeńskiej, urodziwej postaci. Zachwyt mojego pierwszego męża nad operatywnością Beaty był krótkowzroczny, męski i egoistyczny. Beata była chora, ciężko chora – zaburzenie afektywne dwubiegunowe, kiedyś bardziej znane jako psychoza maniakalno-depresyjna. W tej chorobie człowiek na zmianę doświadcza skrajnych stanów emocjonalnych. Począwszy od depresji, często kilkumiesięcznej, która właściwie wyklucza chorego z życia, aż po stany euforii, w których jest zdolny do spektakularnych działań. Co dziwne, często jest w tych działaniach bardzo skuteczny i bez problemu w ciągu kilku godzin potrafi na przykład wynająć aulę Politechniki, wraz z obsługą.

Beata, świadoma swej choroby, zdawała sobie sprawę, że nie będzie w stanie wychować Ani. Kochała to dziecko, pewnie ciągle bardzo kocha, ale zniknęła z naszego życia. Dała się przekonać, że Mirek i ja będziemy w stanie stworzyć Ani bezpieczny, pełen miłości dom.

Tak więc, trzecią część naszego domu zajmuje Ania ze swoim mężem. Ich dorosła córka właśnie spodziewa się dziecka. Z Anią nie mieliśmy kłopotów wychowawczych. Była dobra i spokojna. Pojawienie się starszej siostry dobrze wpłynęło na bliźniaki. Chłopcy poczuli się pewniej – rodzina się powiększyła.

A Adam? Dzięki Ani został z nami na zawsze. Czytam jego zapiski teraz, po tych wszystkich latach bez

niego, i zastanawiam się. Patrząc na mój wielki, jesienny ogród, w którym liście tworzą kolorową mozaikę czerwieni i brązu, zadaję sobie pytania: gdzie bym była, gdyby nie zginął wtedy na nartach? Kim bym była?

W moim wieku mogę sobie pozwolić na okrucieństwo, na stwierdzenie, że być może Adam zrobił mi przysługę, znikając z mojego życia. Jego tragiczna śmierć pozwoliła mi urodzić się na nowo. Łatwo mogę sobie wyobrazić, jak gasnę przygnieciona kolejnymi latami, jak obłuda rok po roku odziera mnie z uczuć. Jak rezygnuję z siebie, zamykam się w pustym domu, w którym nie ma dzieci, nie ma radości, za to „jest” wiecznie nieobecny mąż. Życie nie tak powinno biec, żeby ktoś był nieszczęśliwy. Nie tak.

Adam zostawił mnie smutną, Mirek pomógł odrodzić się na nowo. Adam wyrwał mi skrzydła, Mirek nauczył latać samolotem. Tak mogłabym długo wyliczać. Adam ranił jeszcze długo po swojej śmierci, dziennikiem, odkrywaniem tajemnicami, opisem zdrady. Człowiek, którego kochałam – jak mi się wydawało – nad życie, wyrwał mi serce. Mimo to, kochałam go i Kocham do dziś.

Długo uważałam, że to ja jestem winna zdrady Adama. To ja byłam zapracowana, nieobecna, nie zadbałam o niego i sprawiłam, że czuł się samotny. Chciałam się za to ukarać: zrezygnować z kariery, założyć szary sweterek, zamknąć się w domu i trwać w przekonaniu, że najpiękniejsze już było, że na nic

więcej nie zasłużyłam.

Mirek delikatnie mnie otworzył. Nie pozwolił mi tak myśleć. Razem zajmowaliśmy się domem, ja hodowałam rośliny w ogrodzie, on gotował, wspólnie robiliśmy tak wiele, jak tylko było to możliwe bez oddalania się od siebie – i codziennie obydwójce chodziliśmy do pracy. Mogłam pracować, ile chciałam, godzić karierę, dzieci, dom, Mirka, książki, ogród i wszystko inne w proporcjach dla wszystkich odpowiednich.

Dzięki Mirkowi mogę teraz stwierdzić, że przeżyłam dobre życie. Niełatwe, ale ciekawe. Każdy wiek ma swoje przywileje. Starość, owszem, jest uciążliwa, jednak w otoczeniu kochającej rodziny daje cudowne poczucie spełnienia. Jestem nestorką rodu, który nie pochodzi wprawdzie z mojej krwi, ale nie ma to najmniejszego znaczenia. Z dumą przyglądam się osiągnięciom moich dzieci, wnuków i pierwszym krokom prawnuczki. Żałuję, że Mirek nie może na to patrzeć. Chociaż, któż to wie... Odszedł trzy lata temu, ale mam nadzieję, że on też uważał nasze wspólne życie za dobre. Ciekawe, czy spotkał na górze Adama?

Miałam dwóch mężów, obydwu kochałam, a nawet Kocham. Kocham też siebie, swój dom i ogród, i wszystko, co mi się w życiu przydarzyło. Jestem taką sobie przeciętną staruszką, którą przepęlnia miłość. I optymizm. Wierzę, że każde złe doświadczenie niesie w sobie ziarno dobra. Być może miałam szczęście, być

może ktoś zniknął w porę i w porę pojawił się inny ktoś.
Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co by było, gdyby moje
życie potoczyło się inaczej.

Strona redakcyjna

Copyright © Agnieszka Lis, 2011
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2011

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Katarzyna Gwincińska

Projekt okładki
Iza Szewczyk

Przygotowanie wersji elektronicznej
Mateusz Czekala

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-7674-896-2

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Spis treści

[Rozdział 1.Zaczynam](#)

[Rozdział 2.Punkt wyjścia](#)

[Rozdział 3.Nie lubię niespodzianek](#)

[Rozdział 4.Domowa kolacja jest pyszna](#)

[Rozdział 5.Trzeba się jakoś pocieszyć](#)

[Rozdział 6.O czym był ten film?](#)

[Rozdział 7.Palenie jest głupie](#)

[Rozdział 8.Imieniny](#)

[Rozdział 9.Poza domem kolacja też jest pyszna](#)

[Rozdział 10.Pytania bywają trudne](#)

[Rozdział 11.Rozmawiać czy się kłócić?](#)

[Rozdział 12.Hasło „rozwód”](#)

[Rozdział 13.Kongo nie w Afryce](#)

[Rozdział 14.Wyspa zielona](#)

[Rozdział 15.Hotel dla Niemców](#)

[Rozdział 16.Harce](#)

[Rozdział 17.Co to jest zdrada?](#)

[Rozdział 18.Otruli nas!](#)

[Rozdział 19.Leczymy się](#)

[Rozdział 20.Majka chce do Plitwických](#)

[Rozdział 21.Jak oni jedzą!](#)

[Rozdział 22.Krewetki mają wąsy](#)

[Rozdział 23.Far niente](#)

[Rozdział 24.Średnia prędkość jazdy przez góry](#)

[Rozdział 25.Długa noc](#)

[Rozdział 26.Jeziora Plitwickie](#)
[Rozdział 27.Biała kopertówka Marianny](#)
[Rozdział 28.Radosna nowina](#)
[Rozdział 29.Zazdrość Mariannie](#)
[Rozdział 30.Mało o sobie wiemy](#)
[Rozdział 31.Kariera mimo chęci](#)
[Rozdział 32.Coraz lepiej, coraz nudniej](#)
[Rozdział 33.Beata](#)
[Rozdział 34.Moje urodziny](#)
[Rozdział 35.Narty](#)
[Epilog](#)
[Strona redakcyjna](#)